Do Biografii K. M. Górskiego.

Szkice literackie, nowele
~~Utwory z lat szkolnych~~ i wspomnienia
~~z ostatnich lat~~ pośmiertne.



1902

Odmiana 1892

Dwa posągi 1902

Literatura



„Z przed stu laty" z przekładem wiersza Schillera. (1 Stycznia 1901. Czas)

Z powodu Jubileusza Dantego
o przekładzie Boskiej komedyi Porębowicza.
Bibl. Warszawska

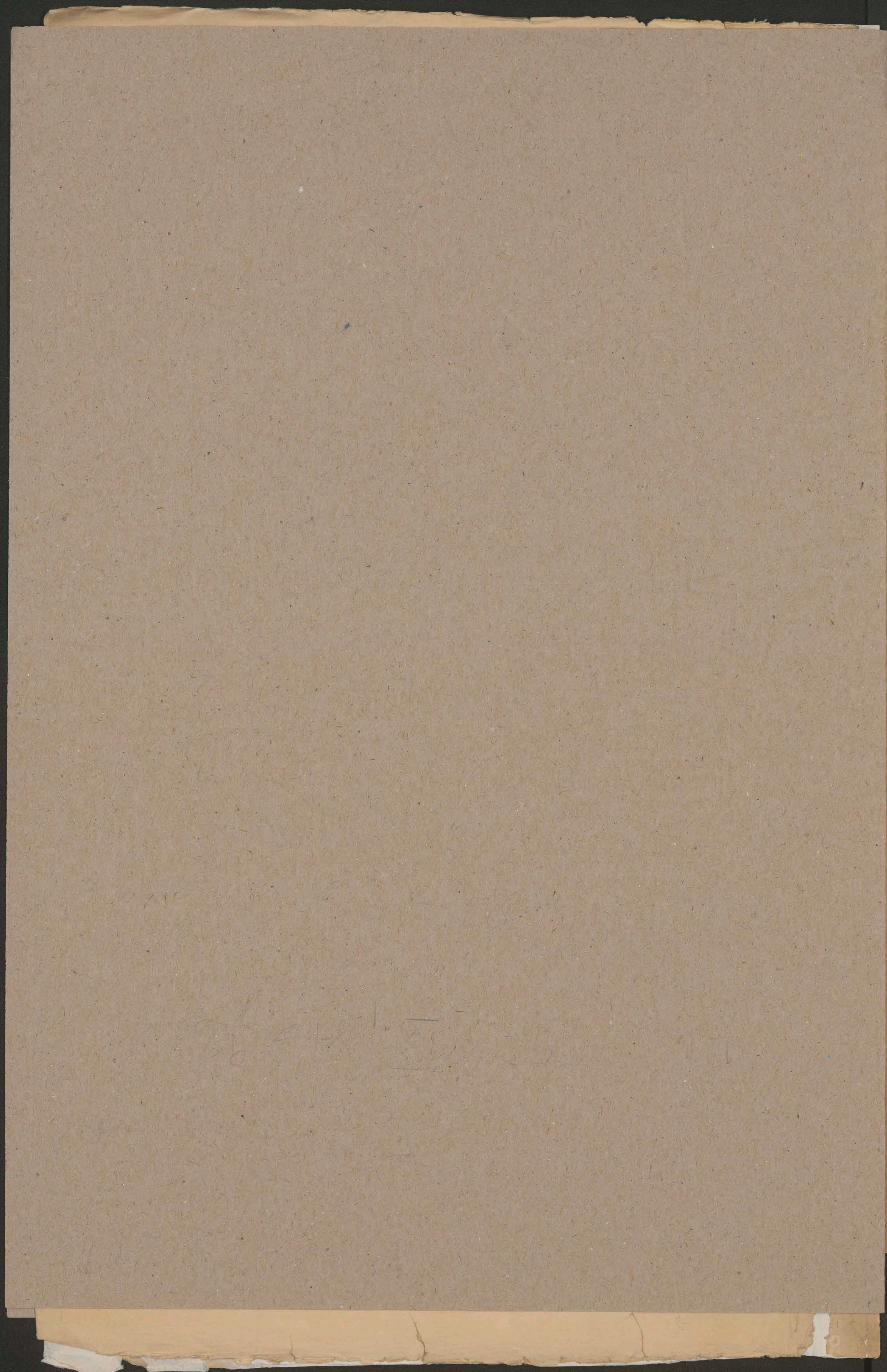
„Burschenliebe". recenzya o niemieckim tomie wierszy T. Presa. Czas 1900

W lat Półtysiąca. Dyalog na uroczyste przedstawienie w dniu pięćsetnej rocznicy Uniw. Jagiel.

Z Pogrzebu Mickiewicza. „Głosy prasy zagranicznej". „Przegląd Polski" 1890

„Odwiedziny u Horacego" praca ucznia przed maturą z 1882

(2 wiersze okolicznościowe)



Egzemplarz poprawniejszy.

3

ODWIEDZINY

U HORACEGO.

OBRAZEK RODZAJOWY.



(Odbitka z IV i V Zeszytu „Przeglądu Akademickiego).



KRAKÓW.
Nakładem Redakcyi „Przegl. Akadem.".
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1882.

4

ODWIEDZINY

U HORACEGO.

OBRAZEK RODZAJOWY.



(Odbitka z IV i V Zeszytu „Przeglądu Akademickiego).



KRAKÓW.
Nakładem Redakcyi „Przegl. Akadem.".
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1882.



WŁODZIMIERZOWI TETMAJEROWI

Autor.

OSOBY:

KWINTUS HORACYUSZ FLAKKUS.
PUBLIUS WERGILIUSZ MARO.
MECENAS.
POSTUMIUSZ.
SEPTYMIUSZ.
LICYDAS.
LALAGE, Greczynka.
GONIEC od MECENASA.
CHLOE, służebna HORACEGO, Hiszpanka rodem.
Niewolnik HORACEGO.



(Scena przedstawia ogród koło domu Horacego. — Horacy siedzi pod drzewem. — Lalage wchodzi).

LALAGE.

Wreszciem znalazła! Czy nie kochasz może
Lalagi swojéj, Kwintusie mój luby?
Kiedym ja wyszła, skoro wstały zorze,
Aby cię szukać, méj miłosnéj zguby,
Ty mnie nie wspomnisz i odrzucasz lutnię,
Dzban, który codzień napełniam ci, wierna,
I patrzysz cicho i coś dumasz smutnie
I mnie nie wołasz i nie chcesz Falerna...
O Kwintyliusza jeszcze myślisz zgonie?
Wszakżeś, śpiewaku, ulżył swojéj duszy,
Skoroś na słodkim wygrał tren bardonie,
Tren co czułego Wergiliusza wzruszy...
Wszak wieszcz — spokojny, kiedy ból wyśpiewa...
Czyż, mój kochanku, będziem smutni stali,
Jako dalekie, martwe stoją drzewa,
Których się nigdy nie zetkną ramiona?
Obudź się, wieszczu, wszak nad inne wieszcze,
Którzy Erosa potęgę śpiewali,
Tyś piękniéj sławił jego słodkie dreszcze,
Zbudź się, kochanku, wszak mię kochasz jeszcze?

HORACYUSZ.

Kocham, Lalage, lecz gdy się myśl zwróci
Do Kwintyliusza, co przepadł na wieki,
Duch mój się trwoży i serce się smuci,
Że i mnie koniec także niedaleki,

Że Tyburtyński słowik tam nie nuci,
Że méj domowéj, tam nie słychać rzeki,
Że nie zostanie soku z winogradu
Ni dzbana dla mnie — wszystek dla dziedzica —
Że jeden cyprys z drzew mojego sadu
Będzie mi wierny, a biała dziewica,
Którą kochałem zniknie mi bez śladu,
Że, gdy śmierć blada zastuka w me wrota,
Nic już nie będzie — za krańcem żywota.

LALAGE.

Hej, hej, Kwintusie, radzisz w smutkach miary...
Wszak żyjesz! żyjesz! jeszcze z pod twej ręki
Pieśni wychodzą młode z strón cytary,
Jeszcze cię pieszczę ruchem dłoni miękkiéj,
Jeszcze, Kwintusie, mam młodość i wdzięki.

(Wchodzi Goniec).

HORACYUSZ.

Czego chcesz, chłopcze?

GONIEC.

Przez tych pól rozłogi
Mecenas, pan mój, jechać dzisiaj będzie
Z orszakiem druhów — i chce zboczyć z drogi,
Aby w gościnne twoje wstąpić progi
I pewno w żarze południa tu siędzie,
Aż upał minie.

HORACYUSZ.

Czekam miłych gości.

(Goniec wychodzi. — Horacy klaszcze na niewolnika).

Każ pacholęciu niechaj kwiatów róży
Naznosi tutaj świeżych i wonności.
Niechaj Hiszpanka do stołu nam służy:
Dorodne dziewczę. Niech tu Cekub stanie
I Falern stary i w Helleńskim dzbanie
Sabiński cienkusz daj na skosztowanie.

(do Lalagi)

Nie prawda, dobrze nam dziś będzie w cieniu,
Lalage złota, za zastawnym stołem,
Gdy pół w rozmowie i na pół w marzeniu
Dzban pełny kręgiem otoczym wesołym?

LALAGE.

Prawda! i dobrze, że Hiszpanka bliska...

HORACYUSZ.

I już cię gniewa ta jedna myśl płocha?

LALAGE.

Znam uczty wasze! Miłość twoja śliska...

HORACYUSZ.

Niechaj mię tylko Lalage tak kocha...

LALAGE (przerywając).

Jak wieszcz, gdy okiem na Hiszpankę ciska...

HORACYUSZ.

Jak on, gdy myśli, że go lubisz trocha...
Wierzaj mu, luba! A z lutnią złocistą
Przyjdź dziś na ucztę, wdziej tunikę białą
Lub perską szatę, namaść wonią ciało,
Różami głowę uwieńcz promienistą,
I przy biesiadzie piosnkę zanuć śmiałą.

(Lalage wychodzi. — Chloe i kilku niewolników zastawia stół otoczony łożami).

CHLOE.

Już czworokonne stanęły rydwany
I młódź z nich dziarska zstąpiła podskokiem.
Rwą się rumaki, lśniąc od srebrnéj piany...
Mężowie jacyś wolnym idą krokiem,
A naprzód starzec w todze bramowanéj
I wieszcz w wawrzynach, w milczeniu głębokiem.

HORACYUSZ.

Witaj, Meceno! (Wchodzą: Mecenas, Wergili, Septymiusz, Postumiusz, Licydas) Ach i ty Wergili!
Więcej niż w czasach radości, niż w szale
Myślałem, druhu, o tobie w tej chwili
I tobie smutne poświęcałem żale.

WERGILIUSZ.

Boleśnie dawną odgrzebywać ranę,
Boleśnie smutki wznawiać opłakane...
Czyż Kwintyliusza...

HORACYUSZ.

Tak! — Witam was mili,
Bo wiém, że gdyście w progie me przybyli,
Ani was do mnie słodkie wabią dzbany,
Ani zabawy, ni niewolnic tany;
Chyba was nęci szczera pogawędka,
Swobodna — nie wiém, czy będzie wesoła?
Chyba was z nowu wiedzie do mnie chętka
Słuchania piosnek. — Patrzcie, wokrąg stoła
Łoża już stoją... Krzepcie wasze siły...
Wergiliuszu, Meceno, Septymi
Pijcie Sabina... Mnie i Sabin miły,
Gdy go z druhami piję najlepszymi.
(do niewolników).
Hej... hej... nalewać.
(do siedzących gości).
Stoją pełne krużę.
A tu niebawem przybędzie dziewczyna,
Greczynka biała. Na ustach ma róże,
Złocistą głowę i oczęta duże,
Młoda, szesnasty ledwie rok zaczyna,
Śpiéwa i tańczy. Dawno u mnie gości;
Anim za złoto kupił ją na rynku,
Ani mię wódz nią darzył w upominku:
Sama tu przyszła w progi me — z miłości.

SEPTYMIUSZ.

Patrz, jak ją okiem już Licydas goni.

MECENAS.

Stój, stójże chłopcze! Raczéj pilnuj wina:
Przybędzie, będziesz się mógł przysiąść do niéj,
Jeśli ci piękna pozwoli dziewczyna.

HORACYUSZ.

Już idzie!
(do wchodzącej Lalagi)
Siadaj tu, dziewczę, masz dzbanek,
A nie wypuszczaj lutni z srebrnéj dłoni...
O tu, tu, przy mnie, niechże się kochanek
Nacieszy wieńcem kwiatów pełnych woni.

(Lalage zajmuje miejsce między Horacym a Licydasem)

MECENAS.

Piosnkę Horacy! Oddawna, oddawna
Nie tknęła uszu strón twoich piosenka,
Czyż odkąd dzierży ją dziewczęcia ręka,
Zamilkła we śnie lutnia twoja sławna?...

HORACYUSZ.

To potém — potém, teraz jeśli chcecie,
Niech zabrzmi bardon przy méj lubéj głosie.
No, śpiéwaj, dziewczę, o złocistym włosie.

LICYDAS.
(bierze Lalagę za rękę)

Trąć, o trąć ręką strόny, boskie dziecię.

LALAGE.
(śpiéwa grając na lutni).

Kto zbrodni próżen, słucha tylko cnoty,
Ten o łuk nie dba, ni mauryjskie groty,
Ani o kołczan z zatrutémi strzały
Nie jest on dbały.

On i przez Syrty gotów iść pustynne,
I przez Kaukazu grzbiety nie gościnne,
I w téj bajecznéj wędrować krainie,
Gdzie Hydasp płynie.

Gdym o Laladzie nucąc, błądząc, kroczył
Lasem Sabińskim, w gąszczu wilk mię zoczył,
A choć bezbronny szedłem w puszczę ciemną
Uciekł przedemną.

Ni Daunia pośród swych żołędnych borów,
Nigdy tak strasznych nie rodzi potworów,
Ni je zna ziemia Juby, owa wielka
Lwów rodzicielka.

Wiedź mię w kraj dziki, kędy nigdy drzewa
Ożywcze wiosny tchnienie nie owiewa,
Kędy się wiecznie mglista twarz Jowisza
Nad ziemią zwiésza.

Staw mnie, gdzie prosto ponad głową świécą
Promienie słońca, za mieszkań granicą,
Wszędzie mém szczęściem—szczebiotka, chichotka
Lalage słodka.

MECENAS.

Cudownie, bosko, jak się zowiesz, mała?

LALAGE.

Lalage; słodką nazwał mię poeta.

SEPTYMIUSZ.

Patrzaj Postumi, jaka ręka biała!

WERGILIUSZ.

Z boskiego kruszczu ulana kobieta?

MECENAS.

Możebyś jeszcze piosnkę zaśpiewała.

LICYDAS.

Dam złotą szatę...

POSTUMIUSZ.

Dla niéj to podnieta!

LICYDAS.

Lecz jeszcze piosnka....

LALAGE.

Na co trudzić usta,
Gdy nie dla pieśni drży w nich krew czerwona.

HORACYUSZ.

Pocałuj, luba...
(Lalage całuje Licydasa)

SEPTYMIUSZ.

Ha, dziewczyna pusta.

POSTUMIUSZ

Patrz, już na szyję rzuca mu ramiona...

MECENAS.

Dajmy im pokój! niech się bawią młodzi,
Lecz nam czem innem zajmować się godzi,
Nas wieczna piękność nęci...

SEPTYMIUSZ.
(do Horacego)

Tak, piosenka!
Nam nie o ucztę, nam o śpiew twój chodzi.

POSTUMIUSZ.

I ja cię proszę, bo gdy żal mię nęka,
To zawsze rytm twój skronie mi ochłodzi.

HORACYUSZ.

Chloe, daj książkę...

SEPTYMIUSZ.

Patrz, czy się wieszcz gniéwa
Że tak źrenicą groźną w koło wodzi,
Czy ta dziewczyna piosnkę mu przerywa?

(Chloe przynosi Horacemu księgę)

HORACYUSZ

(rozwija zwój, czyta wreszcie pieśń następną, w czasie któréj Lalage śmieje się szydersko wraz z Licydasem).

Pamiętaj w walce zaciętéj z losami
I w szczęściu umysł zachować stateczny,
Niech Cię, Deliuszu, szczęście nie omami,
Boś nie jest wieczny.

Umrzesz, czy będziesz życie wiodł w boleści,
Czy w sadzie dnie uroczystych świątek
Spijać Falerno, które w sobie mieści
Sam lochu kątek.

Gdzie smukłéj sosny, topoli srebrzystéj
Splot się konarów w cień obfitych łączy,
Kędy wężykiem zdrój na łące czysty
Wody swe sączy.....

(Podczas następującéj zwrotki szepce coś Lalage Licydasowi do ucha, w czasie ostatnich dwóch wierszy brzęka puharami).

Niech tam wonności, czara stanie złota.
Każ tam naznosić kwiatów róży marnych.
Hej! póki wina stanie nam — żywota,
Przędzy sióstr czarnych.

(Rzuca książkę, urywa nagle i patrzy na Lalagę)

MECENAS.

No śpiewaj daléj! urywasz piosenkę?

SEPTYMI.

Czy to już koniec?

MECENAS.

Dajcie książkę w rękę.

HORACYUSZ.

(spokojnie)

Na cóż wam pieśni? Te, które już zwoje
Pergaminowe czernią długim szlakiem,
Chciałbym niedługo w świat wypuścić ptakiem.
Wtedy, Meceno, trafią w ręce twoje.
A tych, co jeszcze dotknięciem swéj ręki
Erato z mojéj nie wywiodła piersi,
Tych dziś wam nie dam.... dziś już dość piosenki.
Ot! pijcie raczéj, chociaż liche wino.
Gawędźcie, druhy, bądźcie ze mną szczersi,
Śmiejcie się na głos, aby w miłém gronie
Godzina szybko mknęła za godziną.
Hej, cóż Wergili? czemuś spuścił skronie?

SEPTYMIUSZ.

Laury mu ciężą.

LICYDAS.

(do Wergilego)

Więc je zrzuć co prędzéj.

MECENAS.

Pewno z Hadesu, z po za Lety głuchéj
Postacie jakieś nęcą go i duchy...

(do Wergilego)

Wergili, znowuż ten żywot śród nędzy
Smuci cię skrycie? Żal ci Kwintyliusza?

SEPTYMIUSZ.

Nie płaczże! sercem szczyć się Rzymianina!

HORACYUSZ.

Cicho! nie szepczcie! Godna płaczu strata
I godna żalu nieskalana dusza...
Żal się nam za nim budzi co godzina
I duch z bladego woła na nas świata.

POSTUMIUSZ.

Powiedzcież, mędrcy, czy też tam jest życie,
Gdzie nad Kocytem Plutona otchłanie,
Czy się z pamięcią traci byt w korycie
Letejskiéj rzeki?

MECENAS.

Ha! śmiałe pytanie.

POSTUMIUSZ.

Czy tam Kwintyliusz czuje co, czy żyje?

LICYDAS.

Czy mu tam oczy przyświecają czyje?

LALAGE.

Nie, nie! Tam bladzi duchowie i smutni.
Chyba krew ofiar wróci barwę krasną
Licom ich białym, tam nie słychać lutni...
O tam, Licydo, nasze słońca gasną,
Tam głowy, wonnéj różami, nie schylisz,
Tam puhar życia nie odnowi w tobie.
Wszak tak Horacy...

HORACYUSZ.

Ha, może się mylisz?

LALAGE.

Czyś mi nie mówił: „używaj, używaj!
Wszystko się skończy, kiedy legniesz w grobie",
Śpiewałeś innym: i mnie tak zaśpiéwaj!

HORACYUSZ.

(zrywając się)

Greczynko, takaż twoja wierność krucha?
Tyżeś mi dzisiaj mówiła, obłudna,
Że mnie tak kochasz, że żre twego ducha
Tęsknota za mną, że ci ziemia nudna
Zdala odemnie?

MECENAS.

Horacy, co tobie?
Czyż cię tak owa dziewczyna obchodzi?
Niewolnic u mnie dwieście, wybierz sobie
Tę, co najkształtniéj wygląda, najmłodziéj,
Co się nie darmo ponad inne szczyci
Gładkością lica, smukłością kibici...
Słuchaj, rzecz inną mam ci rzec w téj dobie:
August oddawna pragnie, abyś stale
Pozostał przy nim i listy, rozkazy
Stylem mu twardym wyrzynał wspaniale
I mistrzowskimi stroił myśl wyrazy.
Przystań Horacy, ja ten zamiar chwalę.

HORACYUSZ.

Czyliż więzami nie są więzy złote?
Czyliż nie nowe to dla mnie kajdany?
Wszakżeż ja każdą roskosz i ochotę
Mijam, niewoli bojaźnią wstrzymany...
Ale się czasem człowiek zapomina,
A wtedy... Wszakże, wszakże miłość wszelka
To głupie jarzmo... i każda dziewczyna,
Któréj żal potém — to niewola wielka!

MECENAS.

Więc nie? Horacy?

HORACYUSZ.

Raz jeszcze powtórzę:
Nie chcę pęt nowych.

MECENAS.

To, Licydzie wróżę,
Że pewno będzie przy boku Augusta....

SEPTYMIUSZ.
(do Postumiusza, cicho)
On i tak bogacz...

POSTUMIUSZ.
(do Septymiusza cicho:)
Horacy zgubiony!
Już nie zostanie tu dziewczyna pusta:
Do Rzymu pójdzie przy Licydy boku...

SEPTYMIUSZ.
(jak wyżej)
Ależ, poeta szalony, szalony...
(Chwila głuchego milczenia).

MECENAS.
Wergili! znowu ogień w twojém oku?

WERGILIUSZ.
Nic! To tak świéżość rzeki, kwiatów, jodeł,
Myśli mi jakieś nazwiewała nowe,
Chciałem, ach, sięgnąć do mądrości źródeł,
Lecz serce tylko zna przyrody mowę;
Do serca woła tak głośno i czysto
Głos tajny: nie dbam na rozum i głowę
I witam mary, jak prawdę wieczystą.
I gdy mię pytasz, Postumi, co będzie
Za Acherontem, to mnie się myśl budzi,
Że tam Bóg jakiś na stolicy siędzie
By, jak dziś karze — i nagradzał ludzi.

Ach, mnie wciąż szepce głos, pełen nadziei,
Że muszą wrócić znów czasy Astrei,
Że berłem świata Dziewica zawładnie.
Kiedy? czy dzisiaj? czy jutro? któż zgadnie?
Ale się czasy przybliżają złote.

Przynajmniej w duszy czuję już tęsknotę
Za sprawiedliwém na śmiertelnych prawem,
A zawsze gdy się w ludzkich sercach zrodzi
Pragnienie dobra, gdy go tłum zażąda,
To bóstwo jakieś pośpieszy niebawem
Stworzyć kształt piękny, na ziemię z nim schodzi
I wymarzone kwiaty — świat ogląda.

Musi przyjść jakiś czas sprawiedliwości,
Kiedy za życiem świat zabłyśnie nowy,
Abyśmy kładąc do grobowca kości
Mogli się zorzy uśmiechać różowéj.
Nie ścierpią bóstwa te nowe zakryte,
Ten bóg nieznany z Aten nie dozwoli,
Aby los jeden niewierną kobiétę
Spotkał i męża, co nad stratą boli.
Aby świat jeden przyjął owe dusze,
Co „użyć“ krzyczą przez drogę żywota
I te co znoszą spokojnie katusze
I które miara prowadzi i cnota.
Bo dzisiaj w życiu nie są równe szale!
Ten tu wygrywa, co bogów niepomny
Żyje w radości, w rozkoszy i w szale.
Nie ten, co życia dźwiga trud ogromny.

HORACY.

I ja tak myślę czasem, bo śród świata
Nie ma co kochać, nie ma czemu służyć.
W ojczyźnie cicho, nudne płyną lata
I my wołamy: „użyć, użyć, użyć!“

SEPTYMIUSZ.

Stój, stój bluźnierco, czy Jowisza gromy
Nie runą często na zuchwałych domy?
Nie cierpiż dumny srogiéj męki nieraz?

HORACYUSZ

(wybuchając)

Czemuż w niegodnych grom nie strzeli teraz?

LALAGE.

Chodź, mój Licydo, twoją pójdę drogą...
Horacy, żegnaj! Dawnych piosnek słucham
I wołam: „użyć!“ Na te słowa głucham
I one z drogi cofnąć mię nie mogą.

HORACYUSZ.

Jej czemuż Jowisz nie ukarze srogo?

MECENAS.

Gniéwasz się, gniéwasz, ty mój druhu stary?

HORACY.
(po chwili)

Rzucam gniéw o ziem! Miary! miary! miary!
Utopmy troski w Falerneńskim dzbanku
I daléj, daléj, w róż ognistych wianku
Śpiéwajmy! Może ty zaczniesz Wergili?

MECENAS.

Słuchaj, Kwintusie, Febus się już chyli
Ku zachodowi i ogniste konie
Ku gór sabińskich pokierował stronie.
Nim za sinością gór ukryje głowę
Musim być w Rzymie. Noc nas czeka bliska,
August dziś nocne wyprawia igrzyska:
Jedziemy, druhu... Wozy już gotowe.

HORACYUSZ.

Jedźcież, gdy trzeba... Lecz gdy w moje strony
Kto z was zawita, niech się do mnie spieszy...
Będziem weselszą prowadzić rozmowę,
Może nas wino smaczniejsze ucieszy,
Lutnia słodszymi będzie brzmiała tony.
(Wychodzą wszyscy prócz zadumanego Horacego)

HORACYUSZ
(sam).

Poszła Lalage. Widzę — w mirtów cieniu —
Idzie na jego oparta ramieniu.
Ha! ona piosnki posłuchała mojéj!

(Wraca ku stołowi, gdzie spostrzega lutnię)

Precz z nią! z tą lutnią! nie chcę jéj pamiątek,
Niech żmii żaden nie przypomni szczątek!

A jednak piękne, dziwne, słodkie dziecko!

Lecz precz z rozpaczą, niech mię Falern poi!
Bogi nie karzą, ja skarzę zdradziecką,
Zapomnę...
Kiedyż zechce na ziem wrócić
Astrea czysta!?

(Klaszcze i mówi do wchodzącego niewolnika)

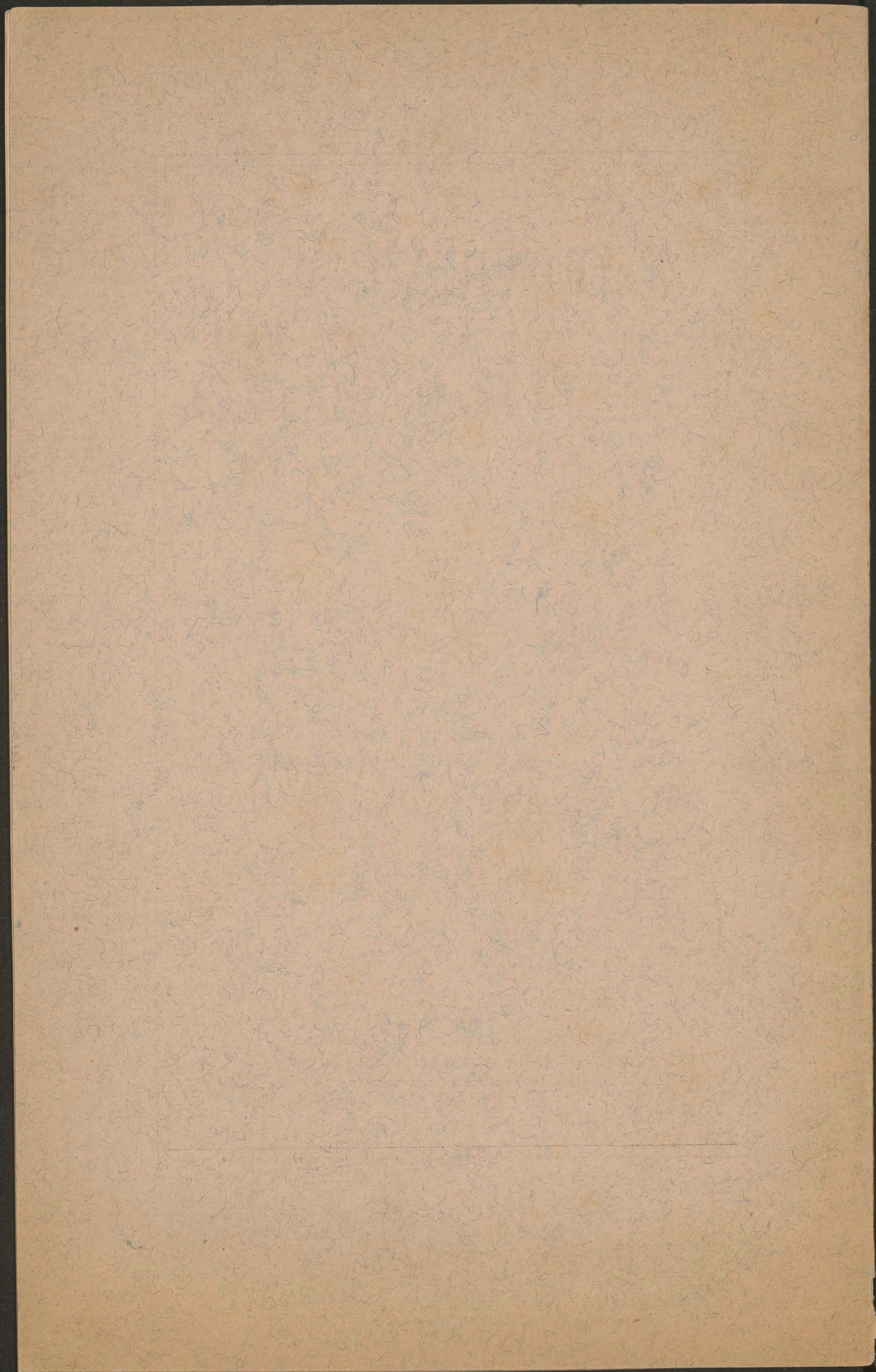
Lutnię tę wyrzucić

(po chwili namysłu)

A do mnie wezwać wnet Hiszpanki Chloi!



Napisane 29/30 X. 1880.
(w VIII. klasie gimnazyalnéj).



15

Die Fabel
vom
Löwenantheil
in ihrer geschichtlichen Entwickelung.

Inaugural-Dissertation
zur Erlangung der Doctorwürde
von der
Philosophischen Facultät der Friedrich-Wilhelms-Universität
zu Berlin
genehmigt und nebst den beigefügten Thesen öffentlich
zu vertheidigen
am 15. December 1888
von
Konstanty Górski.

Opponenten:
Herr Artur Berson, cand. phil.
Herr Charles Genung, cand. phil.
Herr Anton v. Kostanecki, cand. phil.

Berlin.
Mayer & Müller.
1888.



Die sprichwörtliche Redensart vom „Löwenantheil“ ist vielen Sprachen geläufig. G. Büchmann hat sie in sein Verzeichniss der deutschen „geflügelten Worte“, die französische Academie in ihr Wörterbuch, Erasmus in seine „Adagiorum chiliades quatuor“ aufgenommen.[1]) Sie ist sogar zu einem Terminus technicus des römischen Rechts geworden. Eine vom Rotterdamer Gelehrten angeführte, von G. Büchmann erwähnte Stelle des „Corpus iuris civilis“ (fragm. 29. pro socio XVII, 2) giebt uns Auskunft über den Sinn des Ausdruckes: „Aristo refert, Cassium respondisse societatem talem coiri non posse ut alter lucrum tantum, alter damnum sentiret, et hanc societatem leoninam solitum appellare.“[2])

Während aber Erasmus die Pandecten zu Hilfe zieht, um das geflügelte Wort zu erklären, findet er dessen Ursprung in einer aesopischen Fabel: „Caeterum Cassianam appellationem, haud dubium, proverbialem, ex Aesopi Graeci Apologo natam apparet, qui talis circumfertur“ Und darauf folgt die Fabel, die Büchmann auch als Quelle der Redensart gilt. Wenn dieselbe in der französischen Sprache wohl häufiger als in anderen vorkommt, darf man da nicht die Ursache davon in dem Umstande suchen, dass die aesopischen Fabeln nirgends heute so populär sind, so sehr in dem Gedächtniss

---

[1]) Vergl. G. Büchmann, Geflügelte Worte, XI. Aufl. S. 240.

Dictionnaire de l'Academie de France. VIIe edition. Unter „Part“ (Bd. II, S. 355) u. „Lion“ (Bd. II, S. 124).

Erasmi Roterodami Adagiorum Chiliades quatuor centuriasque totidem quibus etiam quinta additur imperfecta. Venetiis. 1520. Chiliadis primae centuria septima, No. 88.

[2]) Ed. P. Krueger et Th. Mommsen. Berolini, 1877. Bd. I, S. 224.

von Jung und Alt, Gross und Klein leben, wie bei den Landsleuten La Fontaines, dessen Sammlung zu einem Volksbuche, im besten Sinne des Wortes, geworden ist? Der Ausdruck „la part du lion“ ist deshalb so beliebt, weil er — wohl lebhafter als „Löwenantheil“ — die Erinnerung an eine Fabel Aesops hervorruft, die den Vorzug hat, ein Symbol alltäglich auftretender Verhältnisse zu sein. Wir sprachen deshalb von der Popularität des „geflügelten Wortes,“ weil sie als Beweis der Beliebtheit der Fabel selbst dienen kann. Wie alle Apologe Aesops ist sie zum Gemeingut der Gebildeten aller Nationen geworden: ganz treffend gebraucht von ihr Erasmus das Wort „circumfertur.“ Da sie ausserdem die Eigenschaft besitzt, eine oft vorkommende Situation in klaren, einfachen Zügen wiederzuspiegeln, ist es kein Wunder, wenn sie sich vielleicht noch einer speziellen Beliebtheit erfreut hat. Ohne von ihren zahlreichen Bearbeitungen jetzt zu sprechen, wollen wir einige Spuren ihres Einflusses anführen.

Ausser der erwähnten Stelle der Pandecten sprechen für ihre Beliebtheit im Alterthum noch zwei von Suidas angeführte Sätze, Bruchstücke zweier uns unbekannten Recensionen dieser Fabel, von denen jede einer der später zu erwähnenden Hauptversionen entspricht. Unter *λάχος* lesen wir:

Τοῦτο μὲν οὖν πρῶτον λάχος οἴσομαι.

und weiter, unter *λίς* (= *λέων*):

Ἐς βίοτον κοινωνὸς ʼόνῳ γένετʼ ὠμοβόρος λίς[1])

Wir finden auch unsere Fabel oft in ganz kurze, vierzeilige Gedichte zusammengefasst, denen noch manchmal eine Lehre folgt: diese sollen eher die allgemein bekannte Erzählung in das Gedächtniss rufen, als eine selbstständige Schilderung des Vorfalls geben. Coray führt in seiner Ausgabe aesopischer Fabel eine solche Bearbeitung einer von den beiden Hauptversionen an:

Ἄγρην γεράνῳ μέριζε καὶ κερδοῖ λέων.
Πρώτην δε μοῖραν, εἶπεν ὡς νομεὺς ἔχω.

---

[1]) Suidae Lexicon graece et latine . . . recensuit G. Bernhardy 1853. Bd. II, S. 513 u. 588.

Τὴν δευτέραν δὲ, φησὶν, ὡς ἄναζ φέρω.
Τρίτης δ' ὃς ἂν ψαύσειεν ἔργῳ μανθάνοι.

Ἀνίσοις κοινωνίαν φυλάττεσθαι.[1])

Die andere Hauptversion hat in Magister Ignatius (IX. Jahrh.) einen Bearbeiter gefunden, Sie lautet:

Λέων, ὄνος, κέρδω τε πρὸς θήραν ἴον.
Ὄνου δὲ ταύτην εἰς τρίτον δεδασμένου
Λέων κατεσπάραζε. Κερδὼ δὲ πλέον
Ἔνειμεν αὐτῷ, σωφρονισθεῖς' ἐζ ὄνου.

Ὅτι δεῖ ἐζ ὧν πάσχουσιν ἕτεροι παιδεύεσθαι.[2])

Die letztere Bearbeitung wurde ins Lateinische übertragen: eine Uebersetzung steht in Isaac Nevelet's bekanntem Sammelwerke „Mythologia aesopica"[3]), eine andere hat Fabius Paulinus Utinensis in Venedig, 1587, herausgegeben.[4]) Pierre Defrasnay, ein productiver und heute beinahe vergessener Fabeldichter des XVIII. Jahrh. hat in vier französischen Zeilen die Redaction des Ignatius zu übersetzen gesucht.[5])

Neben solchen Auszügen begegnen wir einfachen Anspielungen, worin die Fabel als eine allgemein bekannte vorausgesetzt wird. Guylem de Cervera, der in einer Sprache schreibt, die nur spärliche Ueberreste einer Fabelliteratur aufzuweisen hat, braucht nur mit einem Worte auf unseren Apolog zu deuten. Der provenzalische Dichter hält sich offenbar an die zweite der beiden, in griechischen Bearbeitungen von uns angeführten, Hauptversionen:

Si tu parts, honra gen
Lo meylor per raso:

---

1) Coray, S. 148.

2) Coray. No. 38 bis, Ἄλλως. S. 25.

3) S. 357.

4) Centum fabulae ex antiquis scriptoribus acceptae . . . explicatae a Fabio Paulino Utinensi. S. 119.

5) Mythologie ou recueil des Fables grecques, ésopiques et sybarithiques, Mises en vers François . . . par M. Pierre Defrasnay. 1750. Orléans. Bd. II, S. 204.

Membret del partimen
De l'ase e del leyo.[1])

In ähnlicher Weise spielt auf unsere Fabel Johannes Posthius an, ein in lateinischer Sprache dichtender Deutscher (1537—1597).[2])

Ausserdem wird die Fabel vom Löwenantheil im Mittelalter auf der Kanzel oft erwähnt. Bromyard ein englischer Mönch aus dem XIV. Jahrh. führt sie sogar in seinem Sammelwerke und Nachschlagebuche für Prediger „Summapredi cantium" an.[3]) Dieser Apolog ist es auch, den A. Lecoy de La Marche meint, da er unter den in Frankreich im Mittelalter am häufigsten in Predigten citirten Fabeln „Le lion et les animaux" nennt.[4]) Später werden wir ihr noch bei Gailer von Kaisersberg begegnen.

Wir sehen sie also einerseits in die Terminologie des juristischen Studiums, andererseits in das kirchliche Leben eindringen. Das genügt um uns zu rechtfertigen, wenn wir den Apolog vom Löwenantheil gewählt haben, um an ihm die Umgestaltungen, welche eine äsopische Fabel in den Händen zahlreicher Verfasser erhalten hat, zu verfolgen, manchmal auch Verhältnisse verschiedener Epochen, die sich in ihr abspiegeln, zu studieren, die mannigfaltige Auffassung der Moral, die eine Fabel mit sich bringt, zu vergleichen. Eine solche Arbeit ist für einige Apologe gemacht worden, wir wollen für eine beliebte Fabel ein ähnliches Unternehmen versuchen. Denn in jeder Fabel ist ein künstlerisches und ein ethisches Problem zu lösen, in jeder kann sich die Persönlichkeit des Verfassers in eigenthümlicher Weise kundgeben. An unserer Fabel haften, so zu sagen, angeborene Fehler, die von den ältesten Bearbeitungen an vorkommen, zwar beobachtet, aber selten verbessert werden: ein vorzügliches Beispiel der Macht stofflicher Ueberlieferung. Dagegen wechselt oft die Lehre, die

---

1) Romania, Bd. XV, S. 62, No. 495.

2) Vergl. Mythologia metrica et moralis . . . Hamburgi 1698. S. 4.

3) Nürnberg 1485. Bd. II, M. IX, art. 2.

4) Lecoy de La Marche: La chaire française au moyen-âge, specialement au XIIIe siècle. 2me ed. Paris, Renouard, 1886, 8°, S. 305.

aus diesem Stoffe gezogen wird, was desto erklärlicher ist, als sie nicht selten einen politischen oder socialen Anstrich bekommt. Einige Bearbeitungen könnten das Schiller'sche Motto „In tyrannos" tragen, andere — das sind die zahlreichsten — geben Vorsichtsregeln, wie man sich im Umgange mit Mächtigen zu verhalten oder besser sie zu meiden habe; der Verfasser einer französischen prosaischen Version giebt den Schwächeren den Rath, Geduld zu üben und auf eine Ausgleichung im künftigen Leben zu hoffen. Er singt, um mit Heine zu reden, „das alte Entsagungslied, das Eiapopeja vom Himmel." Endlich suchen oft die Prediger einen mystischen Gedanken in die weltkluge Thierfabel hineinzulegen.

Wir haben schon Gelegenheit gehabt von zwei Hauptversionen unserer Fabel zu reden und ein Beispiel von jeder Auffassung zu geben. „Ich zähle — sagt Mall in einem noch zu erwähnenden Aufsatze über mittelalterliche Fabeldichtung — ich zähle beide Stücke aus verschiedenen Gründen für Eine Fabel"[1]) Warum wir ihm folgen, warum wir sie nicht als zwei selbstständige Fabeln betrachten, kann besser am Schlusse dieser Uebersicht erklärt werden. Im Grunde genommen behandeln sie ja einen Stoff, welcher, kurz gefasst, so lautet: Ein Löwe geht mit anderen Thieren zusammen auf die Jagd und versteht es am Ende unter einem Vorwande Herr der ganzen Beute zu bleiben. Nur in einigen russischen Fabeln, die wir doch hier erwähnen zu dürfen glauben, ändert sich dieses allgemeine Schema. Die Beute wird nicht erjagt, sondern gefunden; nicht der Löwe ist es, der die Gesellen beraubt, sondern der dem russischen Volke besser bekannte Bär.

Die Idee einer Jagd bei welcher sich der Löwe von anderen Thieren helfen lässt, kommt in mehreren äsopischen Fabeln vor, so z. B. No. 259 in Halm's Ausgabe. Auch wird einmal der Fuchs zu schlecht bei der Theilung behandelt, jagt desshalb weiter allein, bis er schliesslich von Jägern getödtet

---

1) Ztschr. für rom. Philos. IX, S. 170.

wird. (Halm No. 41). Die ungleiche Theilung, die den Hauptinhalt unserer Fabel bildet, ist hier nur Episode; die Lehre, dass man mit einem kleinen aber dafür sicheren Antheil zufrieden sein solle, gleicht einer am Schlusse unserer Fabel oft wiederholten Regel. Vielleicht ist die Aehnlichkeit mit unserer Fabel Ursache davon, dass dieser Apolog kein weiteres Glück gehabt hat.

Jede der erwähnten Hauptversionen muss einzeln behandelt werden. Einer von ihnen ist durch Phaedrus Bearbeitung eine Popularität zu Theil geworden, die mit derjenigen der anderen Version verglichen, als eine bedeutende bezeichnet werden darf. Die Anzahl der Redactionen, die meistentheils von Phaedrus mittel- oder unmittelbar abhängig sind, ermöglicht es, einen litterarischen Stammbaum zu entwerfen, der ein allgemeines Bild der Schicksale einer Fabel zu geben geeignet ist. Deshalb wollen wir mit dieser Version anfangen; die andere bietet uns dagegen mehr einzelne interessante Fälle, die daher besser nach der ersten Uebersicht zu studieren sind.

Erste Version.

I.

Der charakteristische Zug derjenigen Bearbeitungen, die wir zur ersten Hauptversion zählen, liegt in der vollständigen Passivität der Genossen des Löwen, in dem Umstande, dass er Ansprüche auf die ganze Beute erhebt, denen keiner entgegentritt. Alle Fabeln, die zu dieser Version gehören, können auf einen Apolog, der Aesop's Namen trägt, zurückgeführt werden. Wir finden ihn in Halm's Ausgabe unter No. 258· (bei Coray unter No. 225. und mit geringen Aenderungen bei Furia unter No. 299.)

Λέων καί Ὄναγρος.

Θῆρας ἐθήρευον λέων καὶ ὄναγρος, ὁ μὲν λέων διὰ τῆς δυνάμεως, ὁ δὲ ὄναγρος διὰ τῆς ἐν ποσὶ ταχύτητος. Ἐπεὶ δὲ ζῶά τινα ἐθήρευσαν, ὁ λέων μερίζει καὶ τίθησι τὰς μοίρας. „Τὴν μὲν μίαν“ εἶπεν „λήψομαι ὡς πρῶτος, βασιλεὺς γὰρ εἰμι. τὴν δὲ δευτέραν, ὡς ἐξ ἴσου κοινωνῶν. ἡ δὲ τρίτη μοῖρα, αὕτη κακὸν μέγα σοι ποιήσει, ἢν μὴ ἐθέλῃς φυγεῖν.

Es folgt die übliche Lehre, deren erster Theil etwas unerwartet auftritt:

Ὅτι καλὸν ἑαυτὸν μετρεῖν ἐν πᾶσι κατὰ τὴν ἑαυτοῦ ἴσχυν, καὶ δυνατωτέροις ἑαυτὸν μὴ συνάπτειν μηδὲ κοινωνεῖν.

Die Fabel ist von Babrios in choliambische Trimeter gebracht worden. Sie trägt die No. 67.

Zwei Umstände seien in der Fassung Aesops und Babrios hervorgehoben. Erstens jagen nur zwei Thiere, der Löwe und der Waldesel; warum ist denn von drei Antheilen die

Rede? Ist es etwa durch die Analogie der anderen Hauptversion herbeigeführt, wo bei Aesop (Halm, No. 260) der Esel anfangs die Beute in drei Portionen zertheilt, deren je eine ihm selbst, dem Löwen und dem dritten Genossen, dem Fuchs, zugedacht wird? Oder führte vielmehr auch diese Version ursprünglich drei Theilnehmer ein, wie wir sie z. B. in der oben citirten, vierzeiligen Redaction noch finden?[1]) Fuchs und Kranich, die sich in einer recht populären Fabel gegenseitig einladen, um sich dann das Essen wegzuschnappen, finden wir hier durch einen dritten vereinigt. Der Löwe eignet sich von Rechtswegen die ganze, gemeinsame Beute an. — Daran knüpft sich die zweite Bemerkung. Der Waldesel, ein grasfressendes Thier, ist, als Theilnehmer an der Beute eines Löwen, keine glücklich gewählte Figur. Dasselbe gilt vom erwähnten Kranich, und von den Thieren, die in mancher noch zu betrachtenden Bearbeitung vorkommen, vor allem bei Phaedrus. Ein Chorherr im Stifte Polling Xaver Weinzierl, der 1797 einen „Phaedrus in deutschen Reimen" herausgab, versuchte wie viele andere, den Mangel zu beseitigen, indem er dem Löwen einen Wolf und einen Panther als Jagdgenossen gab. So waren die Theilnehmer drei an der Zahl, und alle fleischfressende Thiere. Wir erwähnen hier Xaver Weinzierl, weil er sich, trotz seines Titels, mehr Aesop als dem römischen Dichter nähert, für den die Zahl der jagenden Thiere, vier, charakteristisch ist. Einige Züge mahnen aber doch wieder an Phaedrus, so z. B. die Erwähnung, dass die Beute aus einem Hirschen bestand, die Zumuthung des Löwen, die Thiere selbst würden ihm den zweiten Theil der Beute abgeben, endlich die zwei letzten Zeilen, die der letzen bei Phaedrus genau entsprechen. Uebrigens sind in der Fabel des Chorherrn andere Einflüsse erkennbar: der Wolf heisst Isegrimm und am Anfang steht ein Sprichwort, das wir noch öfters, besonders in mittelalterlichen Bearbeitungen treffen werden. Andererseits scheint das ausdrückliche sich Berufen des Löwen auf das Recht des Stärkeren auf den

---

[1]) Coray, S. 148.

Einfluss des damals in Deutschland so beliebten La Fontaine zurückgeführt werden zu müssen.

La seconde par droit, me doit échoir encor:
Ce droit, vous le savez, c'est le droit du plus fort.

Nach der äsopischen Fassung, die den Ausgangspunkt der Geschichte unserer Fabel bildet, lassen wir diese späte, von allerlei Einflüssen zeugende Bearbeitung folgen.

Der Löwe, Panther und Wolf.[1])

Ifs nie mit Grossen Kirschen du;
Sie schnippen dir die Kerne zu.

Der Löwe, und der Panther
Durchstrichen einst selbander
Auf einer Jagd den Hain:
Sie luden Isegrimm auch ein.
Gleich fiel ein schöner, fetter Hirsch
In ihre Lauer auf der Bürsch.[2])
Der Löwe theilt die Beute
Mit folgendem Bescheide:
„Den ersten Theil, den gebe
„Ich mir! — Bin König Löwe! —
„Ihr kennet ja des Stärkern Recht?
„Zur Steur der Wahrheit, glaub' ich, sprecht
„Ihr selber mir den zweiten zu?
„Und rührst du Wolfe — Panther du,
„Den dritten Theil verwegen an,
„Sollt fühlen, was ein Löwe kann."
Und so gewann die böse Majestät
Allein die Beute ohne Wiederred'.

Sonst finden wir sehr wenige Beispiele einer Anlehnung an die äsopische Fassung. In einer 1760 erschienenen

[1]) Phaedrus in deutschen Reimen . . . Von Xaver Weinzierl . . . München, 1797. S. 13. Fabel 5 des I. Buches.

[2]) Vergl. unten La Fontaine.

Sammlung „Fabeln aus dem Alterthume“ lesen wir eine Bearbeitung, worin wiederum der Hirsch des Phaedrus vorkommt, die andererseits aber neben der Dreitheilung nur den Löwen und den Waldesel einführt.[1]) Den Schluss bildet eine ganz glücklich gebrauchte Aposiopesis, deren Eindruck durch eine kräftige Lehre nicht abgeschwächt wird: „Das erste gehört mir, weil ich König bin, der andere ist mein eigentlicher Antheil, und das dritte — — rührst du mir das an, so soll dich — —“

„Verbinde dich mit einem Mächtigen und suche Aufrichtigkeit, so wirst du betrogen.“

Der Einfluss des Phaedrus auf diese, sonst noch von Aesop am meisten abhängigen Bearbeitungen, zeugt von der Wichtigkeit der lateinischen Fassung für die Geschichte unserer Fabel. Dieselbe lautet:

Nunquam est fidelis cum potente societas:
Testatur haec fabella propositum meum.

Vacca et Capella et patiens Ovis iniuriae
Socii fuere cum Leone in saltibus.
Hi cum cepissent Cervum vasti corporis,
Sic est locutus, partibus factis, Leo:
Ego primam tollo, nominor quoniam leo;
Secundam, quia sum fortis, tribuetis mihi;
Tum, quia plus valeo, me sequetur tertia;
Malo adficietur si quis quartam tetigerit.
Sie totam praedam sola improbitas abstulit.

Einen von den in der äsopischen Fassung beobachteten Fehlern hat Phaedrus beseitigt: bei ihm sind die Zahl der Theilnehmer und die der Antheile gleich. Der andere Uebelstand bleibt dagegen bestehen: die Jagdgenossen des Löwen

---

[1]) Fabeln aus dem Alterthume in 4 Büchern. Breslau u. Leipzig 1760. (Die Vorrede mit den Buchstaben I. F. R. unterzeichnet) S. 10, Fab. VIII.

sind alle Grasfresser; auch wurden unter denselben absichtlich sehr zahme gewählt. „Le cerf peut-il être la pâture de ces animaux?“ fragte schon Richer, der besonders durch die scharfe Kritik, die an ihm Lessing übte, bekannte französische Fabeldichter.[1]) Und doch folgten so viele Nachahmer des Phaedrus irre leitenden Spuren.

Eine lange Zeit hindurch hat er nicht unmittelbar gewirkt. Das Mittelalter kannte ihn vor allem in Prosaauflösungen: eine solche, die sich ängstlich an seine Worte hielt, können wir in Hervieux' Werke: „Les Fabulistes latins du moyen age“ (Paris 1883—1884). Bd. II, S. 124 lesen. Daneben finden wir eine andere, in mehreren Versionen vorkommende, welche den Namen Romulus trägt: sie ist es, die auf die Fabeldichtung des Mittelalters entscheidend gewirkt hat. Zur Zeit der Renaissance gab es wiederum andere Redactionen, die den eigentlichen Phaedrus überflügelten, auf dem sie beruhten; vom XVII. Jahrhundert an, wurde das römische Vorbild, von seiner französchen Bearbeitung, Phaedrus von La Fontaine in den Schatten gestellt.

Alle diese Fassungen müssen, der Reihe nach, durchgesehen werden: Vorher wollen wir aber unsere Aufmerksamkeit einer Gruppe von Fabeln widmen, die auf einer Romulusversion beruhen und dennoch von Phaedrus stark abweichen.

---

[1]) Citirt in Guillon's: La Fontaine et tous les fabulistes (Milan, 1803). Bd. I, S. 21.

II.

Fünf Fabeln zählen wir zu der jetzt zubesprechenden Gruppe. Sie stammen aus fünf Sammlungen, deren Gegenseitige Abhängigkeit theilweise von Mall festgestellt worden ist. Erstens ist es eine Romulusversion, die von ihrem ersten Herausgeber (Lugduni Batavorum, 1709) Romulus Nilantii genannt wird.[1]) Zweitens: die alt-französische Sammlung der Marie de France.[2]) Nach Mall ist eine verloren gegangene englische Bearbeitung, die theilweise auf dem Romulus Nilantii beruhte, als Quelle der Marie anzusehen.[3]) Drittens: eine von Ghivizzani herausgegebene italienische Sammlung, die, einer Anmerkung Mall's zufolge, aus dem selben „Aesop," wie Marie, geflossen ist.[4]) Viertens: die Fabeln des lateinischen Compilators, den Hervieux „Fabulae exortae ex Mariae Gallicae Romulo et aliis quoque fontibus" nennt, Mall nach den Orten, wo sich die Haupthandschriften befinden (London, Brüssel, Göttingen) mit den Buchstaben L B G bezeichnet.[5]) Er zählt sechs Quellen auf, die der Compilator gekannt haben muss, unter denen jedenfalls Marie die wichtigste ist. Fünftens: eine von Hervieux veröffentlichte versifizirte Romulusversion.[6])

Jede von diesen fünf Sammlungen enthält zwei Fabeln,

---

1) Vergl. Hervieux II, S. 332.

2) B. de Roquefort: Poésies de Marie de France, Tome II, Paris 1820; Fabel 11, S. 97.

3) Ztschr. f. rom. Phil. IX, S. 161 ff.

4) Il Volgarizzamento delle Favole di Galfredo . . . edito per cura di G. Ghivizzani. Bologna, 1866. Bd. II, S. 172. Fabel 67.

5) Hervieux Bd. II, S. 502.

6) Hervieux Bd. II, S. 439.

die sich auf den Löwenantheil beziehen, und beide zur ersten Hauptversion gehören. Wir wollen jetzt nur diejenige Fabel behandeln, die mit Phaedrus die geringere Aehnlichkeit besitzt. Der Löwe tritt hier immer mit zwei Genossen auf, deren einer stets der Wolf, der andere der Büffelochs, in einem Falle nur der fleischfressende Bär ist. Schon bei Aesop ward der Löwe König genannt; das Mittelalter giebt jetzt den anderen Thieren Aemter: ein feudales System im Kleinen. Ein Hirsch, wie bei Phaedrus, wird getödtet und es entsteht die Frage, wer ihn theilen soll. Das wird schliesslich dem Löwen überlassen, der auf alle drei Theile Anspruch erhebt. Nur sind seine Gründe nicht immer dieselben.

Im Romulus Nilantii fragt der Wolf, der „praepositus" ist, den Büffelochsen, der „comes" heisst, wer die Beute theilen solle „Bubalus inquit in judicio senioris hoc constare." Talia Leo sentiens ita inquit: „Perspicuum vobis est quod mihi prima pars contingit, quia Rex sum; secunda, quia vobiscum illum occidi; tertiam autem si quis sibi vendicat, offensam meam incurrit."

Marie de France weicht von Romulus etwas ab. Die Frage des Wolfes finden wir wieder, doch sind Aemter und Gründe verschieden:

Dou Bugle ot fait sun Seneschal
C'a preu le tint et à loial;
Au Leu bailla sa Provosté.

Li Léons a dit è jurei
Ke tuit sevent par veritei
Ke la première part avreit
Pur ce que Reitz è Sire esteit.
E l'autre car pur le gaaing
Il ot esté li tiers compaing.
La tierce part, ce dit, avreit
Car il l'ocist, raisuns esteit.
E se nus d'eauz deux la preneit
Ses anemis mortex sereit . . .

Darauf folgt bei Marie eine Moral, welche im Romulus Nilantii fehlte; die letzten Zeilen lauten:

Li Riches volt aveir l'ounur,
U li Povres perdra s'amur.
Se lur gaaing deivent partir,
Li Riches velt tut retenir.

Der lateinische Compilator L B G nennt den Büffelochsen „justitiarius", den Wolf „praepositus." Die ersten zwei Gründe des Löwen gleichen denen bei Marie; nur giebt er als dritten Grund nicht den Umstand an, dass er den Hirsch getödtet habe: es folgt allein die Drohung. „Sic igitur illi — schliesst die Fabel— recedentes vacui, caudam et caput Leoni dimiserunt."

Im Codice Rigoli, den Ghivizzani herausgab, ist von keinen Aemtern die Rede; auch ist es diesmal der Löwe selbst, der fragt, wer theilen solle. Die Gründe, die er anführt, gleichen denen bei Marie: „ . . . la terza debbo avere perciocchè prima lo presi e uccisi; e se voi ne voleste dire altro sareste miei nemici; sicchè il Lupo e l'orso gliele lasciarono di cheto per la putta paura."

Keine Aemter giebt es auch in der fünften Fabel, die einer ganz barbarisch klingenden versifizirten Romulusversion entnommen ist. Die Gründe des Löwen sind noch anders gestaltet:

Michi prima portio debet venerari,
Quia rex sum pecorum; secunda donari,
Quia cervum prendidi; si quis asportari
Partem vult reliquam, sibi me sciat ille minari.

III.

Die anderen, direct auf Phaedrus beruhenden Romulus-versionen, zerfallen, was unsere Fabel anbelangt, in drei Gruppen.

Als Typus der ersten Redaction betrachten wir diejenige, welche Hervieux kurzweg Romulus nennt und Bd. II, S. 179 abgedruckt hat. Sie folgt dem Phaedrus ganz getreu; nur selten wird ein anderes Wort, ein anderer Ausdruck gewählt, welcher sich auch gewöhnlich in späteren Bearbeitungen erhält. So stellt Romulus „quia plus cucurri“ statt des allgemeineren „plus valeo“ des Phaedrus, so ersetzt er das „malo adficietur“ durch das leichter verständliche „inimicum me habebit.“ Die anderen, von Hervieux Bd. II, S. 149, 250, 286, 306, 366, 382, 413 angeführten Redactionen und Nachahmungen des Romulus (unter den letzten z. B. der des Vincentius Bellovacensis, eines Mönchs aus dem XIII. Jahrh. und der des Johannes von Scheppey, Bischof von Rochester (†1360), Hervieux Bd. II, S. 236 u. 757 nicht zu vergessen) unterscheiden sich kaum untereinander. Einige, wie die aus dem Berliner Codex und den zwei Wiener Codices Stammenden (Hervieux Bd. II, S. 250, 286, 306) zeugen noch von einer näheren Verwandtschaft. Die Fabel des Berner Codex (Hervieux Bd. II, 382) nimmt einen Anlauf zu einer kleinen Aenderung, die weiter hätte geführt werden können. Statt nämlich die Theile des Hirschen als den ersten, zweiten u. s. w. zu bezeichnen, war es möglich, sie aus besonderen Gliedmassen bestehen zu lassen. Es sagt hier auch der Löwe: „Ego primus caput cum collo volo, quod Leo rex sum animalium.“ Aber weiter heisst es schon: „Secunda pars mea est“ u. s. w.

Zur zweiten Gruppe gehört die Redaction, welche Hervieux nach einem Münchener Codex herausgegeben hat und deshalb „Romulus Monacensis" nennt.[1]) Sie verdient deswegen unsere besondere Aufmerksamkeit, weil wir sie in dem für die Geschichte der Fabel wichtigen Werke von Rinucius oder Remicius fast wörtlich abgedruckt finden[2]). Sie weicht sonst recht wenig von der ersten Romulusversion ab. — Auch für die deutsche Litteratur hat sie Bedeutung: Steinhöwel's Aesop lehnt sich bekanntlich an Remicius an, den er deutsch genau wiederzugeben sucht.[3]) „Dicitur in proverbio" lesen wir im lateinischen Text „nunquam fidelem esse potentis divisionem cum paupere." Steinhöwel übersetzt: „Es ist ain gemain Sprichwort: Nicht gesell dich zuo gewalt, so behelt dyn wesen ouch ain guot gestalt." Weiter geht es aber ganz wörtlich; nur selten fügt Steinhöwel einige Worte zu. So sagt z. B. Remicius nach dem Romulus Nilantii: „Ego primam (partem) tollam, ut Leo." Es steht bei Steinhöwel: „Den ersten Tail nim ich, darumb das ich ain leo und ain künig aller tiere bin."

Zur dritten und letzten Gruppe zählen wir die zweite, schon erwähnte Fabel des Romulus Nilantii und die von ihr abhängingen vier anderen, die wiederum aus folgenden Sammlungen stammen: a) Marie de France, b) den italienischen Aesop des Codice Rigoli, c) die lateinische Compitation L B G. d) „In rythmicum sermonem transtatae Romuleae fabulae."[4])

Der Romulus Nilantii zeigt diesmal nur geringe Abweichungen von Phaedrus, dessen vier Träger der Handlung er übernommen hat. Nur ist es der Löwe allein, der hier

---

[1]) Hervieux Bd. II, S. 716.

[2]) Zum ersten Mal in Mailand 1474 bei Antonius Zaratus erschienen. Vergl. Buch I, Fab. 6.

[3]) Steinhöwels Aesop herausgegeben von Hermann Oesterley. Tübingen 1873 S. 86. — Die erste Ausgabe ohne Jahreszahl bei Johann Zeiner in Ulm.

[4]) Vergl. Hervieux II, S. 332, 502, 440. Ghivizzani, Bd. I, S. 37. Fabel XII. B. de Roquefort. Bd. II, S. 100. Fabel XII.

den Hirsch tötet; da die Beute getheilt da liegt, haben seine Genossen nicht Kraft genug, um ihre Antheile wegzutragen, was dem Löwen Anlass giebt, sie alle zu nehmen. „Ego primus quasi fortior omnes partes tollam.“

Direct an den Romulus Nilantii schliesst sich die gereimte Fassung:

Leo cervum prendidit, quem jussit frustrari
Quatuor in partes et partem cuique parari.

Sed dum ferae debiles non possint parare
Partes sibi traditas, Leo sullevare
Cœpit omnes pariter. . . . .

Bei Marie de France und im Codice Rigoli finden wir weder den Umstand, dass der Löwe den Hirsch selbst tödtet, noch die Theilung, von welcher die schwachen Thiere keinen Nutzen haben können. Marie sagt nur, dass sie den Hirsch theilen wollten:

En quatre partz voelent partir.

Sonst gleicht sich die Fabel der Marie de France und die italienische Redaction in manchem Punkte, und sie bestätigen dadurch die Bemerkung, welche Mall im Vorübergehen hingeworfen hat.

Wir wollen einige charakteristische Züge zusammenstellen.

Bei Marie:

Une autre foiz ot li Léuns
El bois od lui plus cumpaignuns;
La Chièvre et la Brebiz i fu.

Im Codice Rigoli:

Dice lo conto che una fiata si trovò lo Leone nel bosco con molti compagni, e fuvvi la Capra e la Pecora.

In Romulus Nilantii werden dagegen alle Theilnehmer der Jagd, Löwe, Kuh, Ziege und Schaf, angeführt. Das ist das gewöhnliche.

Bei Marie:

La gregnur pars deit estre meie
Car jeo sui Rois, la Cort l'otreie.

Im Codice Rigoli:

. . . la prima dee essere mia perciocch'ios ono Re, e la Corte lo vuole.

Von der Zustimmung des Hofes ist weder im Romulus Nilantii, noch in irgend einer uns bekannten Version die Rede.

Die Reihenfolge der Gründe, welche der Löwe anführt, ist in beiden Fabeln eine ungewöhnliche. Auch ist der Schluss der Rede in beiden ein ganz ähnlicher:

Bei Marie:

La quarte ai-jeo si devisée
Que nus ne l'avra sans mellée

Im Codice Rigoli:

. . . la quarta parte abbo sì divisata che niuno di voi la puote avere sanza battaglia.

Der Compilator L B G fängt wie Marie an, indem er sich an die andere Fabel vom Löwen, Wolf und Büffelochsen erinnert: „Alio etiam tempore." Doch schliesst er sich im weiteren Verlauf mehr an den Romulus Nilantii an und nennt alle Theilnehmer der Jagd. Der Löwe lässt es gleich erkennen, fast ebenso deutlich, wie in Romulus Nilantii, er würde doch Herr der ganzen Beute bleiben: „Pati satis volo, quot quatuor fiant partes; sed quia rex sum ego, prima pars erit mea. . ." u. s. w.

IV.

Der Romulus, der durch eine Prosaauflösung des Phaedrus entstand, ist im Mittelalter wiederum in lat. Verse gebracht worden. Eine gereimte Bearbeitung haben wir schon kennen gelernt. Wichtiger für die Geschichte der Fabel sind die rhythmischen Redactionen des sogenannten Anonymus Neveleti und des Alexander Neckam.

Die erste stammt wohl aus dem XII. Jahrh. und erhielt ihren Namen von Isaac Nevelet, der sie dem Vergessen entriss und in seine „Mythologia aesopica" (Frankfurt am Main, 1610) aufnahm.

Die Fabel vom Löwenantheil (Nr. 6) lautet:

Ut ratione pari fortunae munera sumant,
Sumunt fœdus ovis, capra, iuvenca, leo.
Cervus adest. cervum rapiunt. leo sic ait: heres
Primae partis ero, nam mihi primus honor.
Et mihi defendit partem vis prima secundam,
Et mihi dat maior tertia iura labor.
Et pars quarta meum, nisi sit mea, rumpet amorem.
Publica solus habet fortior, ima premens.
Ne societ fortem fragilis, vult pagina praesens,
Nam fragili fidus nesciet esse potens.

Dass es nach der gemeinsamen Jagd eine Theilung der Beute geben sollte, verstand sich immer von selbst; hier finden wir es zum ersten Mal ausgesprochen, und zwar wird eine gleiche Theilung verabredet. An der Spitze der Fabel wird der Vertrag erwähnt, ut ratione pari u. s. w. — Da darauf die Treue gebrochen wird, ist die stark pessimistische

Lehre erklärlich. Phaedrus constatirte nur die Thatsache, ein Bündniss mit Stärkeren sei nie dauerhaft; im Anonymus wird die Treue als etwas den Mächtigen geradezu Unmögliches hingestellt.

Diese Merkmale des Anonymus werden sich bei seinen Nachahmern wiederholen, ebenso die Auffassung und Reihenfolge der vom Löwen angegebenen Gründe: 1. Würde des Löwen, 2. seine Kraft, 3. seine Verdienste bei der Jagd, 4. Gefahr eines Kampfes mit ihm. Der letzte Umstand ist hier wiederum durch das allgemeine aber auch ironische „rumpet amorem" ausgedrückt.

Die Popularität des Anonymus war eine ungemein grosse. Seine elegischen Verse wurden nochmal in Prosa umgewandelt. Hervieux, der den Anonymus Walther Anglicus nennen möchte, hat u. d. T.: „Gualterianae Fabulae" diese prosaische Sammlung veröffentlicht[1]). Charakteristisch ist in unserer Fabel der Gebrauch des Futurum in der Rede des Löwen; wir haben es in einigen Romulusversionen (R. Monacensis, R. Nilantii etc.) gesehen; wir treffen es im Anonymus, auf dessen Nachahmer es nicht ohne Einfluss sein wird. Im Anonymus heisst es:

Heres
Primae partis ero.

In den „Gualterianae Fabulae" lesen wir:

„Habebo primam partem" u. s. w.

Eine Nachahmung unserer Fabel, wie sie der Anonymus Neveleti auffasste, finden wir in folgenden Sammlungen: Lyoner Ysopet, Ysopet I, Dialogus creaturarum, Galfredo, Esopo volgarizzato per uno da Siena, Ulrich Boner's Edelstein — und in einer altböhmischen Handschrift.

Der Lyoner Ysopet, der von seinem Herausgeber, W. Förster, als eine „altfranzösische Uebersetzung des XIII. Jahrhunderts in der Mundart der Franche-Comté" bezeichnet

---

[1]) Hervieux II, 428.

[2]) Lyoner Yzopet . . . . herausgegeben von W. Förster, Heilbronn 1882. S. 8. Fabel 6.

wird, schmückt seine Vorlage oft aus, wenn er auch dieselbe deutlich erkennen lässt. Die lateinische Fabel, die auf Romulus, also schliesslich auf Phädrus zurückgeht, ist der Richtung, die von den Franzosen „esprit classique" genannt wird, entsprossen: Schilderung in grossen, klaren Zügen, abstracte Darstellung, wie in einer klassischen Tragödie, wo der Ort ein beliebiger, allgemeiner ist, wo das individuelle und zufällige ausfällt, wo auf Aeusserlichkeiten, wie Decorationen und Costüme sehr wenig geachtet wird. In der altfranzösischen Bearbeitung liegt Alles umgekehrt; sie ist ein Werk des breit erzählenden, viel schildernden, auf Kleinigkeiten aufmerksamen Mittelalters. — Noch öfters gäbe uns der Vergleich zwischen zwei Fabeln Gelegenheit zur Wiederholung unserer Bemerkung.

Einige Verse mögen als Beweis der Ausführlichkeit des Lyoner Ysopet dienen. Die Absicht, die Beute gleichmässig zu theilen, ist hier zum Schwur geworden. Die Worte: „cervus adest, cervum rapiunt" gaben Anlass zu einer Beschreibung der Jagd.

. . . Cilz quatres con loiaus amis
Foi et amour se sont promis.
Lour gain doivent per soiremant
Entre lour pertir ygalmant.
Cilz quatres qui sont aiostey
Au chemin se sont arostey
Un ior, por querre lour viande.
Il esgardent en une lande,
Virent 1 mout grant cert saillir,
Chescuns pense de l'essaillir.
Mout avoit de bois trespessez
Li cers, s'ere chauz et lessez.
Il estoit des chiens eschapey,
Qui tout le iour l'orent glapey; (bellend verfolgen? Förster).
Mais il chaist en pire main.
Il li corrent sus mainnemain,
Ensamble l'essaillent tuit quatre,

Travaillent soi de lui abatre.
Tant l'ont navre, tant l'ont malmis
Qu'a derrier l'ont au desoz mis;
De toute part font lo sanc corre,
Mort l'ont . . . . . .

Die andere altfranzösische und auch gereimte Bearbeitung des Anonymus Neveleti, der von seinem Herausgeber sogenannte Ysopet I (Anfang des XIV. Jahrh.), weicht viel weniger von ihrer Grundlage ab und behält oft selbst kleine Details bei[1]:

Le lyon dit qu'il yert seigneur
De la premiere par honneur.
Et pour ce que ma force est graindre
Me doit la secunde remaindre . . . u. s. w.

Nur der Anfang und die Schlussmoral sind etwas freier von directer Anlehnung.

Moult a grand piece que l'en dit
Que compaignie Dieu la fist;
Mais d'une que vous vueil ci mettre
Ne se dut oncques entre mettre.

Im Schlusse finden wir einen Anklang an ein Sprichwort, dem wir schon begegneten; es lehrt, es sei schlecht mit Grossen Kirschen essen, sie nehmen die Frucht und werfen die Stiele dem Genossen zu:

Ne t' acompaigne a grans satrapes.
Ils auront le fruit, tu les grapes.

Das lateinische, prosaische Werk des Nicolaus Pergamenus „Dialogus creaturarum"[2]), das wahrscheinlich aus dem XIV. Jahrh. stammt, enthält das Sprichwort auch: . . .

---

[1]) A. C. M. Robert: Fables inédites du XII. XIII. et XIV. siècles. Paris 1825. Bd. I, S. 34. Fabel 6.

[2]) So heisst das Werk erst in den alten Drucken. Die Handschriften tragen den Titel „Liber de contemptu sublimitatis" oder den nicht zutreffenden „Liber de animalibus". Vergl. Rajna, Giorn. storico d. letterat. ital. Bd. III, fascik 7., 1884.

„communi proverbio dictur: cerasa cum dominis non consulo mandere servis, tollunt matura sed dimittunt tibi dura“. Das Werk, welches in Dialoge zerfällt, hat im 20. Gespräche („de auro et argento“) unsere Fabel aufzuweisen.[1]) Das Gold will sich da mit dem Silber vermischen, doch will das weniger edle Metall in keiner Verbindung mit dem anderen stehen; der Umgang mit Mächtigen ist ja nie vortheilhaft. „Nunquam nos aequiparemus cum magnatibus nec stemus, quia dicitur Eccl. XIII° pondus super se tollit, qui honestiori se conjungit. Unde etiam dicitur ibidem: ditiori tu ne fueris socius. Propter quod dicit philosophus: ubi pauper contra divitem inimicari coepit, perit.“

Nachdem so, nach mittelalterlicher Art, viele Autoritäten citirt sind, kommt Aesop als letzte an die Reihe. Die Fabel wird fast ausschliesslich mit den Worten des Anonymus erzählt. Wäre auch nicht statt „prima vox defendit mihi partem secundam“ eher „prima vis“ zu lesen? Im Anonymus heisst es:

Et mihi defendit partem vis prima secundam.

Die prosaische Erzählung des „Diologus“ schliesst mit den letzten zwei Zeilen des Anonymus, nur ist statt „fabula“ „pagina praesens“ gebraucht.

Dicht neben dem „Dialogus creaturarum“ muss eine polnische Fabelsammlung des XVI. Jahrh. genannt werden, die von Bartolomäus Paprocki, dem bekannten Verfasser polnischer und böhmischer Wappenbücher, stammt. Sein Werk „Koło Rycerskie“ („Ritterlicher Kreis“), gehört heute zu den seltenen Drucken des XVI. Jahrh., und darin liegt wohl die Ursache, dass — unseres Wissens — bis jetzt noch nicht darauf aufmerksam gemacht worden ist, die Sammlung sei eine directe Nachahmung des Nicolaus Perga-

---

[1]) Die beiden ältesten Fabelbücher des Mittelalters . . . Herausg. von Dr. J. G. Th. Grässe Stuttgart 1880. S. 160.

menus[1]). Im XX. Capitel finden wir wiederum das Gespräch zwischen Gold und Silber, nur ist es wie das ganze Werk Paprocki's in ziemlich unbeholfene polnische Verse gebracht. Am Schlusse steht unsere Fabel, die etwas breiter als in der Vorlage erzählt wird. Im „Dialogus" ist eine Eselin unter den drei Genossen des Löwen; Paprocki wohl in Erinnerung an Phaedrus hat sie durch die Kuh ersetzt. Am Ende werden die anderen Thiere redend eingeführt; sie entfliehen nicht wie es oft geschieht, sie sprechen dem Löwen das Recht auf den ganzen Hirsch zu. Sonst hält sich Paprocki sehr genau an den „Dialogus", dessen falsche Lesarten sogar nicht ohne Einfluss auf ihn gewesen zu sein scheinen. „Primus honor" und „prima vox" (statt „vis") drücken ein und dasselbe aus und der polnische Dichter hat es unterlassen, zweimal denselben Grund anzuführen. So erklärt sich der merkwürdige Fall, dass der Löwe einen Antheil nimmt, ohne sein Recht geltend gemacht zu haben: „Und als er den ersten nahm, sagte er: mir kommt auch der zweite zu, und rückte ihn an sich näher." — Das in Polen nicht bekannte Sprichwort von den Kirschen ist weggeblieben; das Capitel schliesst mit dem lateinischen Citat aus dem „Dialogus": „Dicta Aesopi. Praesens pagina vult . . ." u. s. w.

Vom Anonymus Neveleti sind zwei italienische prosaische Bearbeitungen herzuleiten. Die eine unter dem Namen Galfredo bekannt und von Ghivizzani herausgegeben[2]) hält sich genau an den lateinischen Text, dessen Merkmale, wie das charakteristische Futurum, es enthält: „Noi dovideremo — sagt der Löwe — il Ciervio a quattro parti." Von einem durch die Genossen vor der Jagd geschlossenen Vertrage („u ratione pari") ist hier keine Rede, deshalb wohl bemerkt der Verfasser: „Nel partire del Ciervio ciascuno degli credeva avere cosi buona parte come lo leone."

Die zweite Bearbeitung ist unter dem Titel „Esopo

[1]) Wir kennen nur die in der Berliner Königlichen Bibliothek befindliche zweite aus d. Jahre 1582 stammende Ausgabe.

[2]) Bd. II, S. 16. Fabel 6.

volgarizzato per uno da Siena". 1811 von Pietro Berti herausgegeben worden, der sie in den Anfang des XV. Jahrh. setzt.[1]) Unsere Fabel wird viel freier erzählt, zeugt aber auch von anderen Einflüssen. In der oben erwähnten Fabel des Codice Rigoli, welche den Löwen mit dem Wolfe und dem Bären auftreten lässt, lesen wir, nachdem vom Tode des Hirsches die Rede war: „Disse lo Lione: chi lo partirà? Rispose lo Lupo: siate il partitore pur voi." In unserem Apologe ist die Stelle breiter und voller bearbeitet worden: „E fatto questo (der Tod des Hirsches) il Lione priega ciascuno di per sè che parta la preda, ed ognuno si scosta di partire dicendo: Non si fa ad alcuno di noi in vostra presenzia tanto onore d'essere partitore di tanta e si fatta preda, ma solo alla vostra signoria, perciocchè non potresti quello partire, che ciascuno di noi non sia assai contento." Ebenso sinnreich wie das höfliche Vertrauen der armen Thiere ist der Gedanke, dass der Schwur vor der Jagd von der schwachen Ziege und Kuh empfangen wird. Ein anderer Einfall des Verfassers sei noch bemerkt, da er an Goethe erinnert. Der Hirsch erscheint: „il Lione disse alla Giovenca ed alla Capra e alla Pecora, che prendessono loro armi e seguitasserlo . . ."

In „Reineke Fuchs" erzählt Grimbart, der Dachs, Reineken, wie sehr der König ihm zürne:

Allen hat er befohlen, am sechsten Tage gewaffnet
Hier zu erscheinen mit Bogen und Schwert . . .

Doch am interessantesten ist die Lehre, welche der Verfasser an seine Fabel anhängt. Nachdem er im Allgemeinen die gewöhnliche Paraphrase des pessimistischen Schlusses beim Anonymus gegeben, wendet er sich einem speziellen Falle zu. Unter dem Löwen sei der Vorsteher eines Klosters oder jeder geistlichen Bruderschaft gemeint, der seine Genossen zu sehr mit allerlei Pflichten und Strafen beschwert: „e come il Lione privò i suoi compagni del prezzo della loro

---

[1]) Padova, 1811. S. 11 u. S. 19 der Vorrede.

fatica, così costui priva i suoi compagni minori del merito delle loro operazioni recandogli in iscandalo e in furore".

Klingt das nicht etwas sonderbar in einer harmlosen Fabelsammlung? und wird nicht die Phantasie gleichsam berechtigt, in dieser künstlich herbeigeholten Lehre die Klage eines Untergeordneten zu sehen?

Ulrich Boners „Edelstein" enthält eine deutsche Bearbeitung unserer Fabel, die sich im Allgemeinen stark an den Anonymus anlehnt.[1]) In der Schlusslehre kommt das bekannte Sprichwort nochmal vor:

ez ist nicht guot
mit hêrren kirsen ezzen.
sie hânt sich des vermezzen,
wer mit in kirsen ezzen wil
dem werfent si der kirsen stil
in diu ougen . . .

Endlich sei noch einer böhmischen Bearbeitung in gereimten Versen gedacht. Sie ist in einer Handschrift erhalten, welche aus dem XV. Jahrhundert stammt und die Copie eines älteren Originals ist[2]). Sie lautet in wörtlicher Uebersetzung:

Von dem Wolf[3]), der Kuh, der Ziege und dem Schafe. Capitel VI.

Diese Fabel sagt dir, dass du nach deines Gleichen sehest. Hüte dich vor der Gemeinschaft des Mächtigen, fliehe die Gesellschaft des Bösen. Wenn beide Ochsen ungleich sind, werden sie mit dem Wagen schlecht fahren: ebenso wenn du mit einem Mächtigeren etwas erwerben wirst, wirst du ungleiche Theilung mit ihm haben, * wie es geschehen ist dieser Schaar: es waren vier Gesellen: — o wie reichlich ungleich ist es, wenn der Mächtige dem

---

[1]) Der Edelstein von Ullrich Boner herausgegeben von Franz Pfeiffer. Leipzig 1844. S. 13.

[2]) Vergl. Archiv f. slav. Philologie XI, 194.

[3]) So lautet der irrthümliche Titel; es ist in der Fabel nur von einem Löwen die Rede.

Schwachen schadet! —[1]) der Löwe, die Kuh, die Ziege, das Schaf. Sie beschlossen dieses Wort, indem sie sagten, was wir erjagen würden, dass wir es gleich theilen. Als sie so unteinander reden, zeigte sich ihnen sofort in dieser Zeit ein Hirsch auf dem Felde. Ohne irgendwie zu säumen rannten sie dahin im schnellsten Sprung und brachten ihn in ihre Gewalt. Es sagte der Löwe über ihn stehend: Der allererste Theil, dieser ist mein: die Wahl giebt mir das Recht, dass ich unter euch Haupt bin. Warum sollte der zweite nicht mein sein? meine Kraft ist über Alle. Wer würde mir den dritten absprechen; und ich habe mich am meisten bemüht? Wer aber den vierten Theil nehmen will, wird meine Feinschaft haben."

Hier folgen die drei letzten Zeilen des Anonymus im Originale, doch in einer anderen Reihe, aufgeführt. Der Vers. der gewöhnlich als drittletzter steht, schliesst hier die Reihe. Trotzdem sagt der böhmische Dichter weiter, indem er in seiner Version der üblichen Anordnung folgt:

„Der Starke eignet sich das Gemeinschaftliche an, aber den Niedrigen erweisst er Unrecht. Diese Fabel, sag' ich, lehrt dich, dass sich der Schwache zum Starken nicht geselle. Denn der Starke in seinem Uebermuth thut dem Schwachen Unrecht genug."

Die Bearbeitung lehnt sich also an den Anonymus an, dessen Verabredung vor der Jagd sie beibehält und dessen Verse sie erwähnt. Doch scheint der Anfang an die Titel einiger Handschriften des Romulus zu mahnen und der vierte Grund des Löwen erinnert mehr an dessen „inimicum me habebit" als an die ironische Wendung des Anonymus. — Sonst hat die Fabel auch eigene, hübsche Züge aufzuweisen, wie z. B. den Vergleich mit dem Ochsengespann und die Auffassung des zweiten, vom Löwen angeführten Grundes. Der Löwe will diesen Antheil auch haben, weil

[1]) Es muss in der Handschrift eine Umstellung stattgefunden haben. Die zwischen Gedankenstrichen stehenden zwei Zeilen des Originals dürften an dem durch einen Stern bezeichneten Platze sich befinden.

er der stärkste ist: ist es eines Vorzuges wegen, oder weil Kraft vor Recht geht? Darüber lässt uns der Anonymus im Unklaren, wie es auch bei seinen Vorgängern und Nachahmern der Fall war. Der böhmische Dichter giebt zu keinem Zweifel Anlass: er lässt uns das Recht deutlich ahnen, welches ein La Fontaine kurzweg nennt:

Ce droit, vous le savez, c'est le droit du plus fort.

Alle diese Bearbeitungen dienen als Beweise der Popularität, welcher sich der Anonymus im Mittelalter erfreute, als er noch nur in Handschriften herumwanderte. Doch zeugen Drucke von seiner Beliebtheit auch in einer späteren Epoche. Neben der prosaischen Redaction, von der wir zu sprechen schon Gelegenheit hatten, steht der Text des Anonymus in dem 1474 in Mailand erschienenen Werke des Remicius; Steinhöwel hat ihn gleichfalls abgedruckt. Mit prosaischer Inhaltsangabe, oft mit zahlreichen Bemerkungen versehen ist der Anonymus mehrmals unter dem Titel „Esopus moralisatus" erschienen. Endlich, da Sebastian Brant neue Ausgaben des Remicius und Steinhöwels veranstaltete, wurde mit der Zeit sein Name an die Spitze von Büchern gestellt, die nichts als einen oft verdorbenen Text des Anonymus enthalten.

V.

Die zweite von den oben genannten lateinischen versifizirten Bearbeitungen des Romulus, die des Alexander Neckam (1157—1217) ist viel weniger verbreitet gewesen. Nur zwei Sammlungen, die auf dieser Vorlage beruhen, nennt E. du Méril, Neckam's Herausgeber. Beide sind in französischer Sprache verfasst. Die eine ist von Duplessis unter dem Titel: „Fables en vers du XIII. siècle" veröffentlicht worden. Die andere stammt aus dem XIV. Jahrh. und ist von Robert als „Ysopet II." bezeichnet worden.

Unsere Fabel (Nr. 9) lautet bei Neckam:[1])

Cervum ceperunt Ovis et Leo, Vacca, Capella
Silvas venandi dum peragrant studio;
Protinus atque secant per partes quattuor illum;
In medio ponens, protulit ista Leo.
(Jure sodalicii pars summa datur michi cervi
Et regi dabitur altera jure michi)
Sumo prior partem, quoniam Leo nuncupor, unam;
Et quia sum fortis, altera jure mea est;
Et quia plus valeo, pars est michi tertia cervi;
Quartam qui tanget hic meus hostis erit.
Sic solus partes Leo sumpsit quattuor illas,
Ausus nec quartam tangere nullus erat.
Hoc vetat imbelles violentibus associari,
Ne fessi trepidant (sic) et nihil accipiant.

Wie wir sehen, sind die zwei ersten Gründe des Löwen

---

1) Hervieux II, S. 792.
Poésies inédites du moyen age . . . par M. Edêlstand du Méril. Paris, 1854. S. 183.

in doppelter Version vorhanden. Im Ysopet II, dessen erste Strophen wir folgen lassen,[1]) hielt sich der französische Dichter offenbar an diejenige Version, die in Klammern steht. Sonst erzählt er etwas breiter als Neckam.

Un Lions orgueilleus
Cruel et envieus
Si volt aler chacier:
Un chevrel esgarda
A qui il comanda
Qu'il li venist aidier.

La vache et la brebis
En a aussi requis
Qui volentiers y vont;
A la voie se metent
Tous et un et s'apprestent
Plus long sejour n'i font.

Un cerf ont encontré
Tout quatre l'ont frapé
Tant que il l'ont occis:
Quatre quartiers en font
Por ce que quatre sont:
Devant eux les ont mis.

Seignor, dit le lion,
Oiez que nous ferons:
Je veil ce cerf partir.
La première partir,
Je l'ai bien desservie,
Qui ne vouldra mentir.

Pour quoi que je sui roi, (l. Pour ce)
Raisons est par ma foy,
Que j'aie la seconde.

[1]) Fables inédites des XII. XIII. et XIV. siècles . . . par A. C. M. Robert. Paris, 1825, Bd. I, S. 36. Fabel 9.

La tierce, le plus fort
L'aura, je m'en accort,
Se n'en suis-je mécompte . . . u. s. w.
(l. fais?)

Dagegen lässt sich nicht bestimmen, welcher Version der Verfasser der zweiten Sammlung folgte:[1])

Li Lyons dist tout sans detroi:
Ge sui lyon des bestes roi
Si aure la greigneur partie
Et car sui fort et vaillant beste
Lautre aure par devers la teste.
Et la tierce nen doutez mie
Et qui la quarte touchera
Mon mortel anemi sera.

Von dem Rechte jedes Genossen auf einen Antheil ist also nicht die Rede; wie in der zweiten Version führt der Löwe den Umstand an, er sei eben Löwe; doch scheint „la greigneur partie“ mit „pars summa“ der ersten Redaction Verwandschaft zu haben. Vielleicht benutzte der Verfasser beide Versionen; sonderbar wäre in diesem Falle nur, dass er bei so reicher Auswahl unter Rechtstiteln des Löwen ihm doch einen Theil, den dritten, ohne Angabe eines Grundes, nehmen liess.

---

1) Fables en vers du XIII. siècle. Garnier fils, Juillet 1834. Unter der Vorrede G. D. (Georges Duplessis).

VI.

Sobald wir das mittelalterliche Gebiet verlassen und uns der Epoche der gedruckten Bücher nähern, wird es viel schwieriger die Abhängigkeit verschiedener Bearbeitungen unserer Fabel untereinander zu bestimmen. Es kreuzen sich die Einflüsse, so dass wir meistentheils unter den Verfassern der Fabel vom Löwenantheil nur Gruppen solcher, die ähnliche Züge besitzen, unterscheiden werden, ohne daraus auf ihre Abhängigkeit immer zu schliessen.

Ein Buch sei jedoch gleich erwähnt, dass wir als Quelle für eine Reihe von Bearbeitungen ansehen können. Es ist eine lateinische prosaische Version der Apologe Aesops, von verschiedenen Schriftstellern stammend. Die erste Ausgabe erschien 1516 u. d. T.: „Fabularum quae hoc libro continentur interpretes atque authores sund hi: Guilielmus Guodanus, Hadrianus Barlandus, Erasmus Roterodamus, Aulus Gellius, Angelus Politianus, Petrus Crinitus, Joannes Antonius Campanus, Plinius Secundus Novocomensis, Nicolaus Gerbellius Phorcensis, Laurentius Abstemius, Laurentius Valla"[1]) Die ersten 45 Fabeln, zu denen auch die vom Löwenantheil gehört, haben Guilielmus Guodanus zum Verfasser. Unsere Fabel lautet:

De Leone et quibusdam aliis.

Cum ove quibusdamque aliis pepigerat leo, venationem fore communam. Itur venatum, capitur cervus. Partiuntur, singulas singulis partes tollere, ut convenerat, incipientibus, Leo irrugijt, „Una" inquiens „pars mea est, quia sum dignissimus. Altera item mea est, quia viribus praestantissimus. Porro quia in capiundo cervo plus sudaverim, vendico tertiam.

---

[1]) Wir citiren nach der 2. Ausgabe; Strassburg 1522. Sieh S. 1.

Quartam denicque partem ni concesseritis, actum est de amicitia.“ Socii hoc audito, discedunt vacui et taciti, non ausi mutire contra leonem. — Morale. Rara semper fuit fides, apud hoc saeculum rarior est, apud potentes et est et fuit semper rarissima. Quo circa satius est vivas cum pari. Qui cum potentiori vivit, necesse habet saepe de suo concedere, cum aequali aequale ius tibi erit.

Das unmittelbare Vorbild dieser Fabel, die in manchem an den Anonymus Neveleti erinnert, zu bezeichnen, sind wir nicht im Stande. Jedenfalls können wir sie zur grossen Familie der von Phaedrus beeinflussten Apologe rechnen. Unter den Thieren, die dem Löwen Gesellschaft leisten, hebt Phaedrus eins durch ein Epitheton hervor:

et patiens ovis iniuriae

und das Schaf ist auch das einzige von Guodanus erwähnte. Die Reihenfolge und die Beschaffenheit der Gründe des Löwen entsprechen dem was man bei dem Anonymus findet; die Lehre ist dagegen weniger pessimistisch gefasst und enthält neben dem negativen Rath, die Mächtigen zu fliehen, auch den positiven, man möge sich mit seines Gleichen gesellen. Noch ein Detail muss erwähnt werden: die Genossen sind schon dabei ihre Antheile zu nehmen, als sie vor dem Zorn des Löwen zurückschrecken. Einige dieser nebensächlichen Züge finden wir in den Nachahmungen unserer Fabel. Zuerst müssen wir zwei französische Bearbeitungen nennen, von denen eine wahrscheinlich, die andere vielleicht unter dem Einflusse von Guodanus steht. Wegen der Seltenheit und Vergessenheit der Sammlungen, wollen wir beide anführen.

Die erste entnehmen wir dem 1542 in Paris erschienenen Buche des Gilles Corrozet: „Les Fables du tresancien Esope phrigien premierement escriptes en grec & depuis mises en Rithme françoise“ [1])

„Du Lyon, de la Brebis et aultres bestes. Fable V.

[1]) Das seltene Buch wäre uns vollständig unzugänglich gewesen ohne dem ungemein gefälligen Entgegenkommen der Herren Vicomte Henri Begouen und H. de Curzon, denen ich die Abschrift zweier Fabeln aus dem Exemplare der Bibliothèque Nationale zu Paris verdanke.

Le fort Lyon prince des aultres bestes
Par les forestz alloit faire ses questes,
La lourde Vache & la Brebis estoient
Avecques luy & ensemble questoient.
Lors ont trouvé ung cerf grand & cornu
Et de si pres l'ont chassé & tenu
Qu'ilz l'ont occis. Quand ce vint à partir
La venaison, ie vous veulx advertir
(Dit le Lyon) qu'a moy qui suis seigneur,
La part premiere (à cause de l'honneur)
Doit estre à moy: Et la seconde, pource
Que plus que vous i'ay faict très longue course,
La tierce aussi, pour ce qu'en mon effort
Par dessus vous ie suis beaucoup plus fort:
Qui pour la quarte apres s'esforcera,
Incontinent mon ennemy sera.
Tout est à moy, que chascun se pourchasse
Sans riens pretendre à la présente chasse.
Par telz moyens & alegations
Les puissans font maintes exactions
Sur les petis & par dol & malice
Leur ostent tout, contre droict & iustice.

Rare est la foy voire des plus puissantz,
Vers les petis qui sont obeissantz.
Si tu vis donc avec plus grand que toy
C'est un grand bien s'il le garde sa foy.

Der zweite und dritte Grund des Löwen sind hier umgestellt; ähnlich war bei Marie de France zu lesen:

L'autre r'aurai car g'i corrui,
E la tierce car plus forz sui.

Sonst hat die Fabel Corrozet's keine besonderen Züge. Die Worte der Moral über Seltenheit der Treue erlauben es uns diese Bearbeitung zu der des Guodanus zu stellen. Auch ist im Titel das Schaf allein erwähnt.

Dieser lezte Grund ist es, der uns bewegt, hierher die

zweite französische Bearbeitung zu bringen. Sie steht in einem, 1547 zu Rouen herausgegebenen Buche, dessen Titel lautet: „Trois centz soixante et six Apologues d'Esope, Tresexcellent Philosophe. Premierement traduictz de Grec en Latin par plusieurs illustres Autheurs comme Laurens Valle, Erasme et autres. Et noouvellement de Latin en Rithme Françoyse. Par maistre Guillaume haudent.“ Valla und Erasmus sind Mitarbeiter des Guodanus gewesen; die von Haudent erwähnte Uebersetzung ins lateinische könnte wohl die aus dem Jahre 1516 sein.

Unsere Fabel lautet[1]):

Un lyon iadis s'allia
De trois on quatre simples bestes,
Mais premier par foy se lia
Iurant par les astres célestes
Ne leur faire tortz ne molestes.
Et qu'avecques luy seurement
Pourroient estre en toutes conquestes
Qu'il distriburoit instement,
Sur cest accord furent chasser
Ensemble tant quilz peurent prendre
Un cerf par bien le pourchasser
Leques ce lyon vint a fendre
En quatre partz, donnant entendre,
Qu'il leur en vouloit impartir,
Mais l'avoir tout seul peust prétendre
Ains & premier que départir.
Pourqoy leur dict en rugissant
La plus grand part doibz obtenir
Pource que suis le plus puissant,
Puiz aprez ie veulz maintenir
La seconde m'appartenir
Au tiltre et droict de ma noblesse,
De me la vouloir detenir
A vous seroit grande simplesse.

[1]) Fabel 116.

La tierce encor avoir proteste
Veu qu'ay travaillé la moytié
Plus que vous en prenant la beste;
Oultre de vous n'auray pitié,
S'il ne vous plaist par amytié
M'accorder la quarte partie.
Ains doncq qu'advienne inimitié.
Sans rien faictes tost departie.
Quand ces povres bestes ouyrent.
Iceulx propos, entendre fault
Que beaucoup ne se resiouyrent,
Mais encor voyant que mieux vault
Departir, qu'attendre le sault
D'y laisser voire chair & peau,
Chascune d'elles part & sault
N'ayant gaigné un seul morceau.
Le moral.
La fable selon son moral
Veut insinuer et enioindre
Tousiours pour le mieulx a se ioindre
Avec son pareil & egal.

Der Text des Guodanus hat jedenfalls viel Glück in Frankreich gehabt, besonders für Kinderbücher ist er maassgebend gewesen. Wir finden ihn in einem 1579, zu Paris „en faveur et utilité de la ieunesse“ herausgegebenen Werke „Les fables et la vie d'Esope Phrygien, latin et françois“ und mit geringen Aenderungen bei dem Abbé Baudoin, dessen versöhnende Lehre vom künftigen Leben erwähnt wurde. Neue und alte, in und ausserhalb Frankreichs herausgegebene französische Bearbeitungen Aesopischer Fabeln beruhen auf der Redaction des Jahres 1516.[1]) Sie ragt bis in das XIX. Jahrh. hinein.

[1]) Vergl. Les Fables et la vie d'Esope Phrygien . . . S. 156.
Les Fables d'Esope Phrygien . . . par J. Baudoin, Rouen 1660. S. 21.
Ferner:
Nouveau Recueil des Fables d'Esope . . . A Paris, 1718.

Auch in Deutschland hat sie bedeutenden Einfluss geübt. Zwei gereimte Fassungen aus dem XVI. Jahrhundert, die des Burchard Waldis (1548) und die des Erasmus Alberus (1579) beruhen auf ihr. Riederer (1717) hält sich auch noch an sie. Den Beweis liefert dafür vor allem die Moral, denn alle drei Dichter sind so breit und redselig, dass man die charakteristischen Züge der Vorlage nur mit Mühe unter den reichen Details auffinden kann. Waldis nennt alle Genossen des Löwen, er hält sich also darin an andere Muster als die Fassung des Guodanus [1]). Die Fabel fängt an:

Mit einem bocke, schaf und rind
Sich auf ein zeit ein löw verbindt
Und sprach: „Es steht uns übel an,
Dass wir allhie so müssig gan.
Darumb hört zu, was ich werd sagen:
Wir wollen mit einander jagen
Im holz und sehn was wir erlangen u. s. w.

Die Lehre hält sich, wie gesagt, an die Vorlage; nur durfte das bekannte Sprichwort auch hier nicht fehlen:

Die treu ist klein zu diser zeit,
Bei grossen herrn in sonderheit:
Ein jeder tut jetzt, wie er mag,
Und rafft allein in seinen sack.
Derhalben ich eim jeden rat,
Dass er mit seinem gleich umbgat.
Mit gleichem hastu gleiches recht:
Er nicht dein herr, du nicht sein knecht.
Ganz feierlich ists den armen knechten,
Zu streben und zu widerfechten,
Gegn grosse hansen sich vermessen:
Mit herrn ist böse kirschen essen.

Fables d'Esope avec les figures de Sadeler. A Paris, 1689.
Recueil de fables d'Esope . . . par A. Legrand. A Paris. An 9.
Fables d'Esope. Bruxelles, 1835, u. s. w.

[1]) Esopus von B. Waldis, herausgegeben von J. Tittmann. Leipzig 1882. I. Theil. S. 17.

Das Werk des Erasmus Alberus „Neun und viertzig Fabeln So mehren theils auss Esopo gezogen“, enthält nnseren Apolog recht lebhaft und anmuthig erzählt.[1]) Der Verfasser nennt nur

„ein Schaff und ander Thier,
Dass ihr zu hauff warn eben vier.“

Nachdem der Löwe den dritten Theil weggeraubt hat, folgt die Schilderung des Eindruckes, welchen die Vorgänge auf die übrigen machten:

Sie dachten, hat es die gestalt,
Dass dein der leidig Teuffel wallt,
Sie dorfften sich mit jm nicht zancken,
Ohn was sie thaten mit gedancken,
Gedanken aber, wie der windt
In allen Landen zollfrey sindt . . .

und am Ende der Theilung:

Sie dachten das ist warlich fein,
Wir können jm nicht tragen drein,
Die gut Gesellen schwiegen still,
Und dorfften jm nicht sagen vil.
Sie musten da verspottet ston,
Doch brachten sie die Haut davon,
Sie danckten Gott und warn noch fro,
Dass sie kamen von jm also.
Morale:
Der glaub hat allweg so gestanden,
Dass er nichts gilt in allen Landen u. s. w.

Johann Friedrich Riederer, (Norimb.) behauptet auf dem Titel seines Büchleins „Aesopi Fabuln in teutsche Reime nach jetziger Art und möglichster Kürtze gekleidet“ zu haben.[2]) „Jetzige Art“ wird sich wohl auf den französischen Geschmack beziehen, von dem Riederer zeugt, indem er seine Vorrede und selbst die Fabeln mit französischen Worten

---

[1]) Frankf. a. M. 1579. S. 25. Fabel 7.
[2]) Coburg, 1717. S. 6. Fabel 6.

überfüllt. Von der angesagten Kürze ist in dem Werke nichts zu spüren.

Unsere Fabel, eine der kürzeren, enthält sechs sechszeilige Strophen, in denen sich der Verfasser genau an Guodanus hält. Die letzte lautet:

Man halte sich zu seines gleichen;
Trau Mächtigern als du bist nicht.
den Fiedelbogen von der Geigen
schmeist man dir sonst ins Angesicht.
Vor Arme scheint es zu vermessen
mit grossen Herren Kirschen essen.

Es fehlt auch nicht an italienischen Bearbeitungen des Guodanus. Neben der prosaischen Uebersetzung des Grafen Giulio Landi[1]) ist eine andere ebenfalls dem XVIII. Jahrh. angehörige, versifizierte Fassung unserer Fabel zu nennen. Sie hat den Abbate Carlo Felici (1790) zum Verfasser und besteht aus neun vierzeiligen Strophen.[2]) Einige Züge, wie das Zurückschrecken vor dem Löwen, das starre sich Ansehen nach dessen Rede, die Erwähnung des Schwitzens geben uns Anlass, die Fabel hier zu nennen. Sonst giebt es auch fremde Details: die Genossen werden alle genannt, der Esel (wie in der anderen Hauptversion) theilt die ganze Beute.

A caccia andavano
Coll' Agnoletta
Il Leon, l'Asino
E la Capretta.

Cervo selvatico
Rimase ucciso,
Che fu dell' Asino
Tosto diviso . . . u. s. w.

Ganz am Schlusse der Gruppe von Fabeln, die mit

1) Favole di Esopo Frigio con la vita del medesimo tradotta ed ornata del Signore Conte Giulio Landi. In Venezia 1760. S. 194.

2) Favole Esopiche dell'Abbate Carlo Felici. Roma 1790. S. 9.

Guodanus eine grössere oder geringere Verwandtschaft zeigen, muss die Version Martin Luthers erwähnt werden.[1]) Sie hat mit Guodanus nur den Titel „Vom Löwen und etlichen andern Thieren“ gemeinsam, doch erinnert die zweite Hauptversion unserer Fabel bei Luther auch etwas an das Sammelwerk vom Jahre 1516. Sonst sind die Gründe des Löwen — ist es Zufall oder Anlehnung? — dieselben wie in der in Klammern stehenden Version des Alexander Neckam: „Ihr wisset, dass ein Theil mein ist als euers Gesellen, das ander gebühret mir als einem Könige unter den Thieren.“ Doch sind die nächsten freier; „das dritte will ich haben, darumb dass ich stärker bin, und mehr darnach gelaufen nnd gearbeitet habe, denn ihr alle drey. Wer aber das vierdte haben wil, der muss mirs mit Gewalt nehmen.“ Zwei uns als einzelne wohl bekannte Gründe sehen wir also in einen zusammengedrängt. Die Lehre enthält neben dem üblichen Satz: „es ist mit Herren nicht gut Kirschen essen, sie werffen einem mit den Stielen“ noch die Uebersetzung der oben erwähnten, von Erasmus angeführten Pandectenstelle.

[1]) Hundert Fabeln. Mehrentheils aus Esopo, etliche von D. Mart. Luther und Herrn Mathesio . . . Braunschweig, 1672, S. 40.

VII.

1538 ist eine zweite prosaische Bearbeitung Aesops in lateinischer Sprache erschienen, die gleichfalls nicht ohne Einfluss auf die weiteren Schicksale unserer Fabel blieb. Sie hat den bekannten Philologen Joachim Camerarius (1500—1572) zum Verfasser.[1]) Von einem Vertrag und von einer „Beute" ist nur ganz allgemein die Rede. Der Löwe erhebt seine Ansprüche auf alle vier Theile, worauf Camerarius fragt: „Quid facerent imbecilles bestiae aut quis refragari Leoni, vel illum infestum habere sibi vellet? Universam igitur ipse praedam solus tenuit. — Hac fabula docemur, iis, qui potentum consuetudini implicentur, et insolentiam horum ferendam esse." Klingt in dieser Lehre Warnung oder Resignation?

Als Hans Wilhelm Kirchhof im VII. Buche seines „Wendunmuth" die Fabel vom Löwenantheil erzählte, muss er den Text des Camerarius vor Augen gehabt haben.[2]) Im VI. Buche hatte er sie schon in ganz origineller Weise behandelt, als er auf den Kaiser Rudolph von Habsburg zu sprechen kam.[3]) „Man schreibt von dem löblichen keyser Rudolph von Habsburg, dass er in ausstheilung der erledigten landschafften unter die reichsfürsten demnach allezeit (wie billich) das beste für sich und die seinen selbs behalten." Daran knüpft Kirchhof eine „Erinnerung", worin er „eine Fabel und gleichnus" erwähnt, die einen löwen„ mit andern thieren"

---

1) Leipzig 1572. S. 4.

2) Wendumuth von Hans Wilhelm Kirchhof, herausg. von H. Österley. Bd. IV, Stuttgart 1869. S. 255.

3) daselbst S. 159.

auf die Jagd ziehen lässt. Dieser vertheilt dann die Beute ganz nach seinem eigenen Gutdünken und der Verfasser gönnt dies Recht einem Regenten, der sich sonst um das Vaterland verdient macht. — Im VII. Buche abstrahirte er von dieser originellen Auffassung und hielt sich ziemlich treu an den Camerarius. Er fängt zwar damit an, dass die Thiere „gesellschafft und zu gleicher Theilung" geschlossen hätten, doch erwähnt er wiederum nur im allgemeinen die Beute und endet mit der Frage: „Was solten die andern kleine schwache thiere hierzu sagen? Sie waren fro, dass sie es mit stillschweigen bekräfftigten recht sein."

Die charakteristischen Merkmale der Bearbeitung von Camerarius finden wir noch in einer versifizierten russischen Fabel von Tredjakowskij (1703—1769).[1])

[1]) Tredjakowskij's Werke (russisch). Band I. St. Petersburg 1849. Fabel 16. S. 223.

VIII.

Eine neue Frische wusste La Fontaine der alten Fabel zu verleihen. Er hat sie schlicht erzählt, wie er es in den ersten Büchern seiner Sammlung zu thun pflegte und führte nur eine Verbesserung ein: der Hirsch wird durch die schwachen Genossen des Löwen nicht erjagt, sondern in Netze gefangen. Die Ziege benachrichtigt selbst die anderen Thiere und den Löwen darunter, sie wäre die Herrin einer schönen Beute geworden: die Ungerechtigkeit des Löwen tritt desto greller hervor. Sonst liegt der Reiz der Fabel in der klaren unumwundenen Darlegung der Gründe des Löwen und in einigen, bei La Fontaine häufigen, anthropomorphischen leichten Zügen, die einerseits so viele Illustratoren angeregt haben, andererseits es einem Taine ermöglichten, die Sittengeschichte Frankreichs im XVII. Jahrh. aus den Fabeln des „bonhomme" zu construiren. Z. B.:

un fier Lion, seigneur du voisinage, ...

. . . .

le Lion par ses ongles compta . . . . .

Die Fassung La Fontaine's ist auch nicht ohne Einfluss auf die Schicksale unserer Fabel geblieben. Die Netze finden wir seitdem in den Bearbeitungen Aesops für die Kinder oft eingeführt. Der russische Fabeldichter Chemnitzer (1744—1784) lässt den Esel, das Schaf, die Kuh und die Ziege einen Vertrag mit dem Löwen schliessen, wonach, die in den aufgestreuten Netzen gefangenen Thiere auf gleiche Weise vertheilt werden sollen.[1]) Der Löwe beraubt die

---

[1]) Chemnitzer's Werke (russisch). Grot's Ausgabe S. Petersburg. 1873. II. Theil, Fabel 63. S. 203.

Genossen, indem er die erste Portion als seinen eigenen Antheil behält und auf die anderen seine üblichen Ansprüche erhebt. „Darüber ist nichts zu sagen“ erwidern ihm zum ersten Mal die Thiere. „Mag es nun auch so sein“ fügen sie beim zweiten Theil hinzu. Doch da der dritte weggenommen wird, fängt ein düsteres Schweigen an zu herrschen; keiner wagt mehr eine Bemerkung über des Löwen Gründe.

Auch den grössten russischen Fabeldichter, Kryłow (1768—1844) den volksthümlichen und nationalen Erzähler, hat La Fontaine's Fabel vom Löwenantheil beeinflusst und zur weiteren Ausbildung des Stoffes angeregt.[1]) Kryłow hat das Verdienst, mit der Tradition gebrochen zu haben und neben dem Löwen einen Hund, Wolf und Fuchs als Träger der Handlung einzuführen. Die Erfindung der Netze war also nicht mehr nöthig, trotzdem schien es dem Dichter, dass ein Hirsch einem Fuchs nicht erliegen könnte und desshalb erklärt er: „Ich weiss nicht wie, noch womit, doch weiss ich, dass der Fuchs Anfangs einen Hirsch fing und Boten an die Genossen schickte, sie möchten kommen die Glücksbeute zu theilen.“ Bei La Fontaine hiess es:

Dans les lacs de la Chèvre un cerf se trouva pris.
Vers ses amis aussitôt elle envoie.

Darauf kommt der Löwe, theilt den Hirsch in vier Theile und nimmt den ersten nach dem Vertrag, den zweiten als Löwe, den dritten als der stärkste. Den vierten Grund ersetzt die gewöhnliche Drohung.

Der Reihe nach müssen wir eine ganze Anzahl Bearbeitungen erwähnen, die untereinander oft ganz verschieden, alle in das XVII. und das XVIII. Jahrh. fallen. Die Bewunderung La Fontaine's hat ausserhalb Frankreichs viele Nachahmungen und Uebersetzungen hervorgerufen, die wir nicht durchsehen können; in Frankreich selbst hat sie,

---

[1]) Vollständige Ausgabe der Werke Kryłow's (russisch). Bd. II. Gedichte. Sankt-Petersburg 1847). S. 208.

was unsere Fabel anbelangt, im entgegengesetzten Sinne gewirkt. La Fontaine's Zeitgenosse Le Noble hat noch diese Version der Fabel vom Löwenantheil bearbeitet, später hat die ungemein grosse Autorität des feinen Dichters verhindert, dass von ihm behandelte Themata von anderen Händen berührt würden. Man lese nur die Vorreden der so zahlreichen Fabelsammlungen des XVIII. Jahrh. Fast alle Verfasser entschuldigen sich, nach La Fontaine noch zu „fabulieren", alle erkennen ihn als Meister an. Und in dieser überreichen Fabelliteratur des ganzen XVIII. und der ersten Hälfte des XIX. Jahrh. ist es uns nur einmal gelungen eine französische Bearbeitung unseres Apologes zu treffen und dies noch unter ganz besonderen Umständen.

Zuerst sei jedoch Le Noble's versifizierte Bearbeitung erwähnt.[1]) Der Fabel geht wie gewöhnlich bei diesem Verfasser ein lateinisches Distichon voran. Dann lesen wir einen moralischen Spruch, in neun französischen Versen, worauf erst die lange Fabel, von einer prosaischen Lehre begleitet, folgt. Der Apolog erinnert uns in seiner breiten Erzählung an die Nachahmer La Fontaine's, gegen welche Lessing ins Feld zog. Statt der anmuthigen Plauderei sehen wir hier nur Details auf Details sich häufen, ohne charakteristisches und für den Verlauf der Fabel wichtiges zu bringen.

Un Lion, gouverneur des côtes Africaines,
Certain jour à tous ses Vassaux
Fit publier par ses Hérauts
Qu'il desiroit chasser dans les forets prochaines,
Que qui voudra l'accompagner
En tel endroit eût a se rendre
Et que dans le gibier qu'ensemble on pourroit prendre
On trouveroit deqoy dîner.
On eut bientôt lié partie
Et la troupe fut assortie
D' Animaux ayant tous un très grand apetit.

---

[1]) Contes et Fables de M. Le Noble. Paris 1669. Bd. I, S. 44. Fabel 12.

Es sind der Wolf, die Dogge und — der Stier. Mit der Hilfe der Dogge erjagt der Löwe einen jungen Hirsch. Die Thiere überlassen dem Stärksten die Wahl des Antheils. Da bricht seine Wuth aus.

Qui de vous, leur dit-it, peut avoir l'insolence
D'entrer en partage avec moy?

Jene einzige französische Bearbeitung — von Kinderbüchern nicht zu reden — die wir nach Le Noble's Fassung kennen, findet sich in einem ohne Jahreszahl, in Liège, herausgegebenen Buche, dessen Titel lautet: „Trois Cens Fables en Musique dans le Gout de M. de La Fontaine". Das Äussere des Buches lässt es in das Ende des XVIII. Jahrh. setzen und einige Sätze der Vorrede, die es uns gestattet sei anzuführen, widersprechen dieser Datirung keineswegs:

„L'Esprit Philosophique qui a tout découvert et tourné tout vers l'Utile nous a fait concevoir, que l'on peut placer jusques dans une Cantatille des préceptes de Morale et de grandes Vérités, qui font impression sur le Coeur Humain, quand elles ne sont pas prononcées d'un ton aigre & sottement stoïque . . . ."

Darum habe Satire und Spott keinen Eingang in das Büchlein gefunden — „par la seule raison qu'un Citoyen . . . . n'est pas le Juge d'un autre Citoyen."

„Les Airs de chaque Fable sont tous differens et composés sur le ton des Lulli, des Lambert & des Rameau qui ont vécu dans un siècle qui s'est distingué dans les Ouvrages de Gout & s'y est immortalisé."

Unsere Fabel besteht aus sechs vierzeiligen Strophen, die auf eine einfache und höchst monotone Melodie gesungen werden können. Die Erzählung ist von dem Reim etwas bedingt worden, so z. B.:

Je suis Lion et la premiere
Des quatre parts doit être à moi.
C'est pour le Roi qu'est la derniere
Et vous scavez que je suis Roi . . . . . u. s. w.

Unter den zahlreicheren deutschen Bearbeitungen sei zuerst eine erwähnt, die wir in einem Buche finden, welches so ganz den Charakter des XVII. Jahrhunderts trägt. Es heisst: „Lust- und Lehr-reiche Sittenschule, Eröffnet und aufgerichtet nach Anlass der Sinn-reichen Fabeln Aesopi.“ [1]) Unsere Fabel, recht ungeschickt erzählt, führt nur eine Kuh und ein Schaf als Genossen des Löwen an und doch ist von vier Antheilen die Rede. Die Lehre enthält den Rath sich mit Gleichen zu verbinden, da der Grosse nur seine Lust oder seinen Vortheil suche: „seinen Lust indeme er den Geringeren für seinen kurtzweiligen Rath oder auf teutsch für einen Narren hält, seinen Vortheil, indeme er sich nicht scheuet auch von Geringeren etwas zu erhaschen.“ Als Exempel werden einerseits Caligula, andererseits Sisyphus und Euclion, die seine Tochter dem vornehmen Megadorus nicht geben wollte, angeführt. Endlich wendet sich der Verfasser gegen die „geitzige Feld-Oberste und Officiers“, die den Soldaten „anders als der grossmüthige Alexander“ ihrer Beute berauben.

Die vielen Bearbeitungen unserer Fabel, die das XVIII. Jahrh. in Deutschland aufzuweisen hat, beruhen sonst auf Phaedrus, der damals in seiner eigenen Gestalt wieder zu Ehren kam und allgemeines Interesse erregte. Der bekannte Philologe Johann Friedrich Christ († 1756) der an der Authenticität der Fabeln des Phaedrus zweifelte und sie dem Gabriel Perotto zuschrieb, hat es selbst versucht unsere Fabel in iambischen Versen lateinisch zu erzählen und weicht dabei im Wesentlichen von Phaedrus nicht ab: nur den Vertrag zwischen den Thieren hat er eingeführt.[2]) Die in deutscher Sprache erscheinenden Fabelsammlungen sind meistentheils Nachahmungen und Paraphrasen des Phaedrus; ein Tischlermeister aus Schongau Johan Joseph Pracht setzt den römischen Dichter in gereimte Verse ebenso wie der

[1]) Zweite Ausgabe. Ulm 1705. 3 Bde. Siehe Bd. I, S. 366 bis 373. 44. Fabel.

[2]) Joh. Frid. Christii Fabularum Aesopiarum libri duo. Lipsiae, 1749. Buch I, Fabel 6, S. 13.

Ober-Consistorial-Secretarius in Weimar, Verfasser einiger noch heute gesungener Kirchenlieder, Salomon Franck.[1]) Es fehlt dabei nicht an einem nicht ganz wörtlich übersetzten aber kernigen Ausdruck: Bei J. 9. Gericke (2. Aufl. 1788) heisst der vorletzte Vers[2]):

Den soll der Henker holen, der das Viert' anrührt.

In J. L. Schwarz's Bearbeitung, die schon diesem Jahrhundert angehört, lesen wir[3]):

Und wer den vierten nur berührt, den soll der —

Eine weit interessantere Paraphrase finden wir im „Phaedrus in leichten Teutschen Nachahmungen zum Gebrauch der mittlern Classen in der Langensalzischen Schule." Das Büchlein ist in Langen-Salza, 1735 erschienen. Die Vorrede hat als „Auctor J. A. G." unterzeichnet; einer handschriftlichen Notiz zufolge, die das Exemplar der Königlichen Bibliothek in Berlin enthält, hiess der Verfasser J. A. Göbel. Nur die Anordnung und die stilistischen Wendungen erinnern in dem Buche an Phaedrus, die Stoffe sind der biblischen Geschichte entnommen. Das Thema unserer Fabel ist im Buch der Könige III, 21 ff. zu suchen:[4])

Die Nachbarschafft eines armen mit einem mächtigen ist niemals aufrichtig: welchen Satz diese Historie bezeuget. Der König Ahab und der arme Naboth, waren Nachbarn in Samaria. Dieser hatte einen Weinberg bey Ahabs Palaste, welchen der König begehrte. Als er solchen nicht erlangen konnte, hat sein Weib, die gottlose Iesabel, also zu ihm geredet: Erstlich kannst du diesen Weinberg wegnehmen, weil du der König in Israel genennet wirst. Vors andere wird ein jeder dir solchen zu eignen, weil du der tapfferste

---

[1]) Vergl. Aug. Lib. Phaedri Fabulae Aesopicae. Nebst einer Uebersetzung in deutschen Reimen von J. J. Pracht . . . . . . Nürnb. 1798. S. 15.

Vergl. Salomon Franckens . . . . . . Teutschredender Phaedrus . . . . . . Jena. 1716, S. 10.

[2]) S. 8.

[3]) Phaedrus . . . . . Fabeln fünf Bücher, metrisch übersetzt von J. L. Schwarz. Halle, 1818, S. 11.

[4]) Buch, I, Fabel fünf.

bist. Ferner wird er deine seyn, weil du mehr vermagst. Endlich damit du ihn haben mögest, soll Naboth, weil er das Unrecht nicht leiden will, getödtet werden. Also hat die Bossheit allein solchen Weinberg weg genommen."

In Italien hätten wir nur directe Uebersetzungen des Phaedrus, wie die so verbreitete des Canonicus Trombelli, zu verzeichnen.[1]) Dagegen können wir unsere Fabel in die Form eines Sonettes gekleidet, erwähnen. Sie hat Giovanni De-Coureil zum Verfasser und ist ganz frei behandelt.[2]) Die Rede des Löwen lautet:

„Ecco la bestia in quattro pezzi, a me
Si spetta il primo ed il secondo, ognuno
Sa, che doppia la parte ha sempre il re.

Come il più forte, il terzo ancora è mio,
L' ultimo quarto poi se v' è qualcuno
Ch' osi toccar! lo scannerò per D. .

Darauf folgen noch drei Zeilen, worin die Lehre enthalten ist.

Am Phaedrus schliesst sich auch — der Aussage des Verfassers zufolge — die polnische Fabel des Gnesener Erzbischof Ignaz Krasicki († 1801). Doch ist es nicht die schlichte Einfachheit von Krasicki's erster Epoche, nicht die dem Phaedrus abgelauschte Kürze, sondern die breitere, dem La Fontaine und seinen Nachfolgern nachgebildete Form, die wir hier vor Augen haben.[3]) Die Exposition ist sehr einfach, den Hauptreiz bildet eine glückliche Steigerung in den Gründen des immer rücksichtsloseren Löwen. Es ist als ob der König nach jeder Zeile einen etwaigen Protest abwarten wollte; das ist aber den stillen Thieren zu viel

---

[1]) Le Favole di Fedro . . . . . tradotte in versi volgari . . . . . Venezia, 1775. Edizione quinta, S. 13.

[2]) Favole e Novelle del Signor Giovanni De-Coureil. Seconda edizione. In Pisa. 1787, S. 52.

[3]) Vergl. K. Górski „Studien über die Fabeln Krasicki's" (polnisch) in der „Polnischen Rundschau" („Przegląd polski.") Bd. 85 u. 86. (August — October 1887.)

zugemuthet, der Löwe sieht, dass er immer dreister werden kann. „Den ersten Theil nehme ich, weil ich der Löwe heisse — den zweiten, weil ich muthiger als ihr streite — den dritten, weil ich allein mehr werth bin als ihr alle drei zusammen — den vierten, weil ihr euch vor mir fürchtet und ich mich nicht fürchte . . . .“ — „Und da es keinen fünften gab — fügt Krasicki hinzu — ging die ganze Gesellschaft, nachdem sie die Leckerbissen gerochen hatte, ganz einträchtig und hungrig nach Hause.“

Russische Fabeln, worin ein Bär die Beute für sich behält, sind schon erwähnt worden. Wir wollen zwei derselben näher betrachten. Die eine ist von Majkow (1725—1778)[1], die andere von Deržawin (1743—1832)[2].

In der esten finden der Bär, der Wolf und der Fuchs ein Stück Rauchfleisch. Der Fuchs räth, es dem Aeltesten zu geben, worauf er beginnt:

„Ihr könnt gar nicht gegen meine Jahre aufkommen. Als Adam und Eva heiratheten, war ich nicht die letzte dabei, ich war die zweite Ehrendame.[3])“ Der Wolf antwortete darauf: „Ich bin älter als du und dein Adam. Die Welt fing erst an, da war ich schon grau.“ Der Bär sah alsdann, dass er die beiden mit dem Alter nicht überbieten könne. Er nahm das Fleisch mit der Tatze und sagte: „Theuerer Fuchs und du mein Freund! Obwohl ich der jüngere bin und keine grauen Haare im Felle habe, ihr werdet doch ohne Streit von mir nach Hause gehen, und das Stück bleibt mein.“

Bei Deržawin erjagen dieselben drei Thiere ein Kalb. Das Alter — ein für das russische Volksleben sehr charak-

---

[1]) Citirt in der von Grot besorgten vorzüglichen Ausgabe Deržawin's (Petersburg 1864—1880) III Bd. S. 540. Bei Majkow 9 Fabel des I. Buches.

[2]) III Bd. S. 540—542.

[3]) Russisch ist das Wort Fuchs weiblichen Geschlechts.

teristischer Umstand — soll wiederum entscheiden. Es spricht zuerst der Fuchs: „Als der Himmel entstand und sich das Firmament mit Sternen bedeckte, da bin ich geboren. — Ja, alt bist du auch, Gevatterin, sagte der Wolf, doch hatte man noch nicht die Zeit gehabt, Sterne an das Firmament zu befestigen, als ich auf diese Welt kam. Und darauf ging er schon das Kalb zu essen. — Du lügst, sagt darauf der Bär und fletschte die Zähne. Mag ich auch jung sein, unter euch bin ich der stärkste. Ausserdem bin ich hungrig, mir gehört also der Vorrang und die Ehre des Alters."

Zweite Version.

I.

In allen Fabeln die wir der ersten Hauptversion zugezählt haben, konnte man das gemeinsame Kennzeichen bemerken, dass die neben dem Löwen auftretenden Thiere eine ganz passive Rolle spielen und gar keine individuellen Züge besitzen. Sie sind in dieser Komödie eigentlich nur Statisten, deren Zahl nach Belieben wechselt. In der zweiten Hauptversion sind sie zu Trägern der Handlung geworden. Meistentheils zwei an der Zahl (Fuchs und Esel oder Fuchs und Wolf) zeichnen sie sich durch charakteristische Eigenschaften aus, die sie in der Handlung hervortreten lassen.

Allen Bearbeitungen dieser Version muss die aesopische Fassung vorangestellt werden. Halm hat sich in seiner Ausgabe Aesops unter Nr. 260, Coray unter Nr. 38 bis, Furia unter Nr. 109. veröffentlicht. Die drei Recensionen weichen nur gering von einander ab; wir lassen die erste folgen:

Λέων, Ὄνος καὶ Ἀλώπηξ.

Λέων καὶ ʽονος καὶ ʼαλώπηζ κοινωνίαν ποιησάμενοι ʼεξῆλθον πρὸς ʼάγραν. Πολλῆς οὖν θήρας συλληφθείσης, προσέταξεν ʽο λέων τῷ ʺονῳ διελεῖν αὐτοῖς. Ὁ δὲ τρεῖς μερίδας ποιησάμενος ʼεκ τῶν ἴσων, ʼεκλέξασθαι τούτους προὔτρεπετο. Καὶ ʽο λέων θυμωθεὶς τὸν ʺονον κατέφαγεν. Εἶτα τῇ ʼαλώπεκι μερίζειν ʼεκέλευσεν. Ἡ δʼ εἰς μίαν μερίδα πάντα σωρεύσασα, ʽεαυτῇ βραχύ τι κατέλιπε. Καὶ ʽο λέων πρὸς αὐτήν· „τίς σε, ὦ βελτίστη, διαιρεῖν οὕτως ʼεδίδαξεν;“ Ἡ δʼ εἶπεν. „ἡ τοῦ ʺονου συμφορά.“

Die Lehre lässt nichts von Entrüstung spüren:
῾Ο μῦθος δηλοῖ, ῞οτι σωφρονισμοὶ γίνονται τοῖς ᾽ανθρώποις τὰ τῶν πέλας δυστυχήματα.

„Hier ist diese Fabel weit vortrefflicher, als im Phaedrus,“ sagt der Verfasser eine 1794 erschienenen Uebersetzung Aesops. Und ohne daran zu denken, dass auch der Esel ein grasfressendes Thier ist, fragt er wie es möglich sei „dass sich eine Kuh, eine Ziege, ein Schaf und ein Löwe zu einem Zwecke vereinigen sollten?“

Dr. Otto Keller hält diesen aesopischen Apolog für eine uralte sanskritische Märchenfabel, die mit der Zeit zu einer Lehrfabel wurde.[1]) Heute finden wir sie etwas umgestaltet in Westafrika wieder. Die in der Zeitschrift „Ausland“ (1857, Nr 39) veröffentlichte deutsche Uebersetzung einer bei den Tuareg bekannten Version wollen wir hier anführen.

„Ein Löwe, ein Panther, ein Tassurit (hyänenartiges Raubthier) und ein Schakal waren gute Freunde. Als sie sich eines Tages zusammen auf der Jagd befanden, begegneten sie einem Schaf und tödteten es. Der Löwe nahm das Wort und sagte: „Wer von uns soll dieses Fleisch theilen?“ „Der Schakal“ antwortete man ihm „welcher der kleinste von uns allen ist.“ — Der Schakal nahm daher die Theilung vor, schnitt das Fleisch in vier Theile und sagte: jeder möge nun seinen Antheil nehmen. Der Löwe kam herbei und fragte: „wo ist mein Antheil?“ Der Schakal entgegnete: „Sie sind alle gleich; nimm den welcher dir gefällt.“ — „Schakal“ erwiderte der Löwe „du verstehst keine Theilung zu machen!“ Und damit schlug und tödtete er ihn. Als der Schakal todt war, sollte einer der andern die Theilung des Fleisches vornehmen. Das Tassurit sagte: „Ich will es thun.“ Es vermischte das Fleisch des Schafes mit dem des Schakals, nahm die Theilung vor und machte sechs Theile. Als der Löwe dies sah, sagte er: „Wir sind

---

[1]) Dr. Otto Keller: Untersuchungen über die Geschichte der griechichen Fabel. Leipzig, B. G. Teubner, 1862.

nur drei, warum sechs Theile?" Das Tassurit antwortete: „Der erste Theil ist der des Löwen, der zweite ist für dich, unser Oberhaupt, und der dritte für die rothen Augen" (Beinahme des Löwen.) „Wer hat dich diese Theilungsart gelehrt?" fragte der Löwe. „Der Schlag durch den du den Schakal getödtet hast" war die Antwort des Tassurit."

Auf den Umstand, dass schliesslich drei Theile für zwei Thiere übrig bleiben, braucht nicht besonders aufmerksam gemacht zu werden.

II.

Bei Phaedrus finden wir bekanntlich diese Version nicht; im Romulus und allen Bearbeitungen desselben ist sie folglich auch nicht enthalten. Trotzdem können wir eine Anzahl mittelalterlicher Fassungen aufzählen, die alle gewisse gemeinsame Züge besitzen und sich von Aesop stark unterscheiden.

Odo von Ceringtonia, der Verfasser einer lateinischen Fabelsammluug die das Jahr 1200 entstand, hat eine Fassung hinterlassen, die bei Hervieux (Bd. II, S. 642) unter dem sonderbaren Titel: „De Leone et Lupo et Volpe et Venatoribus“ steht.[1]) Die Moral der Fabel verdient eine besondere Beachtung:

Leo, Lupus et Vulpes condixeruut sibi ad invicem quod venarentur. Vulpes cepit anserem, Lupus arietem pinguem, Leo bovem macilentum. Debuerunt prandere. Dixit Leo Lupo, quod praedam partiretur. Dixit Lupus: Unusquisque habeat quod cepit: Leo suum bovem, ego arietem, Vulpes anserem. Leo iratus erexit palmam et cum unguibus extraxit totum corium de capite Lupi. Et dixit Leo Vulpi quod divideret. Et ait Vulpes: Domine, vos comedatis de pingui ariete, quantum vol(u)eritis, quia teneres habet carnes et postea de ansere, quantum volueritis, tandem de bove temperate, quia duras habet carnes, et quod remanserit, detis nobis qui homines vestri sumus. Ait Leo: Certe bene dicis. Quis le docuit ita bene partiri? Et ait Vulpes: Domine, ille rubens capellus socii mei, demonstrato capite excoriato.“

Die Ausführung ist sehr sinnreich. Der Ochse würde

[1]) Vergl. Romania, XIV, S. 388.

schon den Löwen befriedigen, wenn er nicht eben so mager wäre; der Wolf, der den fetten Widder gefangen hat, ergreift die Gelegenheit und will einem jeden seine eigene Beute lassen. Er wird dafür nicht aufgefressen wie der Esel bei Aesop, aber theilweise geschunden, was dem Fuchs zu einer ironischen Bemerkung Anlass giebt, die sich im Roman de Renart findet und der wir noch oft begegnen werden.

Die Lehre muss auch sinnreich, zu sinnreich genannt werden:

„Sic Dominus percussit primum parentem pro peccato inobedientiae, scilicet multis infirmitatibus, fame, siti, nuditate, et tandem morte; quod rubens capellus Adae deberet nos castigare atque nunquam Deum offendere debe(re)mus. (Unde) in Parabolis [c. XIX, v. 25]: Castigato pestilente stultus sapientior erit. Quandoque verberatur catulus coram Leone, ut timeat et mansuescat. Sic Dominus ergo verberavit triplicem Leonem, ut nos, Catuli miseri, timeamus et a peccato abstineamus. Verberavit in quantum Sathan, verberavit primum Adam, verberavit secundum Adam, id est Christum. Unde vox Christi ad Patrem: In me transierunt irae tuae; quoniam flagellis, cruci et clavis ipsum exposuit et proprio filio non pepercit. Adhuc nos miseri non timemus. Potest Dominus dicere: Mitius inveni quam te genus omne ferarum. Maledictus talis Catulus qui, tam magnis Leonibus verberatis, non timet nec curat castigari.[1])

Bei dem schon genannten Johannes de Schepeya ist der Verlauf der Fabel ganz derselbe, bis auf eine Aenderung in den Worten des Fuchses, die dann weiterhin Glück gehabt hat. „Domine — sagt der Fuchs — quia tu es dominus noster et rex, habebis vaccam; domina mea, uxor tua, habebit ovem; et parvi tui habebunt aucam, quia tenera

---

1) Paul Mayer erwähnt (Romania, XIV, 381—397) eine altfranzösische Uebersetzung der Fabel Odo's, die in einer Handschrift in Cheltenham enthalten ist. Unsere Fabel trägt da den Titel „Du lion, del lou e du goupil.“ (S. 394).

est et pinguis." — Vom Hute ist nicht mehr die Rede; es wird nur „iste cum rubeo capite" erwähnt.[1]).

In einem alten Drucke ohne Jahreszahl und Ort, dessen erste Worte „Hic Incipit Liber Magistri Esopi" lauten fand, E. Du Méril eine lateinische Bearbeitung dieser Fabel in Distichen.[2]) Die Beute besteht wiederum aus drei Thieren: einem Ochsen, einer Kuh und einem Kalb.

Quis te sic docuit, tunc leo, frater, ei?
Subdola cui vulpes: Exemplo docta priori,
Me lupus hoc docuit, vulnera dira ferens.

Die Genossen des Löwen haben keinen Lohn von ihrer Jagd weggetragen, trotzdem schliesst der Verfasser mit der Lehre:

Ut tua conserves, domino te subde potenti,
In manibus cuius mors manet atque salus.

Breiter und ausführlicher schildert denselben Vorgang ein Fablel, welchen Robert in seinem Buche veröffentlichte.[3]) Er trägt den Titel „La Compagnie Renart." Wie in der von Du Méril herausgegebenen Fabel, kommt hier ein Vortrag zu Stande:

Chascuns a plevie sa foi
Que par leauté partiront
Itel gaaing comme il feront.

Auch ist ihre Beute dieselbe: Stier, Kuh und Kalb. Doch findet wiederum die ironische Bemerkung des Fuchses statt:

Renart, dist le lions, beaus frere,
Di moi par l'ame de ton pere
Qui t'aprist si bien a partir?
Par sainct Estienne le martir,
Sire, nel vous celerai jà,

---

[1]) Hervieux II, S. 757.

[2]) Poésies inédites du moyen age .... par E. Du Méril. 1854. S. 420.

[3]) Bd. I, S. 32. Auch bei Chabaille, Le Roman du Renart, Supplement, Paris, 1835. S. 107.

Cil Bachelers que je voi là
Porce qu'il a aumuce rouge.

Die Lehre ist die Aesops:

. . . on doit sage clamer celuy
Qui se chastie par autruy.

Die altdeutsche Fabel, die A. v. Keller aus einer Karlsruher Handschrift publizierte, kennt nur einen Hasen als Beute und weiss nichts vom rothen Hut.[1])

Er (der Loewe) sprach: got gebbe dir unheyl!
Due hast nicht recht getan.
Sol ich ez nit pesser han,
Dann ir mit gyr?
Ich lass ez nit faren dir
Er begreiff jn bey dem rücken
Und begonde ym die haut abezücken . . . u. s. w.

Die Moral wendet sich gegen den Menschen, der sich selbst Schaden bringt, wenn er auch Gefahr vor sich sieht. Dann folgen zwei Zeilen:

Hye endet sich die teylünge.
Got schende bose maynüng!

Gailer von Kaisersberg hat wiederum den rothen Hut beibehalten und einen Ochsen, eine Kuh und ein Lamm als Beute gewählt.[2]) Die Löwin liegt in Wochen und der Löwe ist desto grimmiger, da man ihrer vergass. Die Fabel lesen wir in der XV. Predigt von Kaisersberg's „Alphabet" und sie wird wiederum, freilich auf eine andere Weise, wie bei Ceringtonia myatisch ausgelegt.

„Der fuchs ward von fremden schaden gewitzigt, dem sollen wir volgen und sollen uns auch also besseren auss der fremden schaden. Diser löw ist got der himmelisch vatter, der mechtig stark und greulich löw von Iuda. Von dem brummen seines götlichen gewalts erbidemet das ganze ertreich. Der wolff ist der teuffel, der sich wolt got gleichen,

[1]) Aus altdeutschen Handschriften S. 1514.

[2]) Des hoch gelerten doctor keiserspergs Alphabet in XXIII. Predigten . . . . . . Strassburg. 1518. Die XV. Predig. S. 27.

er wolt die ku haben, da lucifer sprach. Ich will meinen stul setzen neben gott das ich im gleich sei........... Der fuchs ist Christus nach der Menschheit, wie wol er nach der gotheit was unnd ist gott dem vatter gleich...... u. s. w.

Nach allen diesen Fabeln, die wenigstens ihrem Geiste nach dem Mittelalter angehören, möge eine noch Erwähnung finden, die einen Schriftsteller des XIX. Jahrh., Namens Bressier zum Verfasser hat und doch dieser Gruppe beigezählt werden muss.[1]) Der Löwe hat diesmal mehrere Begleiter, mit denen er wiederum einen Stier, eine Kuh und ein Kalb erbeutet.

Le monarque pouvait se lotir à sa guise,
Mais il est juste et veut qu'un juge impartial
De ce riche butin fasse un partage égal.

Der Fuchs wird dazu auserkoren und als ob er die älteren Fabeln kenne und vom Schicksal des Wolfes gehört hätte, tritt er gleich den Stier an den Löwen, die Kuh an die Löwin, das Kalb an die Kleinen ab.

---

[1]) Fables et poésies diverses par M. Bressier. III. edition. A Paris, 1837. S. 97. Fabel 47.

III.

Die Bearbeitungen aus der Renaissance-Epoche unterscheiden sich von denen des Mittelalters und lehnen stärker an Aesop an.

Am wenigsten ist das der Fall bei der Gruppe des bekannten Humanischen Abstemius (Lorenzo Bevilacqua),[1]) Wir sehen darin einen Wolf und einen Fuchs auf die Jagd gehen und, wie bei Phädrus in der ersten Hauptversion, einen Hirsch erbeuten. Darauf erscheint ein Löwe und fordert den dritten Theil der Beute. Der ihn verweigernde Wolf wird verwundet, der Fuchs giebt den ganzen Hirsch ab.

„Ecquis, inquit leo, te ita sapienter docuit respondere? Galerus, ait vulpes, ille ruber, quem socio meo lupo imposuisti."

Die Lehre passt wiederum nicht ganz genau zum Verlaufe der Handlung: „Fabula indicat, melius esse partem interdum concedere, quam totum amittere."

Eine Bearbeitung, die wir in der lateinischen Facetiensammlung des Othomar Luscinius vorfinden, schliesst sich genau an Abstemius an.[2]) Auf die Frage, wer ihn schreiben gelehrt hätte, antwortet der Fuchs: „Doctor ille, cuius cervici tu iam purpureum biretum imposuiti." Die Lehre ist auch hier eine opportunistische: „Docemur hoc apologo incolumitati

---

[1]) Nevelet, S. 612. No. 187.

[2]) Mensa Philosophica ..... auctore Michaele Scoto .... Accessit Libellus Iocorum ..... opera Othomori Luscinii Argentinensis concinnatus. Francofurti, Anno 1602. S. 368.

ac vitae nonnunquam magis, quam rei familiari consulendum, atque tum maxime, ubi privatorum opibus inhiant Principes."

Endlich ist diese Version vom hinzutretenden Löwen durch François de Neufchateau († 1815) bearbeitet worden. Sie ist in jener breiten Manier des XVIII. Jahrh. erzählt, die so gern die Thiere im menschlichen Costüm auftreten lässt und die Anspielungen häuft.[1]) So redet z. B. der König im Canzeleistyl: „Car tel est mon plaisir." Und weiter:

Une griffade accélérée
Du chef sur le chignon lui fait tomber la peau,
Et l'ecorche si bien qu'en somme
Il n'est point d'Eminence à Rome,
Qui porte un plus rouge chapeau.

Die Erwähnung des Doctors und des Baretts kann also auch nicht fehlen. Die Worte des Fuchses sind mit der Moral verknüpft worden.

„Mais tu parles comme un docteur.
„Dans le droit ta science éclate:
„Ou l'as tu donc étudié?" —
„Dans la barette d'écarlate
„Que vient de recevoir notre pauvre associé.
„Sur cette sanglante coiffure
„Je lis distinctement ces mots,
(Qu'on peut, en pareille aventure,
Citer je crois fort à propos:)

„Aux puissants, avec modestie
„Parlez sans les pousser à bout;
„Et sachez perdre une partie,
Plutôt que de risquer le tout."

Die am Anfange unserer Betrachtungen erwähnte Fabel des Erasmus von Roterdam unterscheidet sich von Aesop nur in geringen Details. So verabreden sich die drei Thiere, die Beute untereinander zu theilen. Sie wird, wie bei Aesop

---

[1]) Fables et Contes en vers. . . . par N. François da Neufchateau. Paris 1815, I. Band, S. 96.

gar nicht näher bestimmt. Der Verfasser wirft hier dagegen sein wegwerfendes Urtheil über den gleich schreibenden Esel: „Ille ut est stolidus, in tres aequas portiones distribuit." Der Fuchs giebt auch Alles ab, behält aber ein kleines Stück der Beute, um den Schein einer Theilung zu bewahren. Dieser Zug raffinirter Schmeichelei ist von fast allen Nachfolgern des Erasmus aufgenommen worden.

Als directen Nachahmer des Roterdamer Gelehrten können wir nur Ludovico Guicciardini (1523—1589) nennen, der in seiner Sammlung Anekdoten „L'Hore di Ricreatione" unserer Fabel einen Platz einräumte.[1]) Sie dient ihm als erklärendes Beispiel für den Lehrsatz: „Far mistiere distribuere i beni, gli honori e le altre cose secondo la dignità e conditione de participanti." Einzelne Redewendungen lassen sich auf Erasmus' lateinische Version zurückführen.

In dem Sammelwerke aus dem Jahre 1516 ist unsere Fabel von Hadrianus Barlandus bearbeitet worden. Er erzählt sie ganz schlicht in noch kürzeren Worten als Aesop, scheint die Handlungsweise des schlauen Fuchses, der nur ein Stückchen der Beute behielt, zu billigen und schliesst mit dem „Morale": Fœlix quem, faciunt aliena pericula cautum."[2])

Burchard Waldis, dem bekanntlich das Sammelwerk des Jahres 1516 als Vorlage diente, hat den lateinischen Text bedeutend ausgeschmückt und aus der knappen Lehrfabel eine Erzählung gemacht.[3]) Doch sind einige der Kennzeichen der Abstammung von der lateinischen Version noch bemerkbar. Der Fuchs zeigt dem Löwen den niedergestreckten Esel: „mortuum asinum ostendens". Bei Waldis heisst es:

Von wem hastu solch weisheit glert?
Zum toten esel er sich kert

---

[1]) Erste Ausgabe 1560. — In der Ausgabe d. J. 1607. S. 190.

[2]) Dieser Vers war wohl schon früher gebildet. Vergl. Feliciter sapit qui alieno perciulo sapit, Plaut. Merc. IV, 4, 40. Felix quem meritum pravi facit esse peritum. Bibl. de l'école des chartes, 1873, S. 44. (Ulysse Robert: Un vocabulaire latin-françois du XIV. s. suivi d'un recueil d'anciens proverbes.)

[3]) S. 111. Fabel 73.

Und sprach: Des schad und ungefug
Haben mich jetzt gemachet klug . . . . . u. s. w.

Als Beispiel der Behandlung der Vorlage wollen wir den Anfang der Fabel anführen: es sei gleich bemerkt, dass im Text des Barlandus nur von einer Beute im Allgemeinen gesprochen wird: „Leo, asinus vulpes eunt venatum, capitur ampla venatio, capta partiri iussa.“

Diesen Worten entsprechen folgende Zeilen bei B. Waldis:

Der Löw wollt laufen auf das gejeid,
Nam mit den fuchs und den esel beid.
Und sprach: „Wir wölln zusammen jagen!
Lass sehen, was wil das glück uns tragen.“
Sie giengen mit dem löwen bald
Zu jagen vor den grünen wald,
Fiengen mit hetzen und mit birschen
Hasen und reh, hinden und hirschen,
Warfens zusamen in das laub.
Der löw sprach: „Wer teilt uns den raub?“
Der esel sprach: „Das wil ich tun
On allen hass aufs gleichest nun . . . . .“ u. s. w.

Die Fassung, welche wir in G. Landi's Sammlung finden ist wiederum nur eine italienische Uebersetzung des Barlandus. Die beiden oben erwähnten französischen verzifizierten Bearbeitungen, die Corrozet's und Haudent's, tragen diesmal gar keine Spuren eines etwaigen Barland'schen Einflusses. Besonders ist die Fabel Haudent's arm an interessanteren und individuellen Zügen;[1]) die Corrozet's ist dagegen lebhaft erzählt und wirkt schon durch die rhythmische Anmuth.[2])

Ung fier Lyon, ung Asne et ung Regnard
S'en vont chasser ensemble quelque part
En la forest branchée:
Tant ont chassé qu'ilz ont corné sa prise,
Et pour partir sa proye ainsi surprise
Elle fut detranchée.

---

1) Fabel 173.
2) Fabel 64.

L' Asne qui trop d'audace s'attribue
A chascun d'eulx le butin distribue,
Dont le Lyon despit
Rugist et brait en sa fureur et ire
Et l'Asne prend, le despece et dessire
Sans luy donner respit.

Puis au Regnard baille commission,
De faire entr' eulx la distribution,
Lors par prudence caulte
La moindre part à luy se reservant
De la grand part fut le Lyon servant
De paour de faire faulte.

Qui t'a ainsi (oict le Lyon ireux)
Faicit sy sçavant, sy prudent, sy heureux?
Lors le Regnard parla,
Disant, le mal d'aultruy m'a enseigné
Car i'avois paour d'estre ainsi empoigné
Que l'Asne que voyla. (ostendens?)

Luthers Bearbeitung dieser Version muss auch hier ihren Platz finden.[1]) Die Lehre des Barlandus ist am Schlusse seiner deutschen Fabel wörtlich im Original angeführt. Andererseits erinnern Doctor und Barett an Luscinius, dessen „Ioci ac Sales“ sechs Jahre vor Luthers Esopus erschienen sind. Nachdem er die Version vom selbstheilenden Löwen erzählt hatte, fährt Luther so fort: „Diese Fabel ist auff ein ander Weise also gestellet. Ein Löwe, Fuchs und Esel jagten mit einander und fiengen einen Hirsch („ampla venatio“ bei Barlandus, „praeda“ bei Luscinius), da hiess der Löwe dem Esel das Wildpret theilen. Der Esel macht drey Theil, des ward der Löw zornig und riss dem Esel die Haut über den Kopff, dass er Blutrünstig da stund, und hiess den Fuchs das Wildpret theilen. Der Fuchs stiess die drey theil zusammen, und gab sie dem Löwen gar. Da

[1]) S. 41.

lachet der Löwe und sprach: Wer hat dich so lehren theilen? der Fuchs zeiget auff den Esel („ostendens“ Barlandus) und sprach: Der Doctor im rothen Pareth. — Diese Fabel lehret zwey Stück. Das erste: Herren wollen Vortheil haben und man soll mit Herren nicht Kirschen essen, sie werffen einen gern mit den Stielen, das ander: Felix quem faciunt aliena pericula cautum. Das ist ein weiser Mann, der sich an eines andern Unfall bessern kann.“

Etwas verändert finden wir diese Uebersetzung der Barland'schen Lehre in der Fabel Pfeffels, welche nach des Verfassers eigener Angabe „nach Luthern“ bearbeitet worden ist.[1]) Die Thiere haben oft bei Pfeffel morgenländische Titel beigelegt und bekleiden morgenländische Aemter:

Wer, sprach der Dey mit losem Blicke
Hat so zu theilen dich gelehrt?
Das Aug dem Esel zugekehrt,
Den er noch triefend von dem Blute
Des rothen Schädels vor sich sah,
Sprach Reinhard: Ey, Herr König, da
Der Doctor mit dem rothen Hute.

Der ist führwahr ein weiser Mann,
Den fremdes Unglück bessern kann.

Die nächste nach der Barland'schen uns bekannte lateinische Fassung stammt von Camerarius, welcher sich stellenweise wörtlich an Aesop hält und doch anderseits Neues einführt. Nachdem er die Portionen — sehr „einfältig“ wie der Verfasser bemerkt — ganz gleich geordnet hatte, will sie der Esel durch das Schicksal vertheilt haben. Er wird darauf getödtet und aufgefressen; der Fuchs behät nur einen Bissen und motivirt diese Theilung. „... atque hanc justam divisionem esse dixit, ut leoni cujus non solem auspiciis, sed etiam laboribus omnia essent quaesita plurima extra quidem sortem cederent.“ [2])

---

[1]) Pfeffel: Poetische Versuche. VIII. Theil. Tübingen, 1805. S. 78.
[2]) Leipzig, 1792. S. 39.

In Kirchhofs Wendunmuth, im VII. Buche, finden wir diese Version der Fabel vom Löwenantheil und zwar wiederum nach Camerarius erzählt.[1]) Einiges, wie der Verloosungsantrag, ist weggefallen, doch giebt es auch wörtlich übersetzte Stellen. „Nach seiner einfalt“ entspricht dem „simpliciter“ des lateinischen Textes: „mi leo fortissime“ ist „Mannlicher, allerstärkester herr könig“ geworden. Es fehlt auch nicht an einer, wenn auch anders gefassten Motivirung des Fuchses: „und das darumb, wie er sagte, dass derselbig auch die meiste arbeit, solches alles zu erlangen, gethan und keiner unter ihnen dieses zu thun vermöcht hätte.“

In lateinischen choliambischen Versen hat Gabriel Faernus die Fabel erzählt.[2]) Hervorzuheben ist der Umstand, dass nach dem Tode des Esels der Fuchs vom Löwen ermahnt wird, mit strenger Gerechtigkeit zu verfahren.

Inita societate asinus, leo ac vulpes
Venatum iere. Cumque praeda jam multa
Facta esset atque hanc tres asellus in partes
Dividere jussus, ex bono esset atque aequo
Partitus, ira leo superbus exarsit
Miserumque divisorem atrociter sane
Doli mali atque iniquitatis adcusans,
Discerptum hianti condidit vorax alvo.
Rictu cruento deinde versus ad vulpem,
Ut faceret aequas sedulo innuit partes.
Ea ferme ab una parte cuncta secrevit
Leoni, ab altera id sibi, quod a tanta
Pauxillulum detractione restabat.
Tum gestiens leo: Unde, ait, soror vulpes
Es dividendo tam erudita communi?
Asini calamitas exitusque lugubris
Me facit, inquit illa, jureconsultam.

Aliena sunt pericla cautio nostra.

---

1) S. 256.

2) Centum fabulae .... edidit F. A. Boysen. Lipsiae 1798. Fabel III. S. 3. Erste Ausgabe 1564.

Im eigenen Vaterlande fand Faerno einen Nachahmer. Auf ihm beruhen meistentheils die Fabeln des Venezianers Giovanni Mario Verdizotti.[1])

Unsere Fabel lautet:

Il possente Leon, l'astuta Volpe
E 'l semplice Asinet venner d'accordo
D'esser compagni e divider tra loro
Quel che ciascun di lor prendesse in caccia.
E fatto un giorno assai copiosa preda
Essendo a l'Asinel toccato in sorte
Il far le parti del cnmmun guadagno,
Il tutto giustamente in tre divise:
Perchè ciascun il suo dovere havesse.
Ma il superbo Leon questo vedendo
Arse nel cor tutto di rabbia e sdegno:
E 'l miser divisor tosto accusando
D'iniquità, d'inganno, e di malitia
Lacerò tutto; e con vorace brama
Ne satiò la scelerata fame.
Poi volto in atto furibando e fiero
A la Volpe, che attonita mirava
Quel caso strano, e di nequitia pieno;
Con parlar orgoglioso le commesse,
Che in giuste parti dividesse il tutto.
Ond' ella accorta da l'altrui ruina
Quasi tutta la preda in un raccolse
Per farla del Leone debita parte;
E presentolla a la superba fiera;
E poco più di nulla a se ritenne.
Allhor l'altiero d'allegrezza pieno
Le disse. Ore, sorella, hai così bene
Appresa del divider la ragione,
Che con tanta dottrina hor m' hai dimostro?
A cui l'astuta humilmente rispose:

[1]) Cento favole morali .... In Venetia, 1599. S. 175. Fabel 58.

De l'Asino lo stratio, e 'l tristo fine
Dato m'ha de le leggi la dottrina;
Ch'a ben partir quel, ch'è commune, insegna;
E m' ha fatto legista in un momento.
Così l'huom spesso a l'altrui spese impara
Nelle occorrenze perigliose e strane
Il ritrovar la via di sua salute
Senza tema di biasmo o d'alcun danno.
Se vuoi del tuo mistier cavar guadagno.
D'un tuo maggiore non ti far comgagno.

In Frankreich ist neben der uns unzugänglichen Nachahmung Faerno's von Charles Perrault eine Fabel aus dem XVIII. Jahrh., deren Verfasser La Fermière hiess, zu nennen[1]) Sie hat mit Faerno und anderseits mit Camerarius Aehnlichkeit:

On conte que jadis (qand il s'agit de fables,
Les vieux temps sont intarrissables
Et les nôtres un jour en fourniront leur part)
Le Lion, l'Ane et le Renard
Etablirent entré eux une belle harmonie,
Qu'on les vit giboyer tous trois de compagnie.
L'Ane à sa voix donnant l'essor
Chassoit les bêtes de leurs sièges,
En faisant office de Cor
Et le Renard dressoit des pièges,
Si bien que c'est de-là qu'est venu le dicton:
Coudre peau de Renard à celle de Lion.
On prit force gibier. Enfin, las du carnage,
Le lion dit: ça, Maitre Aliboron!
Je m'en remets à ta discrétion,
De ce butin tu feras le partage.
L'ane tres sagement en compose trois lots,
Qu'il a grand soin de rendre bien égaux,
A chaque part attache une étiquette,

[1]) Fables et Contes dédiés à S. A. I. le Grand Duc de toutes les Russies. Paris, 1775, S. 173.

Et veut pour conserver l'égalité parfaite
Que, renonçant à l'embarras du choix,
De part et d'autre on se soumette
Au sort, et que chacun promette
D'en observer de point en point les loix.
Comment, dit le Lion, en rugissant de rage,
Proposer entre nous un semblable partage:
Un misérable, un Ane au Roi des Animaux
Impunément aura fait cet outrage?
Non, de par tous le Dieux! En achevant ce mots
Il joignit le Baudet à l'un de ces trois lots;
Puis il dit au Renard: mon ami, mon compère,
C'est à vous désormais à régler cette affaire;
Entre nous deux partagez le gâteau.
Selon justice et droit, ainsi qu'il se pratique
En telle occasion. Le cas n'est pas nouveau:
Sans égard à mon rang surtout! Car je me pique
D'équité. Le Renard mil tout en un monceau
Ne réservant pour lui qu'une part fort modique
Et Lion d'applaudir et de crier: bravo!
Cela mérite une embrassade,
A ce trait-là pour vous mon estime s'accroit.
De qui donc le Renard a-t-il appris le droit?
C'est dit-il, de mon camarade.

Ioannes Manlius hat in seinem Buche „Locorum Communium Collectanea" noch eine lateinische Bearbeitung der Fabel geliefert, die sich von allen bisher erwähnten unterscheidet.[1]) Ein Stier ist die Beute; die Genossen sind vier an der Zahl; der Löwe giebt Gründe an, warum ihm die Theilung missfällt; die Fabel ist mit Aufwand von Gelehrsamkeit und gesuchtem Witz, nicht ohne unerquickliche Wortspiele erzählt.

Convenerant aliquando leo, equus, vulpes et asinus, ut quicquid praedando consequerentur, id totum inter se dividerent. Contigit paulo post, ut taurus se illis in praedam

1) Francoforti ad Moenum, anno 1594. S. 353.

offerret: quo dilaniato, leo iussit asinum dividere praedam et cuique partem debitam attribuere. Asinus ut simplex et rude animal fecit divisionem secundum proportionem arithmeticam et cuique aequalem attribuit partem. Ibi iratus leo inquit: Quis te ita iussit partiri et mihi non plus tribuere, qui tam maxime laboraverim? Discerpto asino iussit equum partiri. Equus erat aequus, id est, servabat proportionem Geometricam et dabat leoni duas partes: alteram quae sua erat et alteram discerpti asini. Leo aegreferens hanc etiam divisionem, innuens sibi plus esse tribuendum, siquidem rex esset, laceravit etiam equum. Unde postremo vulpi divisio est demandata. Vulpes cauta erat, quae congestis omnibus partibus in unum acervum, inquit ad leonem: Haec erit tua pars. Ait leo: Quis te hoc docuit? Respondit: Hi doctores docuerunt, monstrans simul asinum et equum.

Eine etwas befremdende Frage wird am Schlusse gestellt, doch wird sie nicht beantwortet: „Quaeritur, an recte fecerit leo, discerpens equum et asinum? Sed breviter respondetur: Quod illa communiter fiant in vita, ut plerumpue potentiores inferiores (si quando cum eis ineant familiaritates) premant, iuxta commune proverbium Germanicum: Mit grossen Herren ist nicht gut Kirschen essen.

IV.

Einige französische prosaische Bearbeitungen des XVII. Jahrh. müssen wir übergehen: sie bringen keine neuen Elemente und lassen sich doch nicht als directe Nachahmungen einer der obengenannten Fassungen betrachten. Erst mitte des XVIII. Jahrh. verdient ein Verfasser genannt zu werden: das ist Pierre Defrasnay.[1]) Seine an der Zahl der Stücke so reiche, in Versen gefasste Fabelsammlung, erschien 1750 in Orléans. Unser Apolog ist in glatten, aber kraftlosen Versen erzählt; weder Handlung noch Lehre ist durch neu hinzutretende Züge bereichert worden, erst prosaische, am Schlusse sich befindende „Betrachtungen" verdienen unsere Aufmerksamkeit. „Contester avec son maitre — so hebt Defrasney an — est un trait d'arrogance et d'imprudence tout ensemble; il ne fait pas bon disputer avec unhomme qui commande à des légions et qui a droit de vie et de mort; je n'approuve point ce Grammairien qui disoit à Auguste, Seigneur, vous pouvez d'un Barbare fair un Citoien Romain, mais vous ne pouvez pas donner le droit de bourgeoisie à un mot étranger . . . ."

Doch wenn er so Alles vor dem Willen eines Herrschers schweigen lässt, giebt sich Defrasnay keinen Illusionen über die Natur der Fürsten hin. „Les Princes sont gouvernés par trois grands mobiles: la vanité, l'amour des plaisirs et l'interêt." Es ist die einfache Furcht die ihn so rathen lässt. Die Schmeichelei ist ihm verhasst, doch will er sie an den Höfen gelten lassen, wenn sie nur die Religion nicht

---

[1]) Livre II, f. 13. S. 51.

beeinträchtigt. Im übrigen stellt er jenen Höfling zum Muster auf, der den König beim Kartenspiel immer gewinnen liess. Wie sich doch in einer unbedeutenden Fabel die dumpfen Zustände einer Epoche wiederspiegeln können!

Richer hat diese Fabel auch behandelt: einige Zeilen seiner versifizierten, im Ganzen uns unzugänglichen Bearbeitung citirt Prof. Saint-Marc Girardin in seinen Vorlesungen über La Fontaine.[1])

Zu den Versionen des XVIII. Jahrhunderts gehört ebenfalls eine italienische, die sich in dem Buche Ricci's „Le favole greche d'Esopo volgarizzate in rime anacreontiche toscane" befindet.[2]) Sie ist ziemlich lang, enthält trotzdem gar keine neuen und individuellen Züge. Der Stoff scheint schon allzubekannt geworden zu sein und reizt nicht mehr zur Umgestaltung. Eine gute Bearbeitung, der Leben und Humor nicht fehlen, finden wir erst wieder beim russischen Dichter Sumorokow. Sie lautet in einer wörtlichen Uebersetzung:

Gefährlich ist es dem Kleinen mit Grossen Freundschaft zu haben. Man kreischte auf: Marsch und Krieg! man geht in den Dienst. Doch wer sind diese Helden? Esel, Fuchs, Löwe — und es entflammen sich die heroischen Seelen, Waffe des Fuchses ist sein Schweif, des Esels — seine grossen Ohren, des Löwen — sein entsetzlicher Rachen: er deutet auf Tod und Grimm. Es glänzt der Blick des wilden Thieres und es bebt der Wald. Nicht Hercules in der Löwenhaut mit der Räuberkeule nähert sich den Wäldern: der Löwe selbst kommt da in Löwenhaut. Und wer ihm auch begegnet, schonungslos straft er alle im Kampfe und sammelt ein den Tribut.

Dann wandte er sich nach Hause, kehrte mit Sieg zurück. Und welche Thiere er heldenmüthig bezwungen hatte, die liess er den Esel in drei Portionen theilen. Seit jeher weiss es mein Esel, dass man die Erbschaft gleichmässig theilen

---

[1]) Saint- Marc Girardin. La Fontaine et les Fabulistes. 1876. Bd. I, S. 40.

[2]) Firenze, 1736, S. 84. Fabel Nr. 38.

solle. Von seiner Seite war diese Theilung leidenschaftslos und obendrein befiehlt es noch die Weisung. Es wird getheilt, doch sind die Portionen nicht richtig .... Und der Grund? weil sie gleich sind. Zornig ward mein Löwe, schlug den Esel hinter die Ohren und sagte: „du verstehst dieses Handwerk nicht und weisst nicht, auf was für Prinzipien bei einer Theilung mit mir es ankommt. Mein Esel: „ach, ach“ und krepierte alsbald. Aber der Löwe liess den Fuchs die Beute theilen. Es will nicht der Fuchs in des Löwen Schlund gehen: er legte einen Theil von der Grösse eines Speichers und ein Theilchen gross wie eine Faust — und traf es recht dem Freunde.

„Wer,“ fragte der Löwe, „hat dich so theilen gelehrt, dass du mir so zu Diensten gewesen bist?“

Der Fuchs schwänzelt hin und her und antwortet ihm: „Des Esels Tod.“[1])

---

[1]) Vergl. Vollständige Sammlung aller Werke A. Sumorokow's (russisch). VII. Theil. Moskau, 1781. S. 148. Buch III, Capitel 16.

V.

Im Anhang an die bis jetzt durchgesehenen selbstständigen Fabeln, müssen wenigstens einige Versionen des Löwenantheilstoffes erwähnt werden, die in grössere dichterische Werke, in Thierepen hineingewebt worden sind. Wir nennen zuerst ein lateinisches, aus der Mitte des XII. Jahrhunderts stammendes Gedicht des Magister Nivardus, dann den Roman de Renart, um die Reihe der Bearbeitungen mit dem Werke eines echten Dichters, mit Goethe's „Reinecke Fuchs“ zu schliessen.

Alle drei Versionen gehören unserer zweiten Hauptabtheilung an.

Der bekannte Stoff ist überall dem Hauptmotive des Gedichtes, der Feindschaft zwischen Wolf und Fuchs, angepasst und um viele Einzelheiten bereichert. Reinardus der Fuchs, der den Wolf Isengrimus im Ansehen des Königs vernichten möchte, stellte ihm in Nivardus Gedichte folgende Falle auf.[1]) Er erklärt dem König-Löwen, derselbe sei bei Isengrimus eingeladen und führt ihn auch vor des Wolfes Wohnung, dem er zuruft, sein Herr und König wäre seiner Bitte gefolgt. Der verwunderte und erschrockene Wolf weiss nicht ob er des Teufels oder des Fuchses Stimme höre. Scheinbar hilft ihm Reinardus, indem er ihm eine Kuh zeigt, die, getödtet, zum Gastmahle dienen könnte. Das geschieht und der Wolf bietet selbst seine Dienste als Theilungsunter-

[1]) „Reinardus Vulpes“ Carmen epicum seculis IX. et XII. conscriptum ...... edidit F. J. Mone. Stuttgardiae et Tubingiae 1832. S. 247.

Sieh „Isengrimus, herausgegeben und erklärt von Ernst Voigt. Halle a. S. 1884.“ Liber VI, 133—348. S. 342—353.

nehmer an. Er theilt in drei gleiche Portionen, was der König mit grimmigem Blicke ansieht.

„Ysengrime, putas, est bos divisa facete?“
— „rex, bene divisa est, et sine fraude, proba!“ —
„experiar paucis, an sit divisa perite,
si bene divisa est, utile dico tibi;
pars haec prima trium cuia est?“ — „tua maxime mi rex! —
„et cuius media est?“ — „rex, ego sumo michi hanc. —“
rector adhuc sed vix inscissa bile tacebat:
„tertia pars cuinam cedat, amice, jubes?“
— „Reinardo vulpi —“ rabies tunc tota movetur,
nec motis animis imperat ille diu,
a scapulis pellem cauda tenus excutit illi.
„qui patrine dein? partificata bene est?“
territus ille fere retro salita tque seorsum
coctana vendentis more resedit anus . . . .

Das interessante und feine im Renardus ist die schärfere und originelle Charakteristik des Fuchses, welche nach allen den einförmigen Versionen, die ihr vorangehen, als nothwendige Entfaltung, als normaler Fortschritt erscheint. Dass der alte Feind des Wolfes, dass der Fuchs dem Löwen Vorwürfe macht, nachdem dieses geschehen ist, was er selbst wünschte und vorbereitete, nämlich die Misshandlung des Wolfes, dass ferner der Fuchs die ganze Kuh dem Stärkeren abtritt nicht ohne ihm merken zu lassen, dass er es nur des Friedens wegen thut — das war ein glücklicher Einfall des Verfassers.

Und wie komisch nimmt sich der Löwe aus, der nur von Gerechtigkeit spricht und nur eine richtige Theilung wünscht! Nach der Belohnung, die dem Wolfe zu Theil wurde, fürchtete er nicht mehr missverstanden zu sein und kann mit der nöthigen, offiziellen Entrüstung darüber sprechen: der Hofmann Reinardus wird schon zu handeln wissen.

„improbe, rex ego sum natus punire rapaces,
suggeris, ut michimet jura aliena petam?
perdita conciliem potius quam dicar inique
eripere externas et violenter opes.

divide, communis praeda est, nihil vendico sane,
praeter quod merito dixeris esse meum."

Und er täuscht sich nicht im Fuchs: die drei vom Wolfe gemachten Theile werden dem König, der Königin und den Königskindern überlassen. Diese, uns schon bekannte, bei Schepeya zum ersten Male getroffene Lösung, kommt bei Nivardus chronologisch am frühesten vor. — Der Fuchs befriedigt sich mit einem bei Seite liegen gebliebenen Beine: der Schein einer Theilung ist gewahrt.

Das Interesse dieser Bearbeitung wird noch dadurch gesteigert, dass — dem Herausgeber des Gedichtes F. J. Mone zufolge — historische Anspielungen darin beabsichtigt wurden. Der Löwe würde dann den Kaiser Ludwig das Kind darstellen; seinen Halbbruder, Zwentibold, Arnulf's illegitimen Sohn, hätten wir unter Isengrim zu verstehen; Lothringen wäre die Kuh und die dem Zwentibold feindlich gesinnten Lehnherren Lothringens wären in Reinardus Gestalt personifiziert. Wenn also der Löwe mit den Worten „rex docte" angeredet wird, so beziehen sich dieselben auf die bekannte Thatsache, dass Ludwig vom Mainzer Erzbischof Hatto gelehrten Unterricht genoss; die kühne Frage des Fuchses:

anne tibi externo potius, rex docte, favere
quam consanguineo debuit atque sibi?

wird andererseits dadurch erklärt, dass Lothringens Herrscher, Zwentibold, als freier, vom kaiserlichen Bruder unabhängiger Fürst sein Land verwaltete.

Im Roman de Renart finden wir den Löwenantheilstoff in der XVI. Branche behandelt.[1]) Dieselbe enthält zwei Episoden, deren zweite — vom V. 721 au — unserem Thema gewidmet ist. Es ist eine breite und ungeschickte Bearbeitung, unnöthig in die Länge gezogen, durch eine Fülle zweckloser Details gekennzeichnet. Redselig und ohne Absicht umherirrend, so erscheint uns der Verfasser dieser Branche, Pierre de S. Cloud, den Prof. E. Martin mit dem im J. 1209 zum Tode verurtheilten und schliesslich in ein Kloster

---

[1]) Sieh die Ausgabe von Prof. E. Martin.

flüchtenden Ketzer, Petrus de Sancto Clodovaldo für eine Person hält.[1])

Der Inhalt seiner überschwänglichen Erzählung ist in Kürze folgender.

Renart geht auf die Jagd, um für sich und seine Kranke Frau Nahrung zu suchen, und trifft Noble und Isengrim unterwegs. Vom Könige aufgefordert sie zu begleiten, giebt er zur Antwort, er wage es nicht wegen des ihm übelgesinnten Wolfes. Dem König gelingt es jedoch, den Frieden zwischen den beiden alten Feinden zu stiften, worauf sich alle drei in Gemeinschaft auf die Jagd begeben. Renart führt zu einem Thale, wo sich Rindvieh zu befinden pflegt; sobald ihnen ein Stier, eine Kuh und ein Kalb erscheint, wird der Fuchs abgesandt, um die Beute zu erjagen. Das dauert nun sehr lange. Vor allem muss der Bauer getödtet werden, welcher die Thiere hütet. Die Art und Weise wie das geschieht lässt sich kaum wiedererzählen: Prof. Martin nennt den Vorgang „absurd“ und mit „abstossenden Details“ ausgestattet. Uns genügt es, dass der Hirt endlich den Steinen unterliegt, die ihm, dem ins Wasser gestossenen und ertrinkenden der Fuchs nachwirft. Inzwischen wird von Isengrim die lange Abwesenheit Renart's sehr übel gedeutet und der König würde diesen wohl in Ungnade fallen lassen, wenn ihn die Leiche des Bauers mit dem schlauen Diener nicht versöhnte. Wie das Rindvieh der Uebermacht erliegt, wird nicht erzählt; man geht sogleich zur Theilung der Beute über und zwar wird der Wolf zum Vollzug derselben bestimmt. Im Stillen schwört er, dem Urfeinde, dem bösen Renart kein Stückchen der Beute übrig zu lassen. Sein Ausspruch lautet auch folgendermassen:

„Sire“ fet il „se diex me gart
Le mietz si est que je i voie
Que vous de ceste bele proie
Reteigniez a vostre oes cest tor
Et celle genicete encor:

---

[1]) Observations sur le Roman de Renart ..... par Ernest Martin. Strasbourg et Paris, 1887, S. 84.

Quar a ma dame l'Orgueilleuse
Sera bonne et savoureuse,
Quar elle est bonne, crasse et tendre.
Et ge qui ne veil pas tout prendre
Si avrai sanz plus cel veel.
Et cil garz roux de pute pel
Si n'a mes de viande cure,
Si aut ailleurs querre pasture!"

Doch befriedigt diese Theilung den Löwen noch nicht: im Zorn verwundet er den Wolf und lässt dann den Fuchs theilen. Dessen Ausrede, der König möge sich nehmen was er wolle, und ihnen das übrige überlassen, wird nicht angenommen: Alles soll wohl dem Löwen von Rechts wegen zuerkannt werden. Renart verkündet auch sein Urtheil in dieser Weise: dem Löwen, der Löwin und den Kleinen fallen Stier, Kuh und Kalb zu. Wolf und Fuchs mögen Beute suchen, wo sie wollen.

Auf die alte Frage, woher denn der Fuchs so klug sei, folgt die stereotyp gewordene Antwort, der Wolf sei sein Lehrer:

„Sire" fet il „par sainte Luce
Cel vilain a la rouge aumuce.
Le n'en oi onques autre mestre
Ne sai s'il est ou clerc ou prestre
Qui si porte rouge couronne,
Mes bien semble haute personne,
Qui soit ou pape ou cardinax."

Die Bearbeitung unseres Themas, welche wir im zehnten Buche (V. 352—402) von Goethe's „Reineke Fuchs" treffen, beruht bekanntlich auf einem niederdeutschen Gedichte „Reinke de Voss", das sich wiederum an den niederländischen „Reinaert" anlehnt und mit dem Namen Hinrik's van Alkmer verbunden ist. Die im Jahre 1752 von Gottsched herausgegebene, mit einem Abdruck des Originaltextes versehene Uebersetzung des niederdeutschen Werkes diente Goethe als

Vorlage.[1]) Er hielt sich an dieselbe so genau, dass der Herausgeber seines Gedichts, F. Strehlke alle die geringen Abweichungen in einigen, unten auf der Seite gestellten Zeilen, angeben konnte.[2])

Die Darstellung — ob wir nun das niederdeutsche oder das Goethe'sche Gedicht in Erwägung ziehen — könnte nach dem Vorbilde des Ausdruckes „Ich-Novelle“ als „Ich-Fabel“ bezeichnet werden. Eine der handelnden Personen ist es, die über die Theilung erzählt. Der zum Tode verurtheilte Fuchs glaubt noch versuchen zu dürfen, ob er sich nicht frei machen könne. Darum fängt er schlauer Weise die Verdienste seines Vaters nicht die eignen zu rühmen an: es soll nicht scheinen, eine Vertheidigungsrede sei beabsichtigt. Erst auf die Bemerkung des Königs, jene für Reinekes Vater so ruhmreiche Ereignisse müssten sich schon vor sehr langer Zeit abgespielt haben, erinnert der Fuchs den Löwen an eine für ihn so vortheilhafte Theilung.

Die Hauptneuerung unserer Versionen besteht darin, dass zweimal gejagt wird. Zuerst wird dem Wolfe und dem Fuchse ein Schwein zur Beute: der Löwe der ihnen begegnet fordert, wie bei Abstemius, einen Theil für sich und seine Frau. Der zur Theilung bestimmte Wolf giebt dem königlichen Ehepaar eine Hälfte und behält für sich die andere und reicht dem armen Reineke

ausser den Ohren
Nur die Nase noch hin und eine Hälfte der Lunge.[3])

Dem Herrscherpaar genügen ihre Antheile nicht, doch bietet ihnen der Wolf von seinem Stücke nichts an, so dass ihn endlich Nobel am Kopfe verletzt. Und trotzdem muss er noch ein mal auf die Jagd gehen, wo es ihm und dem Fuchs gelingt, ein Kalb zu fangen. Reineke soll es theilen.

---

[1]) Hinricks van Alckmar, Reynke de Voss. Leipzig u. Amsterdam, 1752. Vergl. III Buch, Das dreyzehnte Hauptstück S. 272 ff. (Originaltext, S. 66 ff.)

[2]) Goethe's Werke (Hempel'sche Ausgabe) V. Theil, herausg. v. F. Strehlhe.

[3]) Goetke.

Da sprach ich: Die Hälfte gehöret schon euer
Und die Hälfte gehört der Königin; was sich im Leibe
Findet, als Herz und Leber und Lunge, gehöret, wie billig,
Euren Kindern; ich nehme die Füsse, die lieb' ich zu nagen
Und das Haupt behalte der Wolf, die köstliche Speise.[1])

Der Gedanke die guten Bissen von den schlechten bei der Theilung zu scheiden, scheint ein sehr natürlicher zu sein und doch haben wir kein einziges Mal bis jetzt diesen Umstand ausgebeutet gesehen. Einmal in einer Romulushandschrift hatten wir nur bemerkt, dass der Löwe auf den Kopf des Hirsches Ansprüche erhebt, weil ihm, dem König, der edelste Theil zukomme. Wie über denselben Goethe's Fuchs denkt, haben wir gesehen.

Nachdem, am Schlusse der Fabel der rothe Kopf erwähnt wurde, giebt der Fuchs gleichsam die Definition des Löwenantheils verbunden mit dem Versprechen, sich immer an die dabei obwaltenden Regeln zu halten:

Ich bemerkte genau, wie er heut frühe das Ferkel
Theilte, da lernt' ich den Sinn von solcher Theilung begreifen;
Kalb oder Schwein, ich find' es nun leicht und werde nicht fehlen.

Nach dieser ausführlichen Uebersicht, bedarf es wohl der Erklärung nicht mehr, warum wir — Mall's Vorbilde folgend — die Fabeln unserer zwei Hauptversionen als einen einzigen Stoff behandelt haben. Die Einwendung, es fänden sich zwei Fabeln, den zwei Hauptversionen angehörend, oft in derselben Sammlung, dürfen wir als unmaassgeblich nicht gelten lassen.

Bei Marie de France und in den vier mit ihr verwandten Sammlungen treffen wir ja zwei Bearbeitungen derselben Hauptversion; Pierre Defrasnay hat den Löwenantheilstoff drei mal bearbeitet: und wer wird doch die Fabeln der

---

[1]) ibid.

Marie als von einander nicht abhängige, fremde Versionen ansehen? Alles was, nach der von uns gegebenen kurzen Darstellung des Löwenantheilstoffes, hinein passte, glauben wir nicht übergehen zu dürfen, auch, wenn, wie bei Majkow und Deržawin, ein Bär die Stelle des Löwen einnimmt und auf ganz andere Weise seine Gesellen beraubt. Die de iure halb legale, de facto vollständig ungerechte Theilung der gemeinsamen Beute, schien uns immer den Kern des Stoffes zu bilden.

Vita.

Constantinus Górski natus sum a. d. VII Id. Iun. anno h. s. LXII. Volae, qui Regni Poloniae vicus, cognomine Pękoszewska appellatus, prope Varsaviam situs est, patre Ioanne, matre Maria e gente comitum Łubieński, quos ambos etiamnunc vivere vehementer gaudeo. Fidem profiteor catholicam. In Varsaviae gymnasio IV. classico quod dicunt litterarum rudimentis eruditus, Cracoviam demigravi ubi in primam classem superiorem gymnasii Sanctae Annae receptus sum. Aestate anni 1881 maturitatis tesimonio instructus, ad almam matrem Jagellonensem accessi, ubi per quattuor semestria iuris et philosophiae studio operam dedi. Autumno a. 1883. Berolinum migravi civibusque universitatis huius Fridericae Guilelmae adscriptus, per octo semestria scholis philosophicis et historiae interfui. Docuerunt me viri doctissimi: Cracoviae: Bobrzyński, Girtler, Heyzmann, Kasparek, Kruczkiewicz, Mycielski, Pawlicki, Sokołowski, Smolka, Straszewski, Szujski, Tarnowski, Zoll — Berolini: Brückner, Curtius, Deussen, Diels, Frey, Geiger, Grimm, Maass, Paulsen, Tobler, Scherer, Vahlen.

Horum omnium virorum memoriam pio gratoque semper animo colam: imprimis autem Hermano Grimmio et Adolpho Tobler nec non Stanislao comiti à Tarnów Stephano que Pawlicki, qui singulari benevolentia studia mea adiuvabant, gratias ago candidissimas.

Thesen.

1) In den Worten des Molière'schen Don Juans (Act III, Scene II): „pour l'amour de l'humanité“ ist „humanité“ als „Menschenliebe“, nicht als „Menschheit“ zu deuten.

2) Die in Dresden befindliche, Holbeins Namen tragende Madonna, ist eine vom Meister selbst oder unter seiner Aufsicht hergestellte Copie.

3) Słowacki's „Anhelli“ ist vor der Bekanntschaft mit Krasiński entstanden.

Druck von G. Zahn & H. Baendel, Kirchhain N.-L.



Z powodu nowego jubileuszu
Danta
1300

Z powodu nowego jubileuszu Danta.

Rok ubiegły, ostatni w XIX stuleciu, był zewszechmiar jubileuszowym. Przyniósł nam wielki odpust w Rzymie, hołd dla pięciu wieków Wszechnicy Jagiellońskiej, święto Henryka Sienkiewicza.

Mało kto o tem pamiętał, że w dniu 25 marca 1900 roku upłynęło sześćset lat od chwili, w której Dante Alighieri rozpoczął swą idealną wędrówkę po świecie zagrobowym. W dzisiejszym stanie umysłów ta podróż jest dla ludzkości ważniejsza od wielu wypraw w świat rzeczywisty, do północnego czy południowego bieguna.

W Krakowie znalazł się wielki niemiecki uczony, który sobie przypomniał wiekopomną datę i polskich swoich przyjaciół zawezwał do jej obchodu. Święcimy aż do znużenia dni urodzin i zgonu zasłużonych mężów, jubileusze chwil przypadkowych i marnych. Profesor Wilhelm Creiwenach wpadł na myśl niezwykłą i niezwykle piękną: — postanowił uczcić nie historyczne, po tysiąc razy sprawdzane, ziemskie wydarzenia, ale poprostu — rocznicę wymarzonej podróży, idealnych urodzin poematu.



Lwów przejął się niebawem podobną myślą. Ale co Wilhelma Creiwenacha musiało radośnie zadziwiać, to fakt, że w parę miesięcy po skromnym krakowskim obchodzie przysłano mu do Galicyi urzędowy okólnik włoskiego ministerstwa oświaty, nakazujący święcić po szkołach Italii dzień 25 marca 1900 r.

Niech będzie wolno uczestnikowi owego cichego krakowskiego obchodu wznowić dziś pamięć florenckiego wieszcza i przy tej sposobności wspomnieć raz jeszcze znakomitego polskiego tłómacza „Komedyi". P. Edward Porębowicz ogłosił do tej pory „Piekło" i „Czyściec" [1]. Na część trzecią, na „Raj", poczekamy, jak słyszę, bardzo długo, lat parę. Pozwolę sobie jednak pomówić już dzisiaj o przekładzie, o tłómaczeniach wogóle, a wreszcie o samym poecie.

Wspominając w przedmowie o swoich, pełnych zasługi poprzednikach, mówi p. Porębowicz, że „okazał-by brak pietyzmu, gdyby nie uszanował" ich, „i nie wymienił Korsaka, Stanisławskiego, Faleńskiego". „Na dwu pierwszych patrzy z podziwem i zazdrością, gdyż dane im było dokonać dzieła". Życzmy i jemu, i sobie, aby się wkrótce pozbył powodu do zazdrości.

I.

Nie tylko literackie, ale i proste, zwykłe człowiecze sumienie nakazuje przyjmować życzliwie każdą próbę tłómaczenia dzieł obcych na język nasz wykwintny i bogaty. Mówię oczywiście o przekładach dzieł znaczących, podniosłych, dzieł, w których świat uznaje i obraz, i wytwór wielkich epok, wielkich społeczeństw, w których z drugiej strony widzi pieśni lub myśli głębokie, ludów nauczycielki. Nie dość podziwiać prace tak blizkie doskonałości, jak „Piekło" lub „Czyściec", spolszczenia Porębowicza, należy uznać wszelkie nawet mniej szczęśliwe usiłowania na tem polu. Nie zniechęcajmy naszych tłómaczów, działalność ich jest bowiem i pożyteczna dla nas, i dla nich uciążliwa. Przekładanie poetów jest połączone z olbrzymią trudnością, którą ten tylko oceni, kto się z nią sam borykał, kto wie, jak wiersze się rodzą. Szczęśliwi, trzykroć szczęśliwi samodzielni poeci. Do-

---

[1] Warszawa, Gebethner i Wolff.

póki trwa gorączkowy nastrój, słyszą oni w sobie, dokoła siebie rytmy, odgłosy, śpiewne słowa. Najmniejsza izdebka staje się dla nich całym, olbrzymim światem, rozbrzmiewa melodyą, jak pudło skrzypiec starych a ogranych. Ze wszystkich ścian, ze wszystkich kątów płynie śpiew donośny. Poeta nie zastanawia się nad jakością muzyki, ale nadstawia uszu, chwyta tony w przelocie, słucha i pisze, niemal stenografuje. Inna rzecz z biednym tłómaczem: on musi być natchniony, jak twórca, a zarazem chłodny, jak filolog. Jemu nie wolno zatonąć w śpiewie, dojść do zapamiętania. Ma przed sobą tekst oryginału, nie spuszcza go z oka. Co poeta w rodzimej mowie powiedział snadnie, jakby od niechcenia, to trzeba dziś, nie bez mozołu, wyrazić w innem narzeczu, obcem naturze, istocie arcydzieła. Każdy język jest ściśle związany z duszą narodu, urobiony na jej obraz i podobieństwo. A nadto wielcy pisarze zwykli po swojemu ubarwiać ojczystą mowę, którą pomnażają. Tak pod Moguncyą, gdzie wpada Men do wielkiej, zielonej, złotem bajecznych skarbów zawsze lśniącej rzeki, widzi się długo w jej korycie odmienne, ciemne smugi wody przypływu.

Tłómacz musi o tem wszystkiem pamiętać, musi dochować wiary i własnemu językowi, i obcej mowie, w której dzieło powstało. Musi się wmyśleć w indywidualizm pierwotwórcy, przejąć jego styl i naturę, a jednak nie może się okazać nieosobistym lub bezbarwnym. Żądamy od niego, aby był równocześnie cudzoziemcem i swojskim, by przestał być sobą a pozostał szczerym. Doprawdy, jeżeli się jest przypadkiem poetą, łatwiej napisać wykwintny sonet, który raz umiłowana kobieta, raz noc pogodna nasunie, łatwiej, niż w dobrym wierszu, w mowie wyrazistej, a prostej, oddać monolog Fausta, albo przedśmiertne skargi Antygony.

A jednak potrzeba nam tłómaczów, potrzeba ludzi, mających tyle stałej, wiernej miłości dla Homera, Szekspira, Goethego, aby umieli, w pocie czoła, oddawać ogólny nastrój „Iliady“, „Romea“, „Ifigenii w Tauris“, a przytem jak najmniej drobnych piękności uronić. „Drobne piękności“ arcydzieł przewyższają zazwyczaj swą poezyą efektowne głośne ustępy drugorzędnych pisarzy. Kto nie dba o szczegół, o odcień znamienny, niechaj się nie miesza do spraw artystycznych. Bez delikatnych odcieni niemasz dzieł wiekopomnych. I dobry przekład bez nich istnieć nie może.

Od ilości zaś i natury przekładów zależy w każdym narodzie wysokość literackiego i cywilizacyjnego poziomu, szerokość umysłowego widnokręgu. Społeczeństwu nie może to wystarczać, że kilkudziesięciu wykształconych ludzi czyta w oryginale tego lub owego cudzoziemskiego poetę. Ściśle rzeczy biorąc, dopóki się nie doczekał

wzorowego przekładu, nie istnieje on dla obcego kraju. Jest gościem, jest przechodniem, nie ma indygenatu. Przetłómaczmy go zaś, przetłómaczmy starannie a z zapałem, od razu stanie się naszym. Niemcy odtworzyli w swej mowie Szekspira tak pięknie, że angielski dramaturg zamieszkał u nich, zasiadł u ich ognisk domowych. W pewnym zakątku polskiej ziemi, pod Tatrami, objawiło się coś podobnego. Górale w Zakopanem rozmiłowali się w Homerze. Kiedy im czytano „Odyssee“, słuchali pilnie starogreckiej epopei, niby baśni ciekawej a rodzimej. Jest ta zasługa Lucyana Siemieńskiego.

Pytam, dlaczego ogół społeczeństwa nie ma się wznieść do poziomu tych kilkudziesięciu górali, ma być od nich uboższy? Dla czego to, co jest chlubą i siłą obcych narodów, nie ma się także stać naszą zupełną własnością? Mamyż trwać w ciasnem kole własnej umysłowej twórczości, narażając się na zwyrodnienie, jak te podupadłe arystokratyczne rody, których członkowie żenią się między sobą? Ukazują się wprawdzie u nas przekłady belletrystyczne dzieł obcych, zazwyczaj barbarzyńskie pod względem języka. Są to jednak przeważnie tłómaczenia francuskich kryminalnych, lub pustych salonowych, albo nareszcie skandalicznych powieści. Literatura nie ma z niemi nic wspólnego. To nie jest sztuka, to zdrowia nie daje.

Od niejakiego czasu dbamy zwłaszcza o to, aby dzieła naszych poetów rozchodziły się w dobrych przekładach po świecie. Uczucie, które nami kieruje, jest zupełnie słuszne i szlachetne. Słuszne, bo nasza poezya XIX stulecia należy niewątpliwie do najwspanialszych, najpodnioślejszych ujawnień ludzkiej duszy. Szlachetne, bo chcemy obcym nowe źródło otworzyć. Rozumiem ten kierunek, ale go w zupełności nie podzielam. Dobry polski przekład obcego utworu cieszy mię więcej, niż najudatniejsza niemiecka, francuska, angielska wersya polskiego poematu, albo Sienkiewiczowskiej powieści. Jestem tu—mówię otwarcie—jestem praktycznym egoistą. Bo kiedy naprzykład p. Justus Lipiner obdarza Niemców znakomitym przekładem „Pana Tadeusza“, kogo on wzbogaca? Czy nas, czy ludzi mieszkających nad Renem, Dunajem i Szprewą? A jeżeli im hakatyzm nie pozwala korzystać ze wspaniałego daru, kto na tem źle wychodzi, czy oni, czy może Mickiewicz? Oślepli cierpią nad tem, że światła nie widzą; o ile wiem, nie skarżyło się dotąd słońce, księżyc nigdy nie biadał, złote oczy gwiazd nie zachodziły łzami z powodu biednych ludzi niewidowych, którzy ich blasków nie znają. My nie będziemy ciemni, w imię plemiennej ślepej nienawiści, nie porzucimy słońc, miesiąców, planet i gwiazd germańskiego firmamentu: ani Goethego, ani Lessinga, Heinego lub Lenaua. Owszem, będziemy wyczekiwać tego poety, który nam da wierny, dobry, piękny przekład „Fausta“ i tą

książką powiększy duchowy nasz kapitał, żelazny fundusz naszej umysłowości.

I jeszcze pytanie. Dla czego dzisiejsi Francuzi są tak odporni wobec zakrajowej poezyi? Dla czego nie są zdolni odczuć innej, tylko tę ich jedyną, wyhodowaną sztucznie, jak ryba w lodzie zamrożoną w akademickiej mowie? Może dla tego, że od bardzo dawna nie mieli dobrych tłómaczeń. Dzisiaj już nie pora. Język zesztywniał zatracił wszelkie ślady żywej, zmiennej rytmiki. Wiersz skrępowano formułami może na zawsze. Któż wobec takich warunków zdobędzie się na oddanie charakterystycznej formy pierwowzoru, formy zrosłej z treścią razem, z nią urodzonej, formy, którą gardzą tylko ci, którzy o treść nie dbają? Proszę sobie wyobrazić „Odę do młodości“ albo „Słowiczku mój a leć a piej“ w przekładzie nierytmicznym! A Francuzi znają dziś całą poezyę świata od Homera do Heinego w prozaicznej wersyi. Niemcy są o wiele szczęśliwsi, posiadają prawie wszystkie wybitne poematy w tłómaczeniach, które się zazwyczaj zbliżają do piękności oryginału, a czasem mogą go zastąpić. Taki Alfred Musset, Wiktor Hugo, taka Ada Negri albo Carducci posiadają swą drugą, germańską, prawie równoważną wersyę. Umieć po niemiecku, jest to mieć wstęp do wszystkich narodowych piśmienniczych świątyń i kapliczek. Pamiętam, że bawiąc niegdyś w Berlinie, zatęskniłem nagle do książki, pełnej polskich wierszy. Każdemu człowiekowi zachciewa się chwilami czegoś, czegoś bardzo trudnego do uzyskania. Jednemu tomiku swojskiej poezyi, innemu obecności swojskiej osoby. Podróżny mój tłomok nie zawierał, ani dzieł Słowackiego, ani Mickiewicza. Berlińscy przyjaciele przynieśli mi jednak przekłady. Otworzyłem je i czytałem z radością. P. Lipiner sprawił mi dziwną, czarowną rozkosz: odnalazłem w jego niemczyźnie szlachecki nastrój „Pana Tedeusza“, p. Artur Berson zastąpił mi oryginalny tekst „Mazepy“ [1], a pozwolił mi ponownie odczuć całą grozę „Ojca Zadżumionych“. Rytm tych niemieckich przekładów nie zawsze jest identyczny z wierszem pierwowzoru, ale potrafi oddać jego charakter, jego prostotę lub wykwintność.

Pod względem bogactwa prozodyi, pod względem zdolności oddania obcych naszemu społeczeństwu rytmów, a co za tem idzie, i poczuć, stoimy na pół drogi między Francyą a Niemcami. Wprawdzie żaden Malherbe nie wcisnął polskiego wiersza w ciasne, drobiazgowe

---

[1] Pan Artur Berson przełożył mistrzowsko dwie tragedye Słowackiego. Drukowane jako rękopis, nie dostały się one do księgarń i są, niestety, dostępne tylko szczupłemu kółku czytających, znajomych tłómacza.

szranki, lecz mimo to nie da się zaprzeczyć, iż nasza rytmika jest bardzo uboga, o wiele niedołężniejsza niż u innych plemion słowiańskich. Wiekuisty akcent na przedostatniej zgłosce obniża nas prawie do poziomu metryki Francuzów, nie pozwala na wiersz nierymowany. Szczęśliwe próby pisania u nas taką mową są nieliczne, są wprost ogromnie rzadkie. Jeden Słowacki, a po nim jeden Asnyk mogli się na to odważyć. Słyszymy nieraz o „białych wierszach,“ których nasi narodowi dramaturgowie zwykli używać w historycznych tragedyach. Co się mnie tyczy, muszę wyznać, że te tak zwane „białe wiersze“, są dla mnie zazwyczaj albo bezbarwne, albo szare.

Mimo te językowe i metryczne trudności, od Jana Kochanowskiego, t. j. od poety pierwszego datą i pierwszorzędnego uzdolnieniem, aż do dni naszych ciągnie się prawie nieprzerwany pochód wybornych tłómaczy. Jeżeli nie posiadamy całokształtu literatury wszechświatowej we wzorowych spolszczeniach, można już było—jak tego pp. Piotr Chmielowski i Edward Grabowski dowiedli—ogłosić wcale pokaźną antologię obcych pisarzy, wybierając szczęśliwsze stronice z kompletnych tłómaczeń i uwzględniając starannie fragmentaryczne przekłady.

II.

Wielcy nasi poeci XIX stulecia byli dobrze obyci z Dantem. Mickiewicz tłómaczył z niego ustępy. W pismach Słowackiego, a zwłaszcza Krasińskiego, jest pełno reminiscencyi, pełno alluzyi. Czytanie „Comedii“ wpłynęło najwyraźniej na ich twórcze pomysły. Świadczą o tem same nazwiska wprowadzonych osób, „Dantyszek“ lub „Aligier“. Wszyscy trzej poeci znali pierwowzór poematu. Natomiast nie można mówić o bezpośrednim wpływie „xięcia ponurych wieszczów“ [1]) na ogół naszego społeczeństwa. Nic w tem dziwnego, skoro do niedawna nie znajdował tłómacza. Było-by rzeczą nader ciekawą zbadać, którzy polscy pisarze od Danta dni do dni naszych

---

[1]) Tak nazywa go Słowacki w przypiskach do „Poema Piotra Dantyszka“, Paryż, 1839, str. 99.

wiedzieli o florenckim poecie, i jak go sądzili. Jan Długosz był zapewne pierwszym, który o nim mówił pod rokiem 1321; pomiędzy wspomnieniem litewskiego napadu na Dobrzyń a wzmianką o zaćmieniu słońca pisze on co następuje: „Dante Alighieri, wieszcz rodem z Florencyi, umarł w Rawennie, na wygnaniu, w pięćdziesiątym szóstym roku swego wieku. Ten znakomitem dziełem swojem, w ojczystej mowie włoskiej wydanem, gdzie przedziwnie opisuje sfery niebieskie, przybytki piekła i czyśca, wprowadzając do nich osoby cnotliwe i występne, wielce wsławił się u Włochów" [1]). W XVI wieku Andrzej Trzycieski porównał Mikołaja Reja do Danta: śmiałe porównanie! Po dwóch stuleciach Krasicki wspomina dwukrotnie włoskiego poetę, raz w zbiorze potrzebniejszych wiadomości", gdzie pisze: „Jego xięga, la Divina Commedia, oznacza człowieka imaginacyi nadzwyczayney i przemysłu bogatego"; drugim razem w dziele „o Rymotworstwie". Tu zajmuje się nim stosunkowo obszernie, tłómaczy ustęp, cytuje kilka wierszy w oryginale. „Wiele dzieł rytmem pisał—mówi dalej Krasicki—najsławniejsze to, któremu mniej przyzwoity dał tytuł komedyi, a następcy, zbyt uprzedzeni, ubóstwiali ją, nazywając „la Divina Commedia". Opisuje w tem dziele piekło, czyściec, niebo; a że innego sposobu, ani zemszczenia się, ani zawdzięczenia nad swój rymotworski nie miał, nieprzyjaciół w piekle osadził, a tym, którym był wdzięczen, dał w nagrodę królestwo niebieskie". Czyż to nie cenne zdanie? Wszakże to okno otwarte na cały wiek XVIII! Krasicki oczywiście nie wie, że w epoce Danta wyraz „komedya" mógł nie mieć żadnego związku z literaturą sceniczną, żadnego humorystycznego odcienia. Każdy poemat, zakończony nieszczęściem, mógł się zwać tragedyą, każdy utwór, epiczny czy dramatyczny, byle rozwiązanie było radośne, miał prawo do tytułu komedyi. Swoją drogą należy podnieść erudycyę arcybiskupa: nie jest mu tajnem, że sam Dante swego dzieła „boskiem" nigdy nie nazwał, a dalej zwraca on uwagę na wzmiankę o czterech gwiazdach, widzianych tylko na południowej półkuli, a więc w roku 1300 nieznanych [2]). Druga część krytycznego sądu jest w każdym razie niezmiernie ciekawa. W Krasickim żyją jeszcze tradycye humanizmu, a przytem biskup jest zupełnym synem wieku „oświecenia", epoki, w której również nie brakło pochlebstw i pamfletów. Widzi więc w Dantem

[1]) Przekład Karola Mecherzyńskiego.

[2]) Czyściec, pieśń I, w. 22—27. Te gwiazdy zajmują do dziś dnia komentatorów poety.

człowieka, który na wzór Aretina lub Voltaire'a, pisze głównie dlatego, by ludziom kadzić, albo ich szkalować.

W XIX stuleciu Alighieri znajduje u nas szereg tłómaczów, z których dotychczas tylko dwóch, już nazwanych, obdarzyło nas przekładem całej „komedyi". Obydwaj ogłosili swe księgi dopiero w drugiej połowie tego wieku, Julian Korsak w 1860 roku, Antoni Stanisławski w dziesięć lat po nim. Pierwszy nie umiał sobie dać rady z tercyną, poświęcił ją z góry, a mimo to walczy nieustannie z mową wiązaną, z rymem, czasem nawet rozwleka tekst jędrny i prosty. Drugi, mąż wielkiej wiedzy i zasługi, pełen pietyzmu dla pierwowzoru, nie kusi się już o rym, tłómaczy wierszem jedenastozgłoskowym, tym razem naprawdę „białym", bo jest w istocie szlachetny i podniosły. Ojciec malarza, Jana Stanisławskiego, subtelnego kolorysty i profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, jest, jeżeli się tak wolno wyrazić, przedewszystkiem rysownikiem, uwzględnia zwłaszcza linię, kontur, myśl przewodnią. Tłómaczy nadzwyczaj wiernie, poważnie i jasno. Zmarły profesor charkowskiego uniwersytetu uczynił dla nas mniej więcej to samo, co niegdyś dla Niemców Philalethes, pobożny król Jan saski. Felicyan Faleński dał nam wreszcie znakomite urywki, niestety tylko urywki Komedyi, w których pięknie, szczęśliwie walczył z trudnościami tercyny.

Trudności te koniecznie zwalczyć należało, chcąc spolszczonemu Dantowi nadać jak najwięcej i najwłaściwszego blasku. Musi on nas naprzód olśnić formą, ukołysać wierszem, a potem dopiero z podwójną rozkoszą będziemy w nim odkrywać malarza zewnętrznego świata, uczonego myśliciela.

III.

Przez cały przeciąg czasu, który poświęciłem na czytanie i odczytanie przekładu p. Porębowicza, chodziła mi po głowie, chodziła uporczywie jedna myśl, a mianowicie, że prawie niezależnie od stopnia artystycznej doniosłości, istnieją, bądź co bądź, dwie odrębne rodziny poetów, albo, mówiąc dokładniej, dwie kategorye poematów: jedne z nich są lekkie, drugie ważkie. To nie jest czysto filisterska uwaga. Temat naprzykład nie stanowi dla mnie różnicy, bo pieśni, śpiewane przez pielgrzymów, idących do Kalwaryi albo na Jasną Górę, prawią

o tem samem, co Boska Komedya, o piekle, czyścu i raju, a Dante nie dla tego jest wielki, że wielkich spraw dotyka. I przewodnia etyczna myśl nie jest decydującym momentem. Każdy organista, autor kościelnego hymnu, może do niego odnieść słowa, które twórca „Komedyi“ o niej napisał: „celem całości i poszczególnych części jest wywieść żyjących doczesnem życiem ze stanu nędzy a przywieść do stanu szczęśliwości.“ I znowu Dante nie dla tego jest wielki, że gna go demon potężny a szlachetny. Wielkim jest przeto, że nagromadził w duszy tyle żalu i kochania, tyle szamotań i nienawiści, tyle nadziei i rozpaczy, tyle rozlicznych, wybuchowych, zdolnych całą ziemią wstrząsnąć elementów, iż nie tylko eksplozya ich była konieczną, naturalną, ale poeta mógł, jak wulkan, przez długie lata, przez całą drugą gorszą połowę ludzkiego żywota, wybuchać zabójczym dymem albo jaśnością i blaskiem ożywczego płomienia.

Pisze to pilny czytelnik, wielki wielbiciel poetów-impresyonistów, a zwłaszcza tego biednego Pawła Verlaine'a, który taką świeżość i melodyę wprowadza do retorycznej poezyi Francuzów. Najpiękniejsze liryki niedawno zmarłego autora „Sagesse“ są tylko misternem odbiciem przelotnej chwili i za to właśnie je lubię. Te dziwne pieśni bywają podobne do tchnienia wiatru, którego skrzydła uwilgły nad nurtem cichym strumienia, otarły się o pełne róże, o kwiat puszysty, różany kwiat jabłoni. Wszakżeśmy wszyscy ulegli tęczowym urokom księżycowej nocy, tak jasnej i tak uroczystej, że nieme wierzby zdają się budzić z martwoty, szeptać półgłosem i podzwaniać. I wszakże wszyscy, ilu nas jest, znamy radosne uczucie, które w każdym człowieku rozbudza widok bujnego drzewa, rosnącego swobodnię w niebiosa błękitne i przejrzyste: i my rośniemy z drzewem. Dziękujmy więc Verlaine'owi, że tak subtelne poczucie pochwycił i zapisał [1]), przestańmy już powtarzać, że poetyczny impresyonizm jest dziwactwem i modą, lecz z drugiej strony pamiętajmy, że aby takie „wrażeniowe“ wiersze powstały, nie trzeba na to ze strony poety ni godzin myśli, ni lat zadumy, ni długo kołysanych marzeń, ni walk i zwycięstw serdecznych. Potrzeba tylko chwili spokoju w duszy wrażliwej, zwierciadlanej, potrzeba, o co łatwiej, jasnego miesiąca albo różanych blasków wiosennego poranka. Tym pięknym pieśniom czegoś brak: przeszłości, dłuższego trwania w duszy poety. Nie

---

[1]) Porównaj w tomiku Verlaine'a pod tytułem „La bonne chanson“ wiersz zaczynający się od słów: „La lune blanche luit dans les bois“ oraz w tomiku p. t. „Sagesse“: „Le ciel est par-dessus le toit...“

są one wyrazem całej jego istoty, są wytworem chwilowego nastroju.

Nie tak ma się rzecz z utworami, które nazwałem ważkiemi. Długie skupienie choćby na razie nieuświadomionych wrażeń, oddanie życia na usługi jednej idei choćby nawet szalonej, wewnętrzny przymus zagłębiania się, nurtowania we własnem uczuciu, potrzeba krwawienia ran i odnawiania jasnych widziadeł, zbicie rozstrzelonych myśli w jedną, elektrycznością naładowaną, chmurę—oto jest pierwsza połowa bezwiednego tworzenia dzieł wysokich. Druga staje się nagrodą za ból twórczy, i przybywając, sama uszczęśliwia poetę: przynosi mu jędrność słów, prostotę języka, śpiewność wiersza, dokładność obrazów, wyraźnych jak stary miedzioryt.

Utwór, który tak powstał, wyda się zawsze krótkim, pomimo setek i tysięcy wierszy. A chociażby tylko parę zdań liczył, może posiąść wagę większą od poematów, obfitszych w słowa i w błyskotliwe obrazy. Proszę porównać dwie krótkie pieśni, natchnione ciszą nocy: „La lune blanche luit dans les bois“ Pawła Verlaine'a i Goethego: „Ueber allen Gipfeln ist Ruh.“ Proszę je od czasu do czasu odczytywać, powtarzać sobie wieczorem, dopóki jedna nie zblaknie, nie zwiędnie jak kwiat ucięty, dopóki się druga nie chwyci duszy na zawsze, nie wyrzeźbi w pamięci, jak w drogim onyksie, nie wyiskrzy się czysto, jak konstellacya w noc mroźną. I proszę mi potem powiedzieć, która z tych pieśni posiada większy ciężar gatunkowy?

Gdybym zaś miał w dwóch słowach powiedzieć, co Dantego wyróżnia od wszystkich poetów, „wszystkich mędrców i proroków, których wielbił świat szeroki“, a których „Konrad“ Mickiewicza lekceważy i depce; musiałbym przedewszystkiem podnieść pełnię i wagę. Przy pierwszem czytaniu Dante przemawia do wyobraźni, zaciekawia lub odrazu zachwyca. Później zmuszą do obcowania z sobą—i to sercem a nie tylko pamięcią. Można się do niego dostać z wielu stron: jak do Rzymu, prowadzą ku niemu wszystkie drogi. Sam mówi, że każde dzieło należy rozumieć w sposób czworaki: dosłownie, allegorycznie, moralnie i analogicznie, a to ostatnie, jak nas poeta uczy, „następuje podówczas, jeżeli się pismo w sposób duchowy wykłada.“ Tercyny „Boskiej Komedyi“ nietylko odpowiadają tym czterem równoległym szlakom średniowiecznego myślenia, dziwią także śmiałością polotu, fantazyą równie trwałą, jak dokładną, potęgą mowy. Język jest świeży i śmiały, bo ledwo urodzony, a już wyrazisty, pełen obrazów naiwnych, niewyszukanych, więc silnych. Boccaccia kobiety pokazywały sobie Alighierego na ulicy, szepcąc, że kiedy zechce, schodzi do piekieł, aby zaczerpnąć wieści o potępieńcach, a potem o nich żyjącym opowiadać. Werońskie kumoszki nie były szalone.

Bo ścisły, po florencku ścisły, poeta tak długo, tak wyraźnie widywał w duchu świat doziemski, tak go myślą zbudował, tak często po nim chadzał, że niejednokrotnie kreślono topograficzne karty jego opisów piekła, czyśca, raju [1]).

Ale mistrzowstwo w przedstawieniu widowni nie stanowi jeszcze całej konkretnej piękności Komedyi. Gdyby dzieło przepadło, a zachowały się z niego tylko urywki, niektóre sceny z bieżącego życia, krótkie, a tak trafne porównania, wspaniałe opisy przyrody, Dante musiał by zawsze zająć miejsce wśród największych artystów, wśród najsławniejszych malarzy zewnętrznego świata. Stawiono-by go tuż obok Homera, który okropność walk „Iliady“ przegradza porównaniami, to do następujących po sobie fal morskich, to do dwóch przeciwnych borykających się wichrów, to do wyroju pszczół, to do lotu żórawi. Wieszcz, o którym mówią, że był ślepym, wyrywa nas nagle z krwawej rzezi. Stała wśród łąki wysmukła topola o lśniącej korze; przyszedł kołodziej, ściął drzewo ostrą siekierą, aby je użyć do budowy wozu. Topola runęła, podobna w upadku do rannego, słaniającego się bohatera. Nie inaczej postępuje Dante. Wybieram parę przykładów z „Piekła“ i „Czyśca“, chcąc zarazem dać poznać język i styl p. Porębowicza.

Z jaką wściekłością i z jakiemi szusty,
Zgraja kundysów wypadnie na dziada,
Aż krzyczy łaski, drżąc białemi usty,

Tak tu czerń dyabłów z pod mostu wypada [1]).

Dalej słynny ustęp z „Piekła“, gdzie Dante i Wergili postępują po wysokim wale i widzą spodem:

Dusz grono, ku nam idące z daleka
I wpatrujące się w nas, jak o zmroku,
Na nowiu, człowiek patrzy się w człowieka.

---

[1]) Por. naprzykład „La Materia della Divina Commedia. . dichiarata in VI tavole da Michelangelo Gaetani. Seconda Edizione. Roma, 1872.

[2]) „Piekło“, pieśń XXI.

Tak nam te widma wzrok wlepiły w twarze,
Jak stary krawiec w igłę, gdy nawleka [1]).

W oryginale jest to jeszcze dobitniejsze: „i tak ku nam podnosiły brwi, jak czyni krawiec w obec ucha igły."

W „Czyścu" siedzą pod ścianą zawistni, mając powieki „pośpinane drutem", „gdyż za życia—objaśnia p. Porębowicz—nie mogli poglądać radośnie na szczęście cudze."

Tak wyglądali, jak ślepi kalecy,
Gdy na odpuście w kościelnej zagrodzie
Żebrzą, głowami wsparłszy się, by lecej

Współczucie zbudzić w pobożnym narodzie,
Widząc, że nie mniej, jak skarga, nędzarzy
Widok litością czułe serce bodzie [1])

Oto dziesiątek wierszy, odnoszących się do jubileuszu 1300 r.

spojrzę: nagie dusze
Grzeszników dołem we dwa rzędy biegły;
Wolniejsze ku nam obracały głowy,
Prędsze kierunek brały przeciwległy.

Właśnie Rzymianie w jubileuszowy
Rok, dla mnogości ludu, co się tłoczy,
Na moście sposób przyjęli takowy,

---

[1]) „Piekło", pieśń XV.

Że jedną stroną idą ci, co oczy
Na Zamek mają i ku Bazylice,
A druga fala ku Wzgórzu się tłoczy [1]).

Spojrzyjmy jeszcze na scenę z XXVII pieśni „Czyśca.“

Jak to kóz trzoda szczęśliwa i rada
Dniowi, po skałach żeruje i hasa,
A potem żując, cicho się pokłada

W cieniu, gdzie słońca gorącość przygasa,
Pozostawiona śród tego wywczasu
W straż opartego na lasce juhasa;

Albo jak owczarz, co wewnątrz szałasu
Czuwa patrzący na owieczki swoje,
By nie rozproszył ich zwierz dziki lasu,

Takeśmy byli naówczas my troje...
. . . .

Wąziutki skrawek nieba świtał w górze,
Gwiazd było tędy widać migotanie:
Lsniły niezwykle iskrzące i duże.

---

[1]) „Piekło“, pieśń XVIII. Po moście do dziś dnia istniejącym na Tybrze, idą zatem jedną stroną ci pielgrzymi, którzy dążą do zamku św. Anioła (dawnego Mauzoleum Hadryana) i do odwiecznej Bazyliki św. Piotra. Zastąpił ją kościół uwieńczony kopułą Michała Anioła. Drugą stroną mostu kroczą zaś ci, którzy wracają od Bazyliki. Wyraz „Wzgórze“ oznacza zapewne „Monte Gianicolo“.

Można-by bez końca przytaczać podobne sceny, obrazy, porównania godne wielkiego postrzegacza, śmiałego realisty. Spotykamy nawet szczegóły rubaszne, grubiańskie, niemożliwe do zacytowania. Niechaj to nas ni dziwi, ni odstręcza. Minione wieki zapatrywały się pod tym względem zupełnie inaczej, daleko prościej. Dowodem nie tylko późniejszy średniowieczny teatr, dowodem niektóre rzeźby na gotyckich katedrach.

Dante nie jest bynajmniej pierwszym średniowiecznym pisarzem, który wpadł na pomysł przedstawienia zagrobowego życia. Sam wspomina o pozaziemskiej podróży św. Pawła, znanej z popularnej legendy. Irlandya dostarczyła w XII wieku kilku podobnych opisów, np. „Widzenie Tundalusa", które pod wielu względami przypomina „Komedyę". Włoski mnich, Alberyk z Montecassino, żyjący również w XII stuleciu, zostawił itinerarium po krajach tajemniczych, pośmiertnych [1]). Pierwszy Dante zstępuje do nich z pełną swiadomością poety, artysta w każdym calu. Już Tundalus irlandzki umiał zastosować rodzaj kary do rodzaju występków. Dante jest sroższy, bardziej rafinowany. Nie dość mu, że dręczy ciała. I dusze poddaje torturom. Tak często w XIII wieku występujący fałszywi prorocy, wróżbici, którzy twierdzili, że lepiej od innych widzą przyszłość, że jasna przed nimi leży, chodzą teraz po „Piekle" z głową w tył wykręconą, spoglądając obliczem za siebie, na swoje własne plecy. Widzieliśmy już w „Czyścu" zawistnych o powiekach pospinanych drutem. Największą męką grzeszników są ciągłe głosy, prawiące o współczuciu Maryi Panny, poświęceniu Pyladesa, nauce Chrystusa o miłości dla wrogów.

Poprzednicy Danta znają tylko katalog grzechów, wyraźnie nazwanych i—bezimienną gromadę istot grzesznych. W „Komedyi" występują zaś osobistości, mające prawo do własnego nazwiska, postacie znane z historyi albo mytologii. Średniowiecznym obyczajem doziemski świat chrześciańistwa łączy się ze starożytnym Erebem. Spotykając w beznadziejnych kręgach „Piekła" owych Tytanów, co szturmowali Olimp, lub na tarasach „Czyśca"—Nemroda i Niobe, doznaje się zrazu pewnego zdumienia. W pojęciu florenckiego poety chrześciański Bóg jest poniekąd następcą dawnych bóstw pogańskich. Objąwszy po nich rządy wszechświata, zastał w podziemiach i więzieniach szereg skazańców, z których jedni mają cierpieć przez wie-

---

[1]) Por. A Gaspary, „Geschichte der italienischen Literatur". Tom I str. 303, 304, Berlin, 1885.

ki, a drudzy na wieki wieków... I uszanował poprzednie wyroki. Wszakże go sam Dante zowie „najwyższym Jowiszem."

Mitologiczne postacie nie starczą jednak naszemu poecie. Potrzeba mu figur bardziej znanych, swojskich, żyjących w ogólnej pamięci. Ten moralista jest zarazem i przedewszystkiem poetą. Nie zadowolni się, jak Orcagna, w słynnym późniejszym fresku, szeregiem twarzy słodkich i anielskich. Nie wystarczy mu tłum potępieńców i zbawionych, tłum, strojny w zbroje, korony i tyary, widniejący ponad odrzwiami francuskich katedr z XIII wieku. Jemu chodzi nie o kategorye grzeszników, nie o symboliczne typy, ale o osobniki, mające nazwę, przeszłość, odrębną naturę i charakter. Jak każdy wielki artysta, chce tworzyć indywidualnych, dokładnie określonych, żywych ludzi. Dante nie waha się też wprowadzić do swego dzieła mężów i kobiet współczesnych, osadzać ich w piekle, w czyścu, albo w raju. Wolno przypuścić, że kierowały nim chwilami stronnicze uprzedzenia, przyjaźnie, lub niechęci. Niech to nas nie odstrasza. Gdyby Alighieri nie był sięgnął do krwi i do żółci, był-by pisał, jak my, inkaustem, płynem, który blednie. To pewna, że nawet swym wrogom sprzedawał nieśmiertelność, kosztem oskarżeń i przekleństw, nadał im bowiem odrębną twarz, postać i mowę. Z drugiej strony, chociaż nieraz musiał kogo, jak swego mistrza Brunetto Latini, osadzić w kręgach piekielnych, nie szczędził skazanemu serdecznej litości, a nawet współczucia. Ludzie, przebywający na zawsze poza wrotami, na których „wyrasta napis: tu niema nadziei!", żyją dalej dawnem, ziemskiem życiem, prześladują się nawzajem i, bez metafor, szarpią się i gryzą. I pragną wieści o tem, co się na ziemi dzieje. Pytają, co stało się z ich stronnictwem, z rodziną, pytają, kto teraz we Florencyi górą. Dante udziela im wiadomości, jak rodak, z kraju przybyły, mówiący do wygnańców. Na wieść z górnego świata potępione duchy radują się, lub pogrążają w ostatecznej rozpaczy. Nie są to nikłe cienie, jak w jedenastej księdze „Odyssei"; poeta zabarwił ich lica na zawsze krwią czerwoną. Skazańcy nie zatracili jednego z najpotężniejszych ludzkich pragnień, tej „dzikiej żądzy pośmiertnego żalu", którą Słowacki zwał „smutnem głupstwem ludzi"; a ponieważ są jeszcze żądni rozgłosu, Dante, podobny tem do synów wieku Odrodzenia, pociesza wiekuistych nędzarzy obietnicą, że swoją pieśnią pamięć ich nazwisk utrwali, za nieskończoność cierpień da prawie nieskończoność sławy. A potem, kiedy kroczy ku wysokości, po stopniach czyśccowych, słucha próśb, które zanoszą grzesznicy, próśb, aby doniósł żyjącym, że ten, lub ów mieszkaniec bolesnej góry potrzebuje modlitw za spokój udręczonej duszy. I znowu obiecuje po-

średnictwo, pomoc. „Komedya“, przezwana „Boską“, jest dziełem nawskroś ludzkiem, pełnem najszlachetniejszego humanizmu i humanitaryzmu, współczucia we wszystkiem, czego człowiek może doznać, czy to jest rozpacz bez dna, czy też błogość niebiańska.

Odbiegliśmy daleko od ciasnych wyobrażeń Krasickiego.

My, dzieci historycznego stulecia, posiadamy nietylko obowiązek, ale i możność lepszego zrozumienia „Komedyi“. By się nam jednak stała swojską, przejrzystą i jasną, wymaga od nas nietylko poważnej znajomości dziejów, ale i pewnej intuicyi wobec przeszłości. Wymaga ich silniej, niż każde inne arcydzieło lat ubiegłych, więcej, niż bliższy datą Szekspir i nawet Homer odwieczny. Jest bowiem bardziej uczona, bardziej systematyczna, ogarnia horyzont o niezwykle wielkim promieniu, tkwi cała w duchowem życiu po części niezrozumiałych stuleci. Roi się w niej nadto od alluzyi, historycznych wspomnień, zapomnianych dziś nazw miejscowości i ludzi. Powiedziano o Dantem, że żaden dogmat wiary nie jest mu obcy, ale, prócz teologicznej nauki, wrzucił on do wrącego tygla całą swą przyrodniczą wiedzę, wszystkie życiowe bolesne doświadczenia, subtelne obserwacye psychologa i artysty. W skład materyałów weszło całe średniowiecze ze swoją filozofią i obyczajem, weszły losy pogańskich bóstw, dzieje Greków i Rzymian, historya Włoch, historya Europy po pierwsze lata XIV stulecia.

Gmach stoi, obmyślony aż do ostatniego szczegółu, potężny a misterny. Aby go ocenić, należy się w niego wmyśleć, wpatrzeć, poznać ogrom i głębie fundamentów, siłę budowy, moc ścian i wsporników, i lekkość łuków przerzutnych, i delikatność fiałów, i prawdę postaci rzeźbionych, — barwność witraży, śmiałość wież wysmukłych. Nie jak turysta, zwiedzający katedrę, lecz jak jej stróż i dzwonnik, należy znać drogę po wewnętrznych galeryach, krążących pod olbrzymiemi oknami, albo na zewnątrz wokoło dachów, skąd widok daleki się otwiera. Jeżeli tyle żądamy od czytelnika, czegoż będziemy wymagać od tłómacza? Radujmy się, widząc pośród nas pisarza, który odpowiedział zadaniu, zżyłego z wszelką subtelnością badania, poetę, którego język nasz słucha.

IV.

P. Edward Porębowicz zaczął wcześnie tłómaczyć. W epoce, kiedy młodzi autorzy zwykli zapełniać czasopisma własnemi utworami, on ogłaszał w dziś zapomnianym krakowskim dwutygodniku pierwsze swe próby przekładów, ustępy z Byronowego „Don Juana“. Był podówczas uczniem wszechnicy Jagiellońskiej. Stanisław Tarnowski, wbrew zwyczajowi profesorów, którzy z zajęciem czytają literackie prace swoich uczniów, ale o nich w pismach, publicznie, nie mówią, podniósł niebawem w felietonie poważnego dziennika wierność, piękność, wykwintność przekładu. Recenzya, podpisana przez głośnego historyka literatury, zwróciła uwagę na młodego studenta, który do tej pory oczytaniem, pracą, znajomością obcych piśmiennictw zdumiewał jedynie kolegów. Porębowicz poczuł instynktownie, że skoro przed laty Słowacki w „Podróży na Wschód“, w „Beniowskim“ uległ tak silnie wpływowi „Don Juana“, ktokolwiek chce dziś przekładać angielski poemat, musi iść do Słowackiego po naukę. Tym sposobem polski tłómacz powracał Byronowi to, co od niego polski mistrz pożyczył. Trafnem, wytrawnem okiem poznał to Tarnowski. I, rzecz ciekawa, w tych pierwszych usiłowaniach Porębowicza zaznaczyła się już zasada, której miał nadal wiernym pozostać, objawiły się dwie stałe jego zalety, mianowicie: dbałość o język czysty a tokiem jak najbliższy oryginału, pilna uwaga, zwrócona na formę wierszowania. Szlachetny, jako pisarz i obywatel wielce zasłużony, Wiktor Baworowski, tłómaczył przedtem tegoż „Don Juana“, ale przedłużał stopę wiersza, zachował wprawdzie podział na strofy, porzucił jednak oktawę, ustawiając rymy, jak mu w danym razie wypadło, jak mu było dogodniej i łatwiej. Nadało to poematowi pewną ociężałość, ujęło werwy i życia. A o cóż głównie chodzi w „Don Juanie“? Porębowicz nie pozwala sobie na podobne kompromisy z oryginałem. Jego wiersz będzie więc krótszy, jedenastozgłoskowy. I trzy razy powtórzą się w strofie dwa odmienne rymy, a potem zamknie ją para wierszy o nowych, współdźwięczących ze sobą, końcówkach. Stanie się zadość wierności, utrzyma się łechcąca ucho, przez Schillera wysławiona, oktawa.

Nie jest-że to dowodem istotnej muzykalności Porębowicza — a poeci muszą być koniecznie muzykami,—nie jest-że to dowodem je-

go rytmicznej, śpiewaczej duszy, że gotów się narazić na opuszczenie szczegółu, byle nie stracić harmonii słów i wiersza? Obca „oktawa pieści" go, on musi po polsku oddać jej pieszczotę. „De la musique — jak woła Verlaine do poety — de la musique encore et toujours!".

Urywek pod tytułem: „Don Żuan w haremie", spotkał się więcej niż z życzliwością, spotkał się ze szczerą, gorącą zachętą. Po trzech latach, w 1885 roku, ukazał się też po polsku cały poemat Byrona. Niestety, Porębowicz nie miał nigdy wielkiego szczęścia do wydawców. Bawił za granicą podczas druku „Don Juana", i nie mógł dopilnować korekty. Wszystkie złe duchy, gospodarzące w skrzyni zecera, sprzysięgły się przeciw niemu. I tak na przykład drukowano stale wyraz „i" zamiast zbliżonego kształtem znaku pisarskiego, zamiast średnika (;), i odwrotnie. Łatwo sobie wyobrazić, jak taka zamiana wpłynęła na dźwięczność rytmu i zrozumiałość tekstu. Wspominam o tem nietylko dla tego, że sam tłómacz uniewinnia się i na los się skarży [1]; wspominam i przeto, że dwie, dotychczas ogłoszone, części „Komedyi" przedstawiają się wprawdzie bardzo ładnie pod względem papieru i czcionek, natomiast obfitują w znaczne i przykre błędy. Skoro poeta ukończy przekład „Raju", panowie Gebethner i Wolff powinni się postarać o sumienną i dokładną edycyę całości. Będzie to ich obowiązkiem, zasługą i chlubą. Z góry cieszę się na tę piękną książkę, śmiem wróżyć jej powodzenie, i dla tego formułuję dwie prośby, z których pierwszą zwracam do wydawów. Oby zechcieli porzucić ten modny, drobny format i te maleńkie, również modne literki, od których oczy wnet bolą. „Commedia" nie stanie się nigdy codzienną lekturą dam salonowych, podziwiających Franciszka Coppée, nie wiem więc, po co nadawać dziełu Dantego kształt i oprawę francuskich wydań „Intimités", lub „Le Reliquaire"? Niech-by się raczej ukazało w takim formacie i w takiej prostocie, jak ostatnia włoska edycya, opracowana krytycznie przez Piotra Fraticelli i jego następców [2]. Jest to książka dość mała, aby ją módz wziąć z sobą w drogę, na przykład do Włoch, „nel bel paese là dove il si suona", a tak czytelnie, tak pięknie drukowana, opatrzona komentarzem, okalającym poprawny tekst oryginału. Druga moja prośba dotyczy właśnie komentarza, i zwraca się wprost do tłómacza. Porębowicz przecenia

---

[1]) J. G. Lord Byron: „Don Juan", przekład E. Porębowicza, Warszawa, S. Lewental, 1885, strona 561.

[2]) La Divina Commedia di Dante Alighieri col comento di Pietro Fraticelli. Firenza, G. Barbèra, 1898.

umysłowy poziom, historyczne wiadomości, przecenia pamięć swoich czytelników. Powinien nam dać więcej objaśnień, więcej wskazówek. Mytologiczne baśnie, dzieje starożytne, zmienne koleje włoskich miast i miasteczek nie są nam równie znane, blizkie i zawsze przytomne, jak jemu. I pod względem średniowiecznej filozofii, pod względem teologicznych subtelności należało-by wiele, bardzo wiele uzupełnić. Minęło zaledwie pół wieku od śmierci Danta, a „Komedya" potrzebowała już objaśnień. W 1373 roku rzeczpospolita florencka powierzyła autorowi „Decameronu", wykwintnemu Janowi Boccacio, obowiązek wykładania i tłómaczenia zawiłych dantejskich ustępów. Dzisiaj, kiedy nie każdy wykształcony Włoch czyta bez przypisków narodową groźną epopeję, dzisiaj my, ludzie z innego kraju, odmienni obyczajem i pojęciem, mamy prawo domagać się pełniejszego komentarza. Powinien, jak u Fraticellego, towarzyszyć słowom poety, nie kryć się, jak obecnie, na końcu książeczki. Nie należy utrudniać czytania i tak niezbyt łatwego do zrozumienia poety.

Tylem się narozmyślał o pięknem, polskiem wydaniu „Komedyi", aż je ujrzałem w wyobraźni przed sobą... jak Dante „Raj". I opisując je, zboczyłem z wytkniętej drogi. Powracam do Porębowicza.

Widzieliśmy, że zaczął od przekładania angielskiego poety. Na uniwersytecie krakowskim studyował przeważnie języki starożytne, pragnąc przejść dobrą szkołę ścisłej filologicznej metody. Od łaciny ciągnęło go jednak do języków romańskich, wyrosłych na jej gruncie, niejako z jej odpadków, z jej szczątków, na żyznym czarnoziemie, powstałym z jej podkładu. Opuszcza więc Kraków, gdzie podówczas nie istniała osobna katedra filologii romańskiej, i mimo licznych przeszkód, puszcza się w podróż po Europie. Zdaje mi się, że szuka równocześnie trzech rzeczy. Po pierwsze: chce się bliżej zapoznać z poezyą Włoch, albo Hiszpanii, oczywiście, nie bez zamiaru przyswojenia nam dzieł wybitniejszych. Powtóre: oceniając całą doniosłość praw, natury, przemian języka dla piśmiennictwa, zapuszcza się w studya lingwistyczne, bada na przykład kwestye rytmiki, i to ze specyalną uwagą. Potrzecie: rad-by zobaczyć te kraje, w których powstały pieśni o Cydzie, albo pieśń o Rolandzie. „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen". Bawi zrazu w Niemczech i pracuje tam jeszcze nad „Don Juanem", potem dla wykładów w Paryżu, ale coraz częściej, coraz chętniej trwa w południowej Francyi, w Hiszpanii i we Włoszech. Ma zawsze przed sobą dwa tkackie warsztaty i zasiada do nich na przemiany: na jednym wiąże szare nici teoryi, na drugim przetyka barwne pasma złotem—to poetyckie przekłady. Tak powstaje w 1885 roku rozprawka o początku epopei

francuskiej, inna o ludowej poezyi prowansalskiej, sięgająca jednak poza granice „langue d'oc“, obejmująca ogół pieśni, urodzonych wśród tłumu. Następuje w 1889 roku obszerna praca pod tytułem: „Ruch literacki południowo - zachodniej Europy“. W wydawnictwach Krakowskiej Akademii ogłasza przegląd nieznanych ulotnych druków hiszpańskich, na które w bibliotece Jagiellońskiej natrafił, oraz bardzo ciekawe, bardzo ważne, choć może zbyt daleko idące, studyum o „Andrzeju Morsztynie“ (1894). Takiemu znawcy włoskiej poezyi „barokowej“ groziło niebezpieczeństwo, że w polskim pisarzu same obce reminiscencye odnajdzie. Mojem zdaniem, Porębowicz nie zawsze niebezpieczeństwa uniknął. Lękam się trochę poetów, gdy siebie samych do ścisłej filologii zaprzęgną i złożą śluby suchej dokładności. Pegaz, zaprzężony do pługa, orze zbyt nerwowo, silnie, zbyt głęboko.

Najobszerniejszem krytycznem dziełem naszego poety - historyka są te rozdziały i tomy „Dziejów literatury powszechnej“, w których dla wydawnictwa p. Lewentala opracował cały niemal dział romańszczyzny. Przedstawienie rzeczy, oparte na wiedzy dokładnej i gruntownej, na ogromnem oczytaniu, jest niezmiernie ponętne, swobodne i żywe. Żaden utalentowany kompilator nie zdoła tak przemawiać. To właśnie stanowi piękność duchowych wysiłków, że sumie trudu, uczciwości, zapału skutek zawsze odpowiada. „Nad wszystkiem innem panuje przygoda“. W pracy Porębowicza mamy przed sobą obraz przemyślany, samodzielnie skomponowany i dla tego tak zajmujący, a nadto, przynajmniej w tych ustępach, o których na sąd pozwolić sobie mogę, obraz wierny, wyrazisty i trafny.

Kiedy lwowski uniwersytet zapragnął uczcić osobnem dziełem pięć wieków istnienia Jagiellońskiej szkoły, Porębowicz zamieścił w księdze pamiątkowej ciekawe, choć drobne studyum o Zygmuncie Krasińskim. Rok 1900 przyniósł nam jeszcze inną pracę lwowskiego profesora pod tytułem: „Święty Franciszek z Assyżu“. Książeczka liczy tylko sto kilkadziesiąt stron, a jednak będzie stanowić jedną z najgłówniejszych chwał p. Porębowicza, jako historyka piśmiennictwa i cywilizacyi. Nie wszystkim wolno dotykać takiej postaci, nie każdy ma prawo kreślić duchowy portret Odnowiciela religijnego życia we Włoszech, poety w życiu i świętego w pieśni, prostego nieświadomego praojca italskiej piękności i pogody. Tak jest, nie każdy ma tutaj prawo głos zabierać, bo chociaż je sobie przywłaszczy, i katolicy, i protestanci, i wierzący, i niewierni, gotowi zawołać: „bezprawie“. Porębowicz nie opuścił swego naukowego, krytycznego stanowiska, ale ma w sobie tyle szczerego uczucia, prostoty, dodam nawet — pokory, ma tyle zdolności zachwytu i kochania, że umiał pokazać, jak na tle średnich wieków „występuje ku nam zjawisko nieskoń-

czenie jasne i pogodne", jak „uśmiechnięta postać mnicha wyciąga miłośnie ręce, do których się garną gromady nędzarzy". Nasz autor, wielki wierszopis, nie był jeszcze nigdy prozaikiem równie wytwornym, jak w małej książce o wielkim „Poverello".

Równocześnie z temi pracami, w których po części nie brak przekładów, klejnotów, w tekst oprawnych, nie ustawało bynajmniej tłomaczenie. Wobec Porębowicza doznaje się zawsze uczucia, że czyta poetów z piórem w ręku, i ile razy przejmie się czemś, lub zachwyci, pyta, jak Faust przed Ewangielią świętego Jana, jakby to można po naszemu powiedzieć: „in mein geliebtes Deutsch zu übertragen".

Dawnemu, od lat studenckich trwającemu, zamiłowaniu do Leopardiego zawdzięczamy „Wybór pism wierszem i prozą" (1887); pobytowi na Południu Francyi: „Antologię prowansalską" (1888), a hiszpańskie studya doprowadziły nietylko do fonetycznej rozprawy, ogłoszonej po francusku, ale i do tłómaczeń Kalderona, zebranych w tom pokaźny. Od kilku lat ukazywały się po pismach próby przekładu Danta, obecnie posiadamy już całe „Piekło", cały „Czyściec". Nie mogło być inaczej. Człowiek, tak zakochany w piękności, tak ciekawy lat minionych, żyjący oddawna umysłowem życiem latyńskich narodów, a przytem — poeta, obdarzony wielkim odtwórczym talentem, musiał sobie postawić za cel przepisanie „Boskiej Komedyi" po polsku.

V.

Znając Porębowicza, można było z góry przypuścić, że nie spuści z oka ani dokładności wierszowania, ani charakteru, nastroju języka. O białym wierszu nietylko nawet mowy nie będzie, ale i pierwsze lepsze rymowanie nie zadowolni naszego tłómacza. W jego pojęciu przekładać „Komedyę", a nie zachować tercyny, równa się zapewne wielkiej podłości, lub zdradzie, i poeta nie będzie Galeottem. Wszakże istnieją stare, z XV stulecia pochodzące, wydania „Komedyi", na których pierwszej karcie czyta się jako tytuł, słowa: „Le terze rime". Melodyi, całemu tokowi języka nadaje tercyna osobliwszą powagę. Kiedy przed wielu laty młody Adam Asnyk zapragnął

wprowadzić czytelnika w kraj groźnych, ponurych widzeń, w „Sen grobów“, uciekł się, jakby z musu, z natury tematu — do dantejskiej strofy. W lirycznych poezyach mógł sam Alighieri dobierać różnorodnych rytmów, swobodnie rymami gospodarzyć, w pojęciu ogólnem tercyna pozostanie na zawsze jego właściwą, wrodzoną, po prostu — jego mową.

I Julian Korsak w swoim kompletnym przekładzie, i sam Mickiewicz w dwóch urywkach, dowiedli, że tłómacz florenckiego poety nie może się zadowolnić pierwszym lepszym systemem rymowania [1]). Porębowicz zatrzyma więc wiersz jedenastozgłoskowy, końcówki będą po polsku tak powracać, tak przypominać się uchu i potem znikać, jak w oryginale. A po włosku łatwiej rymować, niż w naszej mowie, jednej z najoporniejszych pod tym względem i najbardziej wybrednych. Skarga wyrzucał posłom Rzeczypospolitej, że chcą się rządzić, jak Wenecyanie, a weneckich rozumów nie mają. Jakże tu naśladować kunsztowną formę florenckiego poety, skoro nasz język nie układa się sam do wiersza, jak to po dziś dzień czyni ta mowa, którą niegdyś opanował mistrz, urodzony nad Arnem, wygnany z ojczystego miasta, spoczywający dziś w cichym grobowcu, w Rawennie? Pójdę o krok dalej i zapewne żadnego z naszych tłómaczy nie zadziwię twierdzeniem, że mało jest języków tak trudnych dla wierszopisa, jak polski. Wspominałem już o nierytmiczności. Muszę zwrócić uwagę na dwie inne charakterystyczne cechy naszej poetycznej mowy, na dwie przeszkody przy oddawaniu obcych utworów.

Pierwsza dotyczy rymu. Nie nasuwa się on sam pod pióro, jak włoskiemu poecie, a co ważniejsza, nasza publiczność nie zadowolni się łatwą końcówką, którą-by ani Niemiec, ani Włoch nie pogardził. Rymy są u nas rzadkie, bo język nasz jest pierwotny, a nie pochodny, jak francuski, prowansalski, włoski lub hiszpański.

Chciał-bym objaśnić, wytłómaczyć niniejsze moje twierdzenie.

Mowa narodów, zamieszkujących dziś półwysep Apeniński, półwysep Iberyjski, obydwie dawne Gallie, składa się przeważnie z pierwiastków latyńskich, z łaciny zwyrodniałej, nasiąkłej obczyzną, spospoliciałej, ale, bądź co bądź, z łaciny. Z biegiem lat ginęły w tej mowie końcówki wyrazów, zamierały oznaki przypadkowania, przepadło

---

[1]) Może to nie będzie od rzeczy zapisać, że p. Porębowicz zachował w III pieśni „Piekła“ sześć pierwszych wierszy „w niedościgłym — jak mówi — przekładzie Mickiewicza“. Dalej wprowadzą tercynę.

poczucie czasów i trybów w odmianie czasowników [1]). Wyrazy, przechodząc przez wiele ust, traciły swój kształt, skracały się, zbliżały się dźwiękiem do siebie. Niechaj mi będzie wolno uciec się do porównania. Monety, bite przez cezarów, ozdabiano profilem chwilowego władcy. A jednak za dotknięciem wielu rąk zaciera się rysunek głowy, rozmiary pieniążka maleją, archeolog nie zawsze umie oznaczyć, czyj portret widnieje na monecie. Coś podobnego spotkało stare łacińskie słowa. I one się starły, skurczyły, i one zmalały, i po dziś dzień są nie każdemu czytelne. Ale zrównały się, jak zużyte denary, rymują, godzą się ze sobą.

Weźmy na dowód pierwszy lepszy ustęp ze współczesnego włoskiego, czy francuskiego poematu, i przyjrzyjmy się rymom. Rzućmy na przykład okiem na wiersze Alfreda de Musset, otwierające jego słynny utwór „Rolla:

Regrettez-vous le temps où le ciel sur la terre
Marchait et respirait dans un peuple de dieux,
Où Vénus Astarté, fille de l'onde amère,
Secouait, vierge encor, les larmes de sa mère
Et fécondait le monde en tordant ses cheveux?

i na miejsce pięciu francuskich wyrazów, które stanowią rymy, postawmy myślą pięć wyrazów łacińskich, od których francuskie pochodzą, postawmy je w odpowiedniej gramatycznej formie: terra, deorum, amarae, matris, capillos. Po łacinie nie było-by rymu. Ile się wszystkie te rzeczowniki i przymiotniki musiały nawędrować po świecie, na ilu wargach spocząć i jak się na nich odmieniać, zanim tak starły pierwotne końcówki, tak się ostatnim dźwiękiem zbliżyły do siebie! W staroprowansalskim języku niniejszy proces zrównania był jeszcze radykalniejszy i doprawdy nie musiało to być rzeczą łatwą pisać w tej mowie, a nie popaść w rymowanie. Tem się też tłómaczy wyszukana kunsztowność strof staroprowansalskich. Podobnie dzieje się

[1]) F. Brunot, autor popularnej historycznej gramatyki francuskiego języka, przytacza z VIII wieku taką formułę chrztu: „Ego te baptizo in nomine Patria et Filia et Spiritus Sancti" (Brunot: „Precis de grammaire de la langue française", Paris, G. Masson, 1887, str. 10).

we Włoszech, gdzie wszyscy używają i nadużywają wiązanej mowy. Artystom nie wystarcza pędzel, albo dłuto. Począwszy od Giotta, aż do Michała Anioła i jego późnych naśladowców—malarze pisują wiersze. Każdy niemal wykształcony Włoch bawi się rymowaniem, bawi się, bo się niem nigdy nie trudzi. Każdy obchód miejski, lub krajowy, każda uroczystość rodzinna wywołuje nieskończoną ilość sonetów, ód i epitalamiów. Kiedy w 1564 roku Benvenuto Cellini odsłonił swego Perseusza, w jednym dniu, na piedestale posągu przybito kilkanaście wierszy pochwalnych, wyszłych z pod różnych piór i z różnych sfer. A dziś, proszę sobie tylko przypomnieć hymn „do rymu“ na czele „Rime nuove“ Jozuego Carducci.

Ani nasz język, ani nasza publiczność nie zachęcają do podobnego nadmiaru wersyfikacyi. Utrudniliśmy ją sobie sami, wzorem Francuzów. Niezmiernie ciekawym jest objaw, że już taki, w 1820 roku zmarły, Aloizy Feliński, stawia pod względem rymu najwybredniejsze wymagania [1]), mniej więcej te same, które we Francyi, po pół wieku, wejdą w skład poetyckiego „Credo“ wirtuozów rymotwórstwa, Franciszka Coppée, Sully - Prudhomme'a, Teodora de Banville, Katulla Mendès i tylu, tylu innych poetów, których historyk literatury obejmuje ogólnikową nazwą: „Le Parnasse“, albo: „Les Parnassiens“ [2]).

Mickiewicz, zwłaszcza w „Panu Tadeuszu“, nie ubiega się za trudnemi rymami, nie miewa ich prawie Krasiński, słaby wierszopis, natomiast Słowacki lubuje się w rzadkości, w „dziewiczości“ rymu. I ta potrzeba sztucznego rymowania wciąż rośnie. Wyobrażam sobie, że nie jeden redaktor czasopisma, skoro otrzyma rękopis poematu, spogląda przedewszystkiem na bogactwo i śmiałość końcówek. Niemcy są mniej wymagający, Goethe i Heine nie wahają się używać w rymie takich wyrazów, jak: „mich“, „dich“, kiedy u nas chyba duchowi synowie Rozbickiego odważą się na końcach wiersza postawić: „mię“, „cię“, albo rymy, powstałe z deklinacyi i konjugacyi, jak: „kochali“, „umierali“, „dobrego“, „pięknego“. Gardzimy tem, co prowansalskim śpiewakom wydawało się dostatecznem i prostem. Ogół polskich czytelników pragnie, szuka dziś w poezyi spotkania takich

---

[1]) Por. na przykład uwagę o rymujących ze sobą odmiennych częściach mowy. „Dzieła A. Felińskiego“, Wrocław, Z. Schletter, 1840. tom II, str. 201.

[2]) Nazwa ta pochodzi, jak wiadomo, od wydawnictwa antologii współczesnych francuskich poetów, pod tytułem: „Le Parnasse contemporain“.

wyrazów, których jeszcze nigdy obok siebie nie widziano, rymów, jak je powyżej nazwałem, dziewiczych. Lękam się nawet, że ten i ów wielbiciel Słowackiego, lub Asnyka, pozna się lepiej na misterności formy, niż na głębokości poczucia, że na przykład w poezyach Asnyka podziwia głównie nowe zestawienia, jak: „trafne", „Dafne", „siłom", „wyłom", „piramid", „aksamit". Lękam się, może nie bez powodu.

I tłómacz tu, polski poeto, zakochany w obcem arcydziele, tłómacz swobodnie romańskiego poetę!

Porębowicz nie jest wyrodnem dzieckiem swego czasu i on też lubi rym dźwięczny, a dotąd niezużyty. Jeżeli go czasem, choć bardzo rzadko, sprowadzi nieco sztucznie, jeżeli pójdzie go szukać wśród wyrazów, które tkwią dzisiaj tylko w dykcyonarzach, podobne roślinom, zasuszonym w zielniku, jeżeli, popadając w tę samą ułudę, co Sienkiewicz, uważa mowę zakopiańską za język, całej Polsce nie obcy, zupełnie zrozumiały: — nie rzucajmy na niego kamieniem. Swoją drogą jedyny, poważny zarzut, który chcę Porębowiczowi uczynić, jest ten: archaizmami, gwarą ludową utrudnił czytanie utworu, który i skądinąd nie wszystkim jest dostępny. A gdyby mi kto zarzucił, że tłómacz-poeta nie pracował „dla wszystkich", ale dla wybranych, pozwolę sobie odpowiedzieć, że Dante nie stanie się nigdy trwałą lekturą górali, którzy tak polubili Homera, że wiele wybredniejszych osób czyta już dzisiaj „Komedyę" w oryginale, że ktokolwiek u nas przekłada arcydzieło, musi liczyć na publiczność średnio wykształconą, bardzo chciwą wiedzy, piękności i poezyi, na publiczność, z którą znowu liczyć się powinien.

Nie dziwi mię to wcale, że Porębowicz poszedł ową drogą archaizmu, która, w mojem pojęciu, jest dla popularności dzieła niebezpieczeństwem. Wyrazy, dla nas przestarzałe, martwe i zabalsamowane, ukazują się jego oczom z twarzą osobistą i żywą. Wszakże on do tego stopnia zna język przeszłości, że mógł sobie raz pozwolić na ciekawą zabawkę: przełożył kilkadziesiąt oktaw Ariosta najwierniejszym językiem i stylem Piotra Kochanowskiego. Dla czego go jednak Emil Littré nie wstrzymał własnym przykładem od archaizowania? Kiedy słynny przyrodnik i filozof zajął się badaniem starofrancuskiego języka, zagłębił się w nim do tego stopnia, tak się z nim zżył, że zapragnął tłómaczyć Danta tercyną w mowie Francuzów, współczesnych florenckiemu poecie. „Piekło", wydane w 1875 roku, nie rozeszło się jednak, „Czyśca" i „Raju" Littré już nie ogłosił. Taka archaiczna „Commedia" nie mogła znaleźć wielu czytelników.

Zresztą, nie jedne rymy stawiały krótki opór tak misternemu poecie, jak Porębowicz, musiał on zwyciężyć i drugi z tych szkopu-

łów, o których się wyżej pisało, straszną dla naszych tłómaczy sprawę ścisłości a pełni zwięzłego a żywego zakroju w wierszu polskim. Techniczne, językowe te kwestye nie wchodzą w grę u twórczego poety, pana swej strofy i raz obranego rytmu; dla sumiennego autora przekładów mogą się stać kajdanami.

Nie będę przypominał obfitości samogłosek w mowie Dantego, która tem samem brzmi jako muzyka. Podniosę natomiast inną jej właściwość, tę mianowicie, że pisząc nią, wolno czasem skracać wyrazy, wyrzucać z nich wstępne, lub końcowe samogłoski, by nie przerwały rytmicznej dokładności, harmonii wiersza. Podobna swoboda istnieje w Niemczech, nie posiadamy jej ani my, ani Francuzi.

Zajrzyjmy do czwartej pieśni „Piekła". Dante zastaje tam szereg mężów starożytnych, szlachetnych pogan, którzy dla tego, że chrztu nie otrzymali, do nieba się nie dostaną. Mimo to wieczysta sława będzie na ziemi ich udziałem. Przypominam, że chęć zdobycia nieśmiertelności u potomnych, że to uczucie, tak nawskroś „renesansowe", objawia się już u Danta, gra wielką rolę w jego psychologii.

Przytaczam naprzód w białym wierszu Stanisławskiego, a potem w oryginale jedną tercynę IV-go „Canto", tercynę, która mi ma służyć za przykład skróceń, rytm ułatwiających:

Wzrok ich wspaniały i nieco surowy,
Na twarzy wielka rozlana powaga,
A mówią zwolna i głosem łagodnym.

Genti v'eran con occhi tardi e gravi,
Di grand' autorità ne' lor sembianti:
Parlavan rado, con voci soavi [1]).

---

[1]) „Inferno", IV, 112—114. Porębowicz tłómaczy:

Lud był szanownej, dostojnej postawy,
Powściągliwego i dumnego wzoku,
A mowy cichej, skąpej i nieżwawej.

Przekład może w szczegółach nie ze wszystkiem wierny, ale natomiast pełen powagi i nastroju.

Gdyby język włoski nie pozwalał na skrócenia, gdyby poeta musiał był powiedzieć: „vi erano“, zamiast: „v'eran“, „grande“ zamiast: „grand'“, „nei“ zamiast: „ne' “ i t. p., nie było-by wiersza. Porębowicz ocenił trudności, znał dobrze różnicę dwóch języków, lecz nie dał za wygrane, postanowił nie przedłużać tekstu, jak Lucyan Siemieński w „Odyssei“, albo Adam Asnyk w jednej, jedynej, tercyną przełożonej pieśni „Piekła“. Każde jego „canto“ liczy dokładnie tyle wierszy, ile ich oryginał posiada. Nie dziw więc, że w polskiem tłómaczeniu efekt poetyczny chwilami przymiera i słabnie. W XIV pieśni „Piekła“ mówi Dante: „Ponad całą piaszczyzną, padaniem wolnem, dżdżały rozszerzone płaty ogniste, jak w górach, gdy wiatr cichnie, płaty śniegu“ [1]).

Julian Korsak tłómaczy:

Szerokim kiściem dżdżył żar na pustkowie,
Jak śnieg bez wiatru w alpejskim parowie.

Antoni Stanisławski:

Na step piaszczysty spadały powolnie
Szerokie płaty ognistego deszczu,
Jako wśród ciszy śnieg na Alpach pada.

Porębowicz zaś pisze:

Na step piaskowy płomienistym miotem
Padały żaru rozczepione kiście,
Jako na ciszy w górach, równym lotem.

Że wszystkich przytoczonych tłómaczy, Porębowicz jest najmniej dokładny. Wyraz „kiść“ nie wydaje mi się dość jasnym, nie za-

---

[1]) „Inferno“, XIV, 28 — 30. Wyraz: „piaszczyzna“, nie jest Lindemu obcy.

wiera bowiem w sobie ani pojęcia śniegu, ani nawet pojęcia białości. Krzaki bzu, kasztany zakwitają co rok w kiście liliowe i śnieżne, w kiście różane i białe. A jednak, jak Porębowicz umie spadkiem wiersza zaznaczyć ruch, tutaj na przykład wolne upadanie śniegu:

Jako na ciszy w górach — równym lotem.

I zdolność wybrednego rymowania, i ucho, czułe na rytmiczną dokładność, są to poważne zalety, które wszelako spotykamy nietylko u takich poetów, jak ostatni polski tłómacz „Komedyi", lecz i u wielu wprawnych, zręcznych „rymotwórców". Poza tym, niejako elementarnym, światem wierszowania, istnieje osobny świat stylowych odcieni, „Eleuzis", której tajnie samemu, własnem poczuciem zdobyć trzeba. Należy do nich zapomniana dziś sztuka budowania zdań, mających oddać myśl, jak odlew posąg oddaje, sztuka subtelnego ustawiania wyrazów, aby odźwierciadliły uczucie, jak fala jezior—szczyty gór jasnych i mgły nadbrzeżne odbija. Nie wszyscy pisarze wiedzą o istnieniu podobnego językowego bogactwa.

Po tylu zacytowanych tercynach, może to już zbyteczna dowodzić, że Porębowicz panuje nad całym arsenałem misternych zwrotów, wymownych zamilknień i słów potężnych, jak burza. Wielki malarz, szczery, muzyk, orkiestrujący swą partycyę, nie są od niego bieglejsi w swej sztuce. On wie, jak średniówka wpłynie na wagę wiersza, wie, kiedy okres skrócić, a kiedy wydłużyć, wie, jak czystym dźwiękiem jednych głosek, jak chrapliwością innych nadaje się ustępowi charakter, ton srebrny, albo ton śpiżowy.

Posłuchajmy pierwszych słów Franciszki da Rimini.

Korsak tłómaczy:

O czuła — rzekły — i szlachetna duszo!
Co nas odwiedzić szedłeś w te otchłanie,
I masz snadź litość nad naszą katuszą!

Stanisławski:

O litościwa, o miła istoto,
Która w ciemności idziesz, by oglądać
Nas, cośmy ziemię krwią swoją zbroczyli.

Nie prawda, jak w obydwu powyższych przekładach kołysze nas rytm, rytm rymowanego, czy białego wiersza?

U Porębowicza inaczej:

O ty istoto czuła, pełna łaski,
Że raczysz witać w tej ciemności sinej [1])
Nędznych, których krew ziemskie broczy piaski.

Ostatni wiersz można-by inaczej obrócić, nadać mu większą płynność, na przykład:

Nas, cośmy ziemskie krwią zbroczyli piaski [2]).

Porębowicz woli jednak postawić średniówkę po wyrazie „krew“, podnieść tem samem ten wyraz, nadać wierszowi nastrój ostrzejszy, twardy:

Nędznych, których krew ziemskie broczy piaski.

U Danta czytamy bowiem słowa brzemienne grozą, ponure:

Noi che tignemmo 'l mondo di sanguigno.

I zaraz potem, począwszy od setnego wiersza piątej pieśni „Piekła“, następują u Porębowicza tercyny łagodniejsze, dźwięczne, bar-

---

[1]) W oryginale: „per l'aer perso“. „Perso — mówi gdzieindziej Dante — oznacza barwę, złożoną z purpury i czerni, ale czarność zwycięża“. Por. wydanie „Komedyi“ przez Fraticellego, 1898. str. 56.

[2]) W oryginale jest: „noi“, słowa „nędznych“ niema.

dziej uskrzydlone. I jak w oryginale, otwierają się stale wyrazem: „Miłość“.

Inny przykład rytmiki u naszego ostatniego tłómacza. W XXVI pieśni „Czyśca“ Dante wprowadza prowansalskiego poetę, Arnalda, któremu wkłada w usta kilka wierszy, wypowiedzianych w jego rodzimej mowie. Jakże tu w przekładzie zaznaczyć różnicę języków? W Niemczech, Jan, król saski, uciekł się do mowy i rytmu pieśni o Nibelungach. U nas Korsak przeszedł od jedenastozgłoskowego wiersza do dziesięciozgłoskowego, i z ośmiu wierszy Danta zrobił dwanaście. Stanisławski, zaznaczając w „objaśnieniach“, że „podobało się Dantemu przemowę Arnalda Daniela wyrazić w wierszach prowansalskich“, przełożył cały ustęp, całe osiem wierszy językiem polskim jasnym i potoczystym.

Porębowicz postąpił tu sobie, jako mistrz wytrawny. Nie pomyślał o innem narzeczu, różnicy zatrzeć jednak nie pragnął. Zmienił po prostu mały drobiazg w wierszu, zastępując zwykłe żeńskie rymy męskim. W ten sposób słowa prowansalskiego śpiewaka odznaczyły się od ogólnego toku poematu, a nie wyrwały się jednak z całości.

Jam jeszcze podszedł i stanąwszy z blizka
Nieznajomego, rzekłem mu, że zdobię [1])
W sercu mem miejsce dla jego nazwiska.

A duch rozpoczął grzecznie w tym sposobie:
Taką ponętę w prośbie twojej baczę,
Że się nie mogę ni chcę taić tobie.

Ja jestem Arnold, co śpiewam i płaczę,
Przypominając swój miniony s z a ł,
Rad szczęścia dniowi, że go wnet obaczę.

---

[1]) Zapewne jeden z nieprzeliczonych błędów druku. Miało być: „zrobię“. Dante używa wyrazu: „apparecchiare“ — przysposobić, przygotować, sporządzić.

Teraz, przez Boga, co ci władzę dał
Wejścia w te światy i na szczyt prowadzi,
Proszę, byś w porę o mnie pomnieć chciał.

Tu przepadł w ogniu, który winy gładzi.

Więcej cytować nie mogę. Ale, kto-by zapragnął ocenić, jak, ze zmianą uczuć i nastrojów, Porębowicz odmienia mowę, zakrój i naturę wiersza, niech zechce zajrzeć do ostatnich pieśni „Czyśca“, do słów, któremi Beatrice to gromi, to na duchu podnosi poetę.

VI

Z umysłu kończę te uwagi wzmianką o ostatnich spolszczonych tercynach, które Porębowicz do tej pory ogłosił. W mojem pojęciu należą one bowiem do najudatniejszych, najdoskonalszych ustępów przekładu. Czytając kolejno po polsku dwie księgi o „Piekle“ i „Czyścu“ doznaje się wrażenia, że, w miarę roboty, tłómacz - poeta nabiera nieustannie przejrzystości w stylu, siły, wyrazistości, prostoty w wysłowieniu. Czuje się, że z wprawą i rozmach wzrasta, że wyrazy są coraz bardziej posłuszne a giętsze. I niecierpliwie, ale z radosną ufnością, wyczekuje się „Raju“.

Ceterum censeo, że gdy ostatnia część ukaże się w tomiku, powinna zaraz powstać praktyczna, niezbyt kosztowna, a jednak wytworna polska edycya „Komedyi“. Nie wiem, czy niniejsze uwagi, zarzuty i prośby zdołają zaważyć w umyśle tłómacza i wydawców. W każdym razie śmiem wierzyć, że cały Dante, przełożony tak wybornie, chwilami po mistrzowsku, opatrzony obfitym komentarzem, znajdzie się w każdym polskim domu, dbałym o piękność i cywilizacyę, że Porębowicz zyska podówczas nietylko zasłużony rozgłos, ale, co ważniejsza, uznanie ogółu, na które wiedzą, pracą, usiłowaniem i talentem szczerze i uczciwie zarobił.

Nie po raz pierwszy przychodzi ku nam Dante, ale nie zawsze miał równie biegłego przewodnika. Kiedy mu Korsak służył za tłó-

macza, zanadto się nam odmienił. Za sprawą Stanisławskiego ukazał się duży, szlachetny, lecz jakby zanadto konturowy, przybladły. Porębowicz, w przeczuciu, że barw nie zgasi, życia mu nie ujmie, ujął go skromnie, pokornie a mądrze za rękę, jako przed sześciuset laty ów słynny, błogi śpiewak mantuański. I jak Wergili w piekielnych „Złych Dołach“, otoczył go wiernem ramieniem, aby z nim przejść twarde ścieżki, strome jary i wywieść go ku gwiazdom, których nazwaniem kończy się każda z trzech ksiąg boskiej „Komedyi“.

K. M. Górski.



W lat półtysiąca.

DYALOG

napisany na uroczyste przedstawienie w dniu pięciowiekowej rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI »CZASU« POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO
1900



W lat półtysiąca.

DYALOG

napisany na uroczyste przedstawienie w dniu pięciowiekcwej rocznicy odnowienia Uníwersytetu Jagiellońskiego.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI »CZASU« POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO
1900

ODBITKA Z »PRZEGLĄDU POLSKIEGO«.

76

W lat półtysiąca.

DYALOG

napisany na uroczyste przedstawienie w dniu pięciowiekowej rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

OSOBY:

UCZEŃ I z r. 1400.
UCZEŃ II z r. 1900.
WIDZENIE.

Scena przedstawia salę w Uniwersytecie krakowskim. Na lewo drzwi. W głębi jedno, po prawej drugie okno gotyckie. Ciemno, zaczyna świtać. Dawny uczeń stoi po prawej stronie. Ma na sobie płaszcz doktorski, pokrywający zbroję średniowieczną. Zwolna wyjaśnia się w sali.

UCZEŃ PIERWSZY.

Co to? na ziemi jestem? Wyrok Boży!
Stopami z żaru oswobodzonemi
Dotknąłem mojej, swojskiej, polskiej ziemi.

(Postępuje ku widzom).

I krok ten pierwszy dziwi mnie i trwoży.

(Staje).

Przecz mi kazano tutaj iść? Po nowe
Bole rozpaczne, gorsze niż ogniowe?

(Rozgląda się dokoła).

Poznaję mury. Jestem w dawnej Szkole,
Gdzie ongi dzikie, zuchwałe pacholę
Uczono życia. Jam tutaj najczystsze
Dni moje spędził. Tu uczeni mistrze
Nieraz mówili: „Pohamuj się synu!“
I dodawali, patrząc ku mnie bystrze:
„Szaleństw i pustot nie bronim za młodu.
Później czekamy — woli, pracy, czynu:
Serce masz śmiałe, chlubą bądź narodu!“

Już wiem, dlaczego tu jestem. Uczeni
Starce powrócą. Oczyma ze stali
Będą w me oczy martwe zaglądali,
Aż się grzesznika twarz, co zbiegł z płomieni,
Blada i smętna, wstydem zarumieni.

(po chwili).

Niech będzie, co ma być...,
Dziś wszystko zniosę...
Słyszę dech ziemi sennej, czuję rosę.

(Zbliża się do otwartego okna po prawej).

Ze wsi woń idzie cudna. W noc błękitną,
Jak za lat moich młodych, róże kwitną
I więdnąc, pachną. W wielkim nieboskłonie
Miesiąc się jarzy w złotych gwiazd koronie.
Tęczowych planet korowód bogaty
Zwolna po niebie sunie, jak przed laty,
Ponad równiną wionie wiatr z szelestem,
Sadów różane potrącając kwiaty.

Serce ojczyzny mojej, z Tobą jestem.

Witaj mi ziemio polska, bujna, cicha,
Matko szlachetnych niewiast i rycerzy,
Ziemio, gdzie tylu bohaterów leży
I tylu żywych do bohaterstw wzdycha.
Ja, który dzisiaj wstałem z ciasnej trumny,
Mogęż być tobą radosny i dumny?

Witaj mi grodzie, coś wieżyce smukłe,
Czujne, spiżowych, dźwięcznych pełne głosów,
Wystrzelił w jasne błękity wypukłe
I hejnałami sięgasz do niebiosów...
Czy zwyciężają zawsze twe modlitwy
W dzień ognia, dżumy i w dzień walnej bitwy?

Witaj mi Szkoło, Szkoło moja dawna!
Czyś mi tak zawsze uczona i sławna?
Za dni radosne żaka i za piękne
Rady twych mędrców, niechajże w pokorze
I wielkiej skrusze serca tu uklęknę,
Na twoim progu pocałunek złożę.

(Zbliża się po lewej stronie, ku drzwiom, które się naraz otwierają. Wchodzi uczeń drugi, student dzisiejszy, ubrany również w togę doktorską).

UCZEŃ DRUGI.

Ktoś ty? i jak się tutaj mogłeś dostać?
Skąd idziesz?
(Pauza).
Czemu milczysz jak grobowiec,
I cały jesteś jak kamienna postać
Z grobowej płyty przodków?
(Pauza).
Słyszysz?
(Pauza).
Powiedz,
Coś zacz, co robisz tutaj — w tej godzinie?
(Pauza).

Możeś ty obcy, może po łacinie
Mam z tobą mówić?

UCZEŃ I.

Nie, chociaż w tej sa
Nigdyśmy gwarą tłumu nie mawiali.

UCZEŃ II.

Tyś dawny uczeń?
(Z trwogą)
Ale żywy człowiek?

UCZEŃ I.

Czemu się tobie włos na głowie jeży
I nierycerski strach patrzy z pod powiek?
Nie, ja nie jestem żyw. Jam z tych rycerzy
Co pod Grunwaldem padli — z polskiej strony.
(Po chwili).
A ty kto jesteś?

UCZEŃ II.

Jam jest żak, ćwiczony
W tej dawnej Szkole. A chociaż mnie wczora
Ubrano w czarną togę, w strój doktora,
Jam żak, żak biedny, który nie zasłynął
Sercem ni szablą — i za kraj nie zginął...
Scholar, co tylko w starych księgach grzebie,
W dzień uczy młodszych, w noc — samego siebie.
I nieraz, chociaż gwiazdy się rozzłocą,
Nie wiem, że weszły na niebo. Bo nocą
Czytam tu o was, zmarli. W senną ciszę
Chrzęst waszych zbroic pilnem uchem słyszę.
Czytam o pani waszej, o Jadwidze,
Królowej polskiej. A gdy wreszcie zasnę,
Duszą, co cały dzień marzyła, widzę,
— Jak w oknach katedr starych — widma jasne,

Barwne, przejrzyste. Rankiem pytam: długo
Mam jeszcze czekać, aż mi się ukażą
Na jawie męże z piorunową twarzą,
Z mieczem dwuręcznym, włócznią i kolczugą?

Dzisiaj już nie śnię, patrzę.
(Chce mu paść do nóg).
Witaj, witaj!

UCZEŃ I.

Ty się przedemną nie kłoń. Ty mi zbroi
Ni kraju szaty rękami nie chwytaj:
Gdy ogień buchnie, nikt ci ran nie zgoi!

UCZEŃ II.

Kroczysz li z ognia?
Czy tych, którzy święcie
Broniąc ojczyzny, od miecza zginęli,
Nie czeka nagły wzlot i wniebowzięcie,
Czy po nich jaśni nie schodzą anieli?

Czyż sam Archanioł w zbroicy zwycięzkiej
Nie spada orłem — bronić duszy męzkiej,
By, kiedy wrogów w czeluście postrąca,
Nieść ją na skrzydłach, jak orzeł, do słońca?

UCZEŃ I.

O światach, których nie znasz, milcz scholarze!
Gdybym nie zginął pod Grunwaldem z rany
Dobrej, bo w czystej sprawie uzyskanej,
Jużbym nadziei nie znał...
Ten, co karze
I uniewinnia, wie komu przydłuży
Mąk, komu skróci.
(Cisza).
Jam jest grzesznik duży.
(Cisza).

Mów mi, ty żaku uczony, co wnikasz
W myśl starych kronik, sam jesteś kronikarz,
Mów, czy o Krwawym nie słyszałeś Dyable?

UCZEŃ II.

Słyszałem.

UCZEŃ I.

Śmiałków tych znasz, którzy w szale
Jak Krwawy Dyabeł, dumnie i zuchwale
Całą swą duszę kładli w krzywą szablę?

UCZEŃ II.

Znam.

UCZEŃ I.

Jam był z nimi.

(Zwolna).

Sąsiada ograbić,
Spieniać, a jeśli się nam oprze, zabić.
Mieć w obrzydzeniu wszystko co uczciwe,
Bo napomina. Dzisiaj ludzką sławę
Zniszczyć, a nie wleść jak Gniewosz pod ławę,
Jutro kopytem końskiem polską niwę
Wyplenić. Dłonie mieć krwią bratnią krwawe...
Królowi w jakiejś szalonej zawiści
Wstręt czynić, za to, że król, kraj zaburzyć
I raczej z hańbą w sercu wrogom służyć
Niżli usłuchać swoich, bo są czyści —
Oto com umiał.
Gdyby nie zgon mężny,
W piersi krzyżacki grot krzywoprzysiężny...

(Chwyta za miecz).

O mieczu, ty przydłużasz ludzkie ramię
Nietylko na złe walki. Jam w potrzebie
Świętej cię dobył i dzisiaj przez ciebie
Żyję i kiedyś w jasnej stanę bramie.

(Pauza).

Już teraz wszelkie zgryzoty ustały...
Nie wiesz ty czemu?

UCZEŃ II.

Może ci odpowiem,
Ranek, co wstaje nakształt nocy białej
U widnokręgu, wyprzedza dzień chwały.

UCZEŃ I.

Czy mi kres cierpień wróży? Mów, albowiem
Serce mi tłucze o zbroję stalową,
Jak w chwili zgonu.

UCZEŃ II.

Dziś lat pół tysiąca,
Jak nasza Szkoła, słynna i kwitnąca,
Wskrzesła z popiołów na Jagiełły słowo.

UCZEŃ I.

Mówisz, że mija już lat pół tysiąca?
— Jam dni rachubę stracił. — O, mów do mnie,
Tam, pod Grunwaldem, czyśmy zwyciężyli?
Jam skonał prędko, walk zaciekłych końca
Źrenica moja, od bólu mdlejąca,
Już nie ujrzała. Zmarłem nieprzytomnie
I nic o ziemi nie wiem od tej chwili.

UCZEŃ II.

Ległeś zwycięzki.

UCZEŃ I.

I Zakon na zawsze
Zniszczon?

UCZEŃ II.

Jak żmija pocięta w kawały
Zrasta się znowu, tak się zrósł.

(Ciszej).

I łzawsze
Dni przyszły na nas — po krótkim dniu chwały.

UCZEŃ I.

Ale mi powiedz, król na polskim tronie
Jestże to jaki wnuk po Jagiellonie?

(Uczeń II przeczy ruchem głowy)

UCZEŃ I.

Więc któż na polskiej stolicy dziś siedzi?
I kędyż chętniej mieszkają królowie
Nasi: ażali tu, w starym Krakowie,
Albo też w Wilnie?

UCZEŃ II.

Milcz, milcz! Odpowiedzi
Z ust nie wyrywaj!

(Wskazuje na salę)

Bo tu prawda żywie,
A kiedy tobie odrzeknę prawdziwie,
Jeszcze mi cały runiesz, nakształt wieży
Kamiennej, w którą niebios grom uderzy.

UCZEŃ I.

Mów, ja piorunów nawykły i grzmotów,
Wszystkiego słuchać, wszystko ścierpieć gotów.

UCZEŃ II.

Więc, w imię Boże.
Możesz dziś po świecie
Kroczyć. Gdzie spotkasz świeże, czerstwe dziecię,
Co już poczyna mówić, gładź po twarzy
A gdy w przeczystych źrenicach wyczytasz,
Że się tej młodej duszy szczęście marzy,
Dziecko o nazwę ojczyzny zapytasz.
Na to ci w jakiejś radości pół boskiej,
Anielskiej, powie kraju imię święte:
Matka roztworzy oczy uśmiechnięte
I pocznie dziecku muskać złote włoski

Tak w całym świecie.
Lecz zajdziesz w krainy,
Gdzie twem pytaniem dzieci się przerażą,
Odbiegną ciebie z zapłakaną twarzą,
Jak gdyby jakiej wstydziły się winy.
I rzekną matce, co cicha, ostrożna,
Śledzi ich wzrokiem: „Czy powiedzieć można?“

Kiedy kraj poznasz, gdzie uczą za młodu
Ojcom nie wierzyć albo wszystkim kłamać,
Gdzie mężom trzeba albo życie złamać
Albo się wyprzeć wiary i narodu,
Wiedz, żeś na twojej ziemi.
Tyś się królem
Polskim ciekawił, a niemasz królestwa...
Pośród rozpaczy i pośród nicestwa
Jeżeli jeszcze królujem — to bólem.

(Milczenie).

UCZEŃ I.

A mieczem?
Może zapytać mam prawo,
Coście wy z naszą zrobili spuścizną,
Z ziemią od naszych ran śmiertelnych krwawą,
A od posoki długich wieków żyzną?
I co z duchową całą ojcowizną,
Ze czcią u świata i z orężną sławą?
Czyście po karczmach zastawili miecze,
Drzewce proporców o ostrzu ze stali,
Po których jeszcze ciepły szkarłat ciecze?

Bo, albo się tu już nie rodzą chłopcy,
Lub jak żelastwo stare, co nie służy
Na nic, dziedziczne rynsztunki sprzedali,
I są już sercem nie swoi — a obcy,
Skoro granicznej wyrzekli się stróży.
Pradziad się mężnie bił, a prawnuk....

UCZEŃ II.

Zasię,
Zasię... Nie tylko ty, rycerzu hardy,
Upadłeś we krwi rubinowej krasie:
Wszystko mi możesz rzucić w twarz — prócz wzgardy!
Mówię ci jeszcze raz: po polskiej ziemi
Idź, idź — natrafisz wszędzie na kurhany,
A trawa na nich świeci ciemniejszemi
Barwami, niż za ciebie, z krwi wylanej.

My nie umiemy szczędzić — ani groszy,
Ni sił, stworzeni, jakby do rozkoszy
I do szaleństwa, a po szale smutni,
Nie ufni w swoją moc. I znowu butni,
Gdy się nam nowe świecidło zapali,
Fata Morgana w rozpacznej oddali.
Wiedz, żeśmy wszystkiem nadto szafowali,
Lecz i krwią własną byliśmy rozrzutni.

Kiedy na chrześcian pohaniec nastawał,
Ludy przed jego pierzchły zagonami.
A myśmy przed nim duży świata kawał
Od muzułmańskich, barbarzyńskich nawał
Bronili przez wiek długi, prawie sami.

Patrz, już rycerstwu otrąbiono ranną
Pobudkę; korne przed Najświętszą Panną,
Wiesz z jaką prośbą na bój się zbroiło:
„Daj nam zwyciężyć lub ledz pod mogiłą“.
I widzisz: kopie zniżono do toku,
Na barkach orle skrzydła zaszumiały,
Hussarya nakształt morskiej, rozszalałej
Złowrogiej fali, co bije o skały,
A białoskrzydlna na pozór obłoku,
Idzie wśród śpiewu, wrzasku, rżenia koni
Rumaki zbrojne rzuciła do skoku,
Jak piorun, wroga dosięgła w pogoni,
Przeszła — i nic już nie zostało po niej.

Potem twe dawne rzuciliśmy miecze,
Twoje kolczugi i skrzydła orlicy....
W bój bez pancerza szły piersi człowiecze,
Na nowe strzały — nowi wojownicy.
Na Racławickiem pytaj o nich polu,
Albo w Olszynie Grochowskiej, gdzie groby
Bezkwietne sterczą wśród niemej żałoby....
Idź o nich pytać aż na Kapitolu
I niech ci rzekną turnie Samosiery,
Czyli i po was były bohatery?

UCZEŃ I *(zdumiony)*.

A mimo ciągłych z polskiej krwi strumieni
Myśmy — scholarze — upadli, zgnębieni?

UCZEŃ II.

Nie mylisz się, nie kłamię.

UCZEŃ I.

Cóż nas trzyma?

UCZEŃ II.

Przeszłość o kształtach Anioła — Olbrzyma,
Co po nad nami skrzydła rozpościera,
Przeszłość o cichej, posągowej twarzy,
Gdzie się rumieniec życia już nie żarzy,
Lecz i nadziei brzask nie obumiera.

I ty, rycerzu, pytasz, co nas trzyma?
Ziemia pod nami, smutna, lecz rodzima,
Mowa przejrzysta w wielkich mistrzów straży
I pieśń, nad którą przemoc władzy niema...
Modlitwa, co się potajemnie skarży,
Duch, co na winy spogląda oczyma
Pełnemi skruchy. I patrz — to przeważy —
Krew ludzi prostych... skrzepła u ołtarzy
Podlaskich.

Jasnej nie wkładamy zbroje,
Jak ty, nie idziem na mieczowe boje...
Krew jednak ciekła. Mamy walki swoje.

A może łatwiej życie oddać w szale,
Niż, zapomniawszy o swej własnej chwale,
Żyć dla ojczyzny skromnie i wytrwale...

UCZEŃ I.

Wiem, wiem, scholarze! Nie pastw się nademną.
Cóż więc zgubiło nas? Ja nadaremno
Trwam w myślach.
Boga czyście się wyrzekli?

(Uczeń II daje znak przeczący).

Czy w bratobójczej wojnie się zasiekli?
Albo też wszyscy takeście zgnuśnieli,
Że już stąd żadna jasna myśl nie strzeli,
Nikomu nowych światów nie zakreśli?
Czy w kraju zbrojnych rąk — zabrakło myśli?

Czy jak szaleniec, co podpala gumno,
W którem się zboże chowa na czas głodu,
Wyście wzgardzili tą chlubą narodu,
Tą Szkołą polską dumną, bo rozumną?

UCZEŃ II.

Nie, nie rycerzu.
Zrazu był tu cichy
Poczet magistrów, pobożnych jak mnichy,
I pracowitych. Na szalach subtelnych
Ważyli słowa Greków nieśmiertelnych,
Aby je z prawdą pogodzili Bożą.
I szkoła ta na Wschodzie, wschodnią zorzą
Tak zaświeciła, że z wszelkiego kraju
Od wzgórzy, co się zwierciedlą w Wełtawie,
Od Alp, od brzegów szumnego Dunaju
Szły tu scholary siąść na naszej ławie,

W naukę polskich uczonych ciekawie -
Wsłuchać się.
Później w tej Szkole się ćwiczy
Żak, co ni własnym oczom nie uwierzy,
Ni ludziom. Światy na nowo przemierzy
I kręgi planet wytknie i obliczy.
Na frauenburskiej stojąc potem wieży,
Będzie miał chwilę nadludzką a błogą,
Gdy duchem ujrzy świat.
Wskazaną drogą
Ziemie, miesiące krążą koło słońca,
A ono z jasnym ich orszakiem bieży
I rwie się w ciemne przestrzenie bez końca,
W oddal, gdzie niema kresów ni rubieży,
Gdzie, jak pszenicznych ziarn posiew bogaty,
Lśnią nowe słońca, niewiadome światy.

I znowu inny czar. Jak Venus z piany,
Nagle bóstw dawnych orszak wstał różany,
Odrazu ziemię całą strojąc w róże.
Z lochów poczęły na dzień wracać księgi
I lud Kwirytów zmartwychwstawał tęgi,
Kreślony stylem lub kuty w marmurze.

Z wiosną po świecie powiały nadzieje,
Że skoro wnikniesz w mądrość starożytną,
Musisz mieć duszę pogodną i szczytną,
A sławy twojej żaden wichr nie zwieje.
W błogiem Elysium zamieszkasz wieczyście,
Gdzie, jako świerszcze w ciepły dzień wrześniowy,
Starcy spokojne prowadzą rozmowy,
Krocząc przez kwiatów niewiędnących kiście.

Ledwo się z po za ściany Alp przekradła
Jutrznia i wiara, że się znów odrodzi
Świat, zaraz uczniów gromada, wybladła
Nad pargaminów pismem, tu zasiadła —
Posłuchać, co powiedzą mistrze młodzi,

Poznać tę Piękność, która już nie skona,
Bo niesie kwiecie, owoc i nasiona.

Tu się w Piękności zakochał najpierwszy
Polak, co przejrzał mowy blask, kunszt wierszy.
W ten dzień świąteczny słówkiem go wychwalmy,
Bo jest nam dotąd zdrowy i najszczerszy.
A pił nietylko z greckiej Hippokreny.
Jak wieśniak, pieśni, jak pokutnik — psalmy
Składał. Gdy główki zabrakło mu drogiej,
Sam niewiedzący jak, wypłakał treny...
Że był Polakiem, Kassandry złowrogi
Krzyk zabrzmiał z pierwszych desek polskiej scen.

UCZEŃ I.

I Szkoła ciągle rosła?

UCZEŃ II.

Ile razy
Naród się ocknie ze snu i na lepsze
Odmieni, z murów jej usunąć skazy
Pragnie i ściany ramieniem podeprze.

Był raz w tej szkole mistrz, co w dniach rozpaczy
Nie upadł, w ciszy nie zgnuśniał niemęzkiej,
Lecz rzekł swej duszy: „Nauka tłómaczy
Ludów los, muszą po winach iść klęski,
Po zmartwychwstaniu serc — hejnał zwycięzki“.
I gromko począł wołać: „Wstańcież młodzi;
Przeszłość roztrząsnąć. Prawda wyswobodzi“.

UCZEŃ I.

A czegoż Ona uczy do tej chwili?

UCZEŃ II.

Że gwałt jest gwałtem i kradzież kradzieżą,
Choć się przed ludźmi uniewinnić sili,
Przed ludźmi, którzy wierzyć chcą — więc wierzą.

I mówi, żeśmy sami zawinili
Najwięcej.

UCZEŃ I.

Czemże?

UCZEŃ II.

Tym blichtrem, co myli
Innych i siebie, za czyn biorąc słowo —
Sercem zbyt dumnem, zbyt szaloną głową.

(Chwila ciszy).

UCZEŃ I.

Lecz jeśli tylko przodkowie grzeszyli?
Czy się już tutaj nie modlą w pokorze:
„Za grzechy ojców nie chciej karać Boże!“

UCZEŃ II.

Modlimy się — napróżno. Nowe rody
Zwycięzców wstają i plwają nam w oczy:
„Skoro w was taki żyje duch ochoczy,
Ojczyznę wrócim wam — na krótkie gody.
Wskrzesicie dawne prywaty i waśnie
I z dniem jutrzejszym siła wasza zgaśnie“.

Gdy mi tem słowem bluźnie w twarz szyderca,
Ja głowę schylam, wzejrzeć nie mam serca.

Nas samolubstwo zgubiło.
I ginie
Niem kraj — aż po dziś dzień, w twardej godzinie.

Rzadki, kto u nas zapomni o sobie,
Częstszy, kto gotów — choć świat pójdzie w gruzy —
Gwiazdy z niebiosów rwać ku swej ozdobie,
Na kontuszowe zamieniać je guzy.
Nigdy mądremu nie powiemy: „Prowadź,
Chcemy domostwo wspólne odbudować.

Bądź ty nam sławny, my gardzimy chwałą,
Byle domostwo smutne dni przetrwało".

Kto u nas dzielny, serca bratnie mrozi,
Bo mógłby wyróść po nad nasze głowy.
Każdy wysoki duch równości grozi.
My tylko sługi ciżby pogrzebowej,
Co wówczas mężów czci, gdy legli w grobie:
Dla żywych niema, wymowna w żałobie.

My lada jakie wolimy bożyszcze,
Co sobie rozgłos głośnym krzykiem zyszcze.
Myśmy gotowi oddać hołd każdemu,
Byle do hołdu nie miał prawa.

UCZEŃ I.

Czemu
Ty się nademną znęcasz?

UCZEŃ II.

Ja?

UCZEŃ I.

Człowieku,
Wszakże mi w serce ćwiek wbijasz po ćwieku
I patrzysz, jak się krwawię. Gdy kamieniem
Rzucasz na przeszłość, myślisz, że sumieniem
Nie czuję, że potępiasz mnie?
Jam ciałem
Synów nie spłodził, lecz duchem wydałem
Tych wszystkich wichrzycieli, tych ospałych,
I tylko mieczem a nie duszą śmiałych.

Teraz już dobrze wiem, pocom na ziemię
Wrócił: by ujrzeć niezliczone plemię
Potomków gnuśnych. Męki nadto mało
Zaznałem, skoro mię jeszcze czekało
Takie zwątpienie.

(Chwyta się za głowę).

Tam, zkąd idę wrócić,
W bezdenną otchłań żaru, mąk się rzucić,
Zgryzot zapomnieć —
Uwierzyć w nadzieję!

UCZEŃ II.

Cicho, rycerzu, widzisz, jak bieleje
Okno, nasiąka blaskiem.
Patrz, co świta
Z porannych mroków... Jakiś kształt się dźwiga,
Urasta. Jakaś anielska kobieta
Z mgieł się wyłania, żywa.

UCZEŃ I.

Na kolana!
Czyś jej nie poznał?

(Przyklęka).

Królowa Jadwiga
W niebiańskich blasków złoto przyodziana.

(W oknie w głębi sceny ukazuje się nieruchoma Jadwiga, w królewskim majestacie. Mówi do klęczącego pierwszego ucznia).

WIDZENIE.

Powstań, idź za mną!
Skoro całą drogę
Boleści dusze przejdą i opłaczą
Wszystkie swe grzechy, skoro się z rozpaczą
Schylą nad piekła toń — wtedy je mogę
Zawieść w melodyi ciche, jasne kręgi,
Wokoło Bożej ruchome potęgi.

Za mną rycerzu.
Wina twa po winie
Nikła, jak krople ros w rannej godzinie,
Gdy z widnokręgu młode wstaje słońce
I pije wszystkie kwiatów łzy na łące.
Za mną!

UCZEŃ II.

Pozostań z nami, o Królowo!
Jest właśnie ranek. Jak światło wschodzące,
Wypij łzy nasze.
Rzuć przebaczeń słowo,
Albo nam powiedz, jakie łzy wylewać —
By żyć, by ożyć, aby się spodziewać.

WIDZENIE.

Słuchaj scholarze, najdroższy mi synu,
Bo najbiedniejszy.
Nie chcę łez. Chcę czynu.

Masz jeszcze matkę? Mów jej, by została
Taką, jak była dotąd, ufna, biała,
Mów jej, że przyszłość w dzielnych kobiet ręku,
Niewiast bez zdrady, zwątpienia i lęku.

I rad posłuchaj, które matka powie:
Życie ci dała, da ci moc i zdrowie
I zaprowadzi do stóp Karmicielki,
Polski, Wszech-Matki, zbolałej lecz wielkiej.

Tylko zwątpienia nie znaj. Ono więcej
W otchłań rzuciło tysiąców tysięcy,
Niż zbrodnie i przekupstwa.
Nie uciekaj
Od pracy, choćby marnej, z serc wywlekaj
Ostygłych — jakiś zapał, żyj i czekaj.

Nas słowo Boże nie w przepaść wtrąciło
Lecz w próbę bólu pod głuchą mogiłą —
I my możemy z niej wyjść ducha siłą.

Nie wątp, scholarze! Słuchaj, z mej niewieściej
Historyi — powiem ci trzy przypowieści.

Kochałam tylko raz.
Wiesz, co kobiecie

Szlachetnej miłość daje?
Życie, życie.

Jam się miłości wyparła.

To pierwsza
Moja ofiara, największa, najszczersza.

Widzisz, chwilami nawet łaskę nieba,
Najczystszy serca brzask poświęcić trzeba.

Raz biednym chłopom chudobę odbili.
Jagiełło kazał oddać. Od tej chwili
Mnie jednak ciągła, tajemna myśl smuci,
Że niemasz władzy, która łzy powróci.

I tę naukę, scholarze, spamiętasz:
Cicho masz wkraczać na ludzkich mąk cmentarz.
Nie dość biedniejszym szkatułę otworzyć,
Trzeba ból poznać, pokochać, zrozumieć,
I gdy się złoto składa, trzeba umieć
Między dukaty własne serce włożyć.

Kiedy ta Szkoła miała wstać na nowo,
Ja byłam Polką, nie tylko królową.
Dałam co było w mocy mej.
Nauki
Nigdym nie miała, nie znam żadnej sztuki,
Prócz poświęcenia i prócz cichej cnoty.

Więc z piersi zdarłam dla kraju klejnoty.

Ojczyźnie trzeba oddać pierwszy złoty
Grosz i myśl złotą, złotodajną pracę,
A ja, królowa Jadwiga, co stoję
W błękitach, patrząc czy dzierżawy moje
Są czyste, ja wam, szlachetni, odpłacę.

Nie dość mi jedną dziś wyzwolić duszę.
Ziemi tej jasne szczęście wrócić mogę.

A znam was, póki całe, duże kraje
Cierpią, nikomu z was radość nie wstaje.
Więc trwajcie wszyscy w męztwie, woli, skrusze.

Ja was nie tylko na gwiaździstą drogę
Za sobą wezmę, dawne łzy osuszę,

Dziś, ja wam wszystkie łzy powrócić mogę.

Konstanty M. Górski.



„Z pred sto let"

1901

Czas z Wtorku 1 Stycznia 1901 r. –

Z przed stu lat.

— — —

Dziś, kiedy żegnamy wiek XIX, tak pełen illuzyj, tak potem obfity w rozczarowania i zawody, warto może przypomnieć głos, którym powitano, ubiegłe stulecie, głos zasmuconego mędrca, wielkiego śpiewaka wśród wielkiego, podówczas nieszczęśliwego narodu.

Fryderyk Schiller zapatrywał się optymistycznie na początki francuzkiej Rewolucyi, wkrótce jednak popadł w zniechęcenie, w trwogę o przyszłość. Na pograniczu stulecia spoglądał ku nowemu wiekowi z boleścią i rezygnacyą, ufając jedynie w tę wolność i w tę piękność, które sen lub ów mąż wybrany we własnem sercu wychoduje i uchowa.

Wiersz p. t. „Der Antritt des neuen Jahrhunderts" – jest z tego względu ciekawy, że, z wyjątkiem ustępu, poświęconego Francyi, nie stracił na aktualności, a wojna w Transvaalu przynosi tylko nowy dowód na poparcie zdania Schillera o Anglii. – Miejsce jednej Francyi zajęły zresztą inne liczne potęgi, o wiele chciwsze, niebezpieczniejsze dla wolności świata.

— — —

Niżej umieszczone spolszczenie strof niemieckich, nie jest zupełnie dosłowne. „Naśladowaniem" nazwać go jednak nie można. Powiedzmy raczej: „wolny przekład."

Na początek nowego stulecia.
poemat Fryderyka Schillera.

Gdzie schronisko jest dziś dla pokoju,
Dla wolności bezpieczna kraina?
Wiek się stary zakończył wśród boju,
A morderstwem się nowy zaczyna.
Dawny węzeł rozdarły narody,
Stare kształty się w gruz rozsypały.
Nie wstrzymają dziś burz Renu wody,
Nilu głębie, ani morskie wały.
By dla siebie całą zdobyć ziemię,
Dwa olbrzymie ludy w szranki idą.
Chcą z wolności wszędzie odrzeć plemię,
Gromem walczą i trójzębną dzidą.
Zewsząd złoto każą nieść podkłady,
A jak niegdyś Brennus w dzikim szale,
Rzuca Francuz ciężar swojej szpady
Na Słuszności zachwiane szale.
Jak ramiona polypowe głodne,
Anglik na świat wysyła okręty.
Jak dom własny, chce zawrzeć swobodne
Amfitrydy błękitnej odmęty.
Ku południa gwiazdozbiorom bieży,
Do każdego ostrowu i kraju...
Tysiące lądów posiadł i wybrzeży...
A jednego nie odnalazł: – Raju.

Ach, napróżno chcesz po mapach ziemi
Szukać, kędy ciche szczęście rośnie,
Pod drzewami Wolność zielonemi,
Ludzkość w młodej raduje się wiośnie.
Łodzie krążą po ogromnym świecie,
Przed swojemi leży on oczyma...
A na jego niezmierzonym grzbiecie
Dla dziesięciu szczęsnych — miejsca niema.
W serca ciche, tajemne świątynie
Uciec trzeba z twardej życia cieśni.
Wolność kwitnie tylko w snów krainie,
A szlachetna Piękność — tylko w pieśni.

Tłomaczył K. M. Górski.



Nowele

Dwa posągi.

Odmiana ? 2

Biblioman ? czy przedrukowac



7669

Odmiana

1892

z rodzicem, i stał się znamieniem boru. Lecz że *signa militaria* powstały podobnie niezależnie i może w kilku na raz miejscach tego samego kraju, jak i *signa mellifiera*, że te same ciosna dworskie i domowe ze wzrostem złożoności społecznéj wydały z siebie, odpowiednio do położenia posiadacza, marki tkackie i kupieckie, herby rycerskie pierwotne, znamiona bartnicze i rybackie, gmerki pasterskie w różnych punktach globu, bez wieści o sobie, jest to niewątpliwém. Nawet owa włócznia, będąca u naszego pierwotnego rycerstwa niby powtórzeniem runy *tyr*, a widniejąca w herbie seniorów, nawet i ona nie wymaga zapożyczenia od Skandynawczyków. Jest to znak dzirytowy, — ostrewka, powiedział-by bartnik kamieniecki. Właśnie ponieważ była znakiem oręża, stała się znamieniem godności seniorskiéj, t. j.: wodza hufca rodowego, który ją kładł tuż obok znaku rodowego. Podobnie runa skandynawska, z kształtu swego przypominająca włócznię, właśnie dla tego kształtu została w legendzie mitycznéj związana z bogiem wojny. Jedno i drugie dokonało się nawzajem od siebie niezależnie. Wobec tego wszystkiego wniosek p. Piekosińskiego, oparty na rozebranych przesłankach, że „nie z innego źródła, jak wprost od Normanów, rycerstwo polskie znaki swoje chorągiewne (t. j. pierwotne herby) przejęło,“ wydaje się nam wysoce nieprawdopodobnym.

(Dokończenie nastąpi).

L. Krzywicki.



[Biblioteka Warszawska, 1892 r.]

Czy drukować

może nie?

ODMIANA.

Jest zawsze coś strasznego we wspomnieniu człowieka, który się sam zabił, jakby coś zimnego w dotknięciu każdéj po nim pozostałéj pamiątki. W ciągu dwóch ostatnich lat życia, które spędził w Warszawie, obracał się Orzelski w nieliczném kole znajomych, którzy tak przywykli do jego twarzy poczciwéj i szczeréj, że kiedy się rozeszła wieść o jego samobójstwie, zapanował w przyjaznych domach wielki żal i długi przykry niepokój. Zmarły wracał wciąż do rozmów, a czasem stawał kobietom podczas snu na oczy, wyprostowany, obrócony twarzą nieco wyblakłą, z plamą krwawą na koszuli u fraka, — bo w takim stroju zwykły go widywać. Orzelski należał do rzadkich artystów, znajdujących przyjemność w towarzyskiém życiu wykwintnych sfer, do których się sam liczył pochodzeniem i wychowaniem; należał do tych już mniéj rzadkich, których kobiety szczerze lubią, bo czują, że są im potrzebne, nawet do tworzenia. Odpłacał im téż żywo tę sympatyę, a kiedy poznał wśród nich jaką głębszą, subtelniejszą istotę, umiał jéj wybornie okazywać i jak bardzo dba o jéj przyjaźń, i jak jéj oddaje, co tylko posiada najlepszego w myśli i w uczuciu. Miał tylko jeden sposób wyrażania sympatyi: zaufanie, i tylko jeden sposób wyróżnienia przyjaciółek: oto nie silił się na nic, był z niemi zupełnie swobodny i prosty, odsłaniał przed niemi, co mu się w duszy działo. Artystyczne zwierzenia były całą jego męską kokieteryą. Kiedy w małém gronie mówił o obrazie, który ma ochotę malować, zdawało się, że wszystkie instyn-

kta kobiet wzywa do współpracownictwa, takie miewał wtedy łagodne spojrzenie, domagające się szczerości za szczerość, prawdy nie pochwały. Nie żeby tak polegał na czyimkolwiek artystycznym sądzie, ale ufał, że kobiety wykwintne i przychylne, znające go dobrze, odczuwające jego naturę, zdołają rozpoznać, w którém dziele będzie najszczerszym artystycznie, najbardziéj samym sobą. Im pochlebiało to troszeczkę, a nie miały żadnego powodu, aby się liczyć ze słowami, opierać się wewnętrznemu uczuciu, które kazało uśmiechać się do planów, cieszyć się niemi i chwalić. Bo nie mogło tu zajść żadne nieporozumienie; Orzelski nie wyróżniał żadnéj z pań swego kółka, a jednak znał je dobrze i, w godzinach poufniejszéj rozmowy sam na sam, wiedział, co któréj specyalnego powiadać. Najswobodniéj mu było w salonie pani Iwieńskiéj, któréj mąż był dalekim jego krewnym; czuł instynktownie, że najpiękniejsza z jego przyjaciółek i najzimniejsza z pozoru, ma najbardziéj wrażliwe usposobienie, i że nowożytne, artystyczne jego poglądy, spoczywają wszystkie w jéj duszy w kształcie szczerych, niezbudzonych poczuć. Ale całe otoczenie zdawało sobie doskonale sprawę z tego, że jest to prosta przyjaźń, owa zwykła sympatya, łącząca często inteligentne zamężne kobiety z człowiekiem nieco odmiennym, zapewne nie bardzo szczęśliwym, niemal sławnym. Pani Iwieńska chciała go nawet żenić i przyjaciółki dopomagały jéj do tego. Ale dwóch rzeczy nie mogły wymódz na Orzelskim: obietnicy, że na seryo pomyśli o małżeństwie — i pozwolenia wejścia do pracowni. Wymawiał się zawsze nieładem, którego się wstydzi, i tém, że niewykończonych robót nie należy pokazywać nawet najżyczliwszym. Co się małżeństwa tyczy, odpowiadał, że późniéj, późniéj, jak skończy obrazy, które ma na warsztacie — i zapadał w milczenie, jak zawsze, kiedy mu kto zaczął rozwijać dalekie plany na przyszłość. Przez jakiś czas układano w gronie przyjaciół pani Iwieńskiéj różne projekta wspólnych wypraw i podróży. Trzeba-by się kiedy wybrać do Wenecyi w Sierpniu na doroczne święto gondolierów. Trzeba raz zobaczyć prawdziwą walkę byków, a nie jéj kopię w Paryżu, i prawdziwe arcydzieła Velasqueza w Prado, albo przynajmniéj autentyczne Rembrandty w Amsterdamie. Raz zamarzono podróż do Indyi i mówiono o niéj cały wieczór, dziwiąc się, że, taki zwykle skłonny do zapału, Orzelski, milczy i zdaje się siedziéć jak na węglach. Przez parę dni przestał chodzić do znajomych, dopóki nie minęła mania dalekich projektów, które go widocznie niecierpliwiły. Jeżeli chcą, niech sobie jadą, tylko niech jego czasem nikt nie rozporządza. Pojedzie i on, ale nie teraz. Naprzód trzeba wymęczyć obrazy!

Majątek Orzelskiego pozwalał-by na takie fantazye i podróże; miał on kilka tysięcy rubli rocznego dochodu. Zbliżały go one zupełnie

do świata, z którego wybrańcami się zadawał, i usuwały owo zakłopotanie, które często nie pozwala ludziom salonowym wejść w bliższe stosunki z najmilszym człowiekiem, jeżeli musi się liczyć z każdym groszem wydatku. Mężczyźni, światowcy i członkowie klubu, przestawali chętnie z Orzelskim, nawpół ujęci jego niewieścią naturą, nawpół przekonani, że jest coś bardziéj męskiego w nich, którzy nie potrzebują kobiecéj rady i zachęty. Zresztą nie wchodził on im nigdzie w drogę, nie bywał rywalem. Dopiero w ostatnim roku zaczęli się panowie skarżyć, że Orzelski mówi tylko o sobie, o swoich zamierzonych obrazach i dziwili się, że go kobiety mogą jeszcze słuchać i wypytywać. Zastawał coraz częściéj same panie na poufnych herbatach, a jeżeli był tam i kto z mężczyzn, to wynosił się niezadługo do klubu, gdzie coraz częściéj słychać było okrzyk: „a to nas malarz spiłował!" I rzeczywiście Orzelski nie umiał już o niczém mówić, tylko o swoich pracach i to czasami o tylu naraz, że niewiadomo było, co właściwie maluje, a nic nie wychodziło z pracowni. Znalazł się wtedy stary, bezczynny kawaler, trochę zazdrosny o łaski kobiet dla malarza, i ten go zaczął śledzić. Podejrzywał go bowiem o jakąś miłość i nie mógł sobie inaczéj wytłómaczyć ani jego nieprodukcyjności, ani tajemnicy, która jego mieszkanie otacza. Zawiódł się jednak zupełnie. Nie odkrył w życiu Orzelskiego żadnéj kobiety, ani damy światowéj, ani nawet modelki.

Naraz spadła wieść o samobójstwie. Niepodobna go było ukryć i musiano pochować ciało w nieświęconéj ziemi na Powązkach. Nieliczni przyjaciele, bawiący wtedy w Warszawie, postanowili zaraz zatrzéć przykre wrażenie, zrehabilitować nieboszczyka, urządzając wystawę prac po nim pozostałych. Ale nie znaleziono w pracowni obrazów, o których tak często opowiadał, i tylko cykl studyów wiosennych wisiał dookoła po ścianach, wśród których stała teraz trumna. Wesołe, radosne sceny, rzucane śmiało na płótno: drzewa jeszcze bez liści, ale już mniéj szare, niż zimą, i na gałązkach w dzień jasny, jakby złota siatka od młodego słońca; wody stojące po łąkach, marszczone, ultramarynowe; kwietniowe ogródki z bielonemi wapnem pniami drzew i liliami, których odrośle, jak miecze zielone, wydobywają się na powierzchnię szarych pulchnych zagonów. Po-za tém tylko kilka dużych płócien ledwo poznaczonych, albo miejscami tak przemalowanych, tak wymęczonych i nieudolnych, że lepiéj było nie pokazywać ich publiczności. Odstąpiono od projektu wystawy i znajomi zaczęli tak mówić o Orzelskim, jak gdyby ich był oszukał. Bo ludzie kochają rzadko w człowieku jego wewnętrzną, duchową istotę, ale to raczéj, czego się po nim spodziewają, a co zazwyczaj jest tylko drobną miarą jego natury, niedostatecznym, błahym jéj objawem. Jedna pani Iwieńska broniła uparcie pamięci Orzelskiego, nie pozwalając, aby szarpano czło-

wieka, który się bronić nie może. Brzydziło ją to naruszanie tajemnicy jego nieszczęść i ciszy jego grobu. Inni przeszli nad nim szybko do porządku dziennego, zadawalniając się hypotezą próżniactwa, braku charakteru i woli. Ostatecznie — mówiono — był to tylko dyletant, światowiec, który wmawiał w siebie i w drugich, że jest artystą, bo mu z tém było do twarzy. Dowiódł tego zresztą swoim końcem. Gdyby był naprawdę kochał sztukę, zastąpiła-by mu ona była wszystko. Tak po salonach, gdzie Orzelski zwykł był przesiadywać, rezonowali wieczorami różni ludzie, którzy nic nie kochali, nawet sztuki, i poważni mężczyźni odbijali się teraz na pamięci malarza, ubolewając długo nad naszém niedołęztwem. Rozchwytywano wtedy właśnie pierwsze odcinki „Bez dogmatu", więc niepodobna było usłyszéć nazwiska Orzelskiego, aby w ślad za tém ktoś nie wymówił, jakby automatycznie, tych dwóch wyrazów: *improductivité slave.*

W istocie miała się rzecz zupełnie inaczéj. Kiedy Orzelski, blizki już lat trzydziestu, przybył do Warszawy, wioząc medal z paryskiego salonu i medal monachijskiéj wystawy, kończyły się piękne dni jesienne i niebawem, obudzony raz twardém, silniejszém światłem, ujrzał na przeciwległych domach dachy białe. Nie odrazu oswoił się z krajobrazem, od którego był odwykł oddawna. Bo chociaż Włochy nie wabią dziś wogóle takich nowożytnych pejzażystów, jakim on był do głębi, przesiadywał długo w Lombardyi i obserwował plamę barwną w téj naturze, gdzie dawni mistrze widywali zazwyczaj tylko linie. Wśród naszéj zimy budziła się w nim bardzo wolno miłość swojskiego krajobrazu i północnego oświetlenia. Imponowała mu tylko siła tonu w dnie odwilży i lubił wieczory na Nowym-Świecie, w chwili gdy, stojąc blizko Chmielnéj, widzi się wygiętą w łuk mroczną ulicę z wieżami św. Krzyża w głębi. Po-nad kościołem idą w zarumienioném lekko niebie powolne stada wron zimowych, i latarnie, zapalając się kolejno, znaczą zakrzywioną nieco linię domów punkcikami żółtemi w pomroku i niezdolnemi jeszcze promieniéć. Żałował nieraz, że ruch ulicy nie pozwala mu się rozgospodarować w jakiéj bramie i zanotować w albumie choć pobieżnie tego wrażenia, które, mimo turkotu powozów, dzwonka tramwajów i szalonego pędu dorożek po nierównym bruku, było kojące i ciche. Zajął się zresztą umeblowaniem mieszkania i pracowni, chciał ożywić swą, górném światłem oświeconą, klatkę, barwnością makat, na których białemi, trochę martwemi plamami były gipsowe odlewy popiersi i masek. Nie mógł zwyciężyć szarości, nawet kilimkami i dywanami, nie mógł się oswoić z wielką, chłodną izbą, ni z jéj samotnością grobową. Należał on zresztą do tych malarzy, którzy pojmują jedynie robotę na powietrzu, studya w polu i uważają zimę za epokę bezczynności, odrętwienia, spokoju. Chwilami tylko zapalał się wieczorem do

kontrastu różnorodnych oświetleń, do tęczy, która się we mgle tworzy wkoło miejskich latarni, do jaskrawych strug światła, płynących z okien, przez które widać trochę złoceń i czerwonych obić, a nad któremi zwiesza się z rynien zimny śnieg błękitnawy. Wchodził na podwórza nizkich domów, gdzie go wabiły lampy parterowych nędznych mieszkań, przeglądające z za przesłon kolorowych. Zaczął małą scenę nocną, odbywającą się w ubogiéj dzielnicy u wrót jarzącego blaskiem szynku, i podmalował duże płótno nocnym widokiem placu przed kościołem Wizytek, u którego drzwi stawały powozy weselnego orszaku. Pracował jednak bez zapału, zmuszony do roboty z pamięci, na podstawie wrażeń, których nie mógł utrwalać na miejscu. Kiedy się ściemniało, nie wiedział, co począć, odnowił więc stosunki z Iwieńskimi i poznał niebawem całe inteligentne grono, które się u nich zbierało. Składało się ono z ludzi światowych, ale nie wyłącznie oddanych przemocy świata, od któréj nie każdy otrząsnąć się umie. Wśród salonowego życia Warszawy istniało niemal ukryte kółko, rade pomówić o pojęciach, przekonaniach i prądach, nietylko o osobach. Bywają bowiem jeszcze ludzie, dla których dobra książka jest zdarzeniem i nowy obraz przedmiotem rzeczywistego zajęcia. Orzelskiemu było tam odrazu swojsko. Ujął wszystkich swobodą, zacięciem w rozmowie, przywiązał prostotą i głębokością poczuć. O sztuce mówił wtedy mało i nie wspominał wcale o własnych obrazach. Panie, do których miał się z biegiem czasu zbliżyć, znały go teraz jako uprzejmego, wytwornego człowieka, który się czasem wyrażał językiem pracowni, barwnym, nowym i dobitnym. Nazywano go też krótko: malarz. Odcień sławy nie ujmował mu témbardziéj uroku, że zdawał się dopiero zapowiedzią istotnéj wielkości.

Nadszedł karnawał i post, ale znajome Orzelskiego nie zawsze były wierne zabawom, zapraszały go zresztą chętnie na herbatę przed balem lub rautem. Trwało to do wiosny, a wtedy malarz znikł naraz z widowni. Odwykł on już był od radości, którą tylko u nas po zimie daje ciepły Kwiecień. Natura nie odmładza się stopniowo, jak we Włoszech, gdzie delikatna zieleń akacyi budzi się zwolna wśród platanów, laurów i dębów wiecznie zielonych. Nie, nagle osiadają na krzakach bzu jakby roje zielonych muszek i motyli i długie gałązki wierzb płaczących zamieniają się w sznury paciorków jasnozielonawe. Wszystko się naraz barwi od hyacyntów, które w doniczkach sprzedają na ulicach i od weselszych letnich toalet kobiecych. W dni ciepłe i senne zaczynają niecierpliwie kopać po ogródkach, a okna inspektów świecą mocno tęczowemi szybami, sto razy płukanemi przez deszcz i osuszanemi przez słońce. Potém kasztany rozsadzają lepkie swoje pąki i wydłużają z każdym dniem szarawe jęzory, z których będą liście. Za po-

bielałemi nagle w słońcu murami sadów widać niespodzianie drzewa owocowe w białéj pianie kwiecia, a niebo zdaje się nad niemi błękitniejszém i świeższém. Pod wiatrakami Woli, które się zaczęły żywiéj ruszać, po ogrodach, po gładkich polach w blizkości Powązek siadywał teraz Orzelski całemi dniami. Była to epoka ochoty i pracy, jakiéj jeszcze nigdy w życiu nie zaznał. Przypominało mu się co chwila dzieciństwo i dawne radości na widok tylu barw i słońca. Pojął, że naprawdę urodził się malarzem téj wiosny, z wszystkiemi poczuciami téj ziemi i tego krajobrazu. Na malowanie większego dzieła nie mógł się zdecydować, bo każdego dnia rad-by był zacząć inne, a że miał wstręt do wszelkich niepokończonych przedsięwzięć, pogodził się wreszcie z myślą, że obraz zacznie późniéj, na podstawie studyów, a teraz notował skrzętnie na małych płótnach wrażenia, wrażenia, wrażenia.

Prowadził życie zupełnie cygańskie, żyjąc cały dzień lada czém, i wracał dopiero wieczorem do domu, gdzie się zazwyczaj kładł ze zmęczenia na łóżko. Zawsze śniady na twarzy, teraz był prawie czarny od słońca; pożółkły mu białka oczu, zwykle nieco sinawe. Raz, po kilkodniowém już malowaniu przy zarastających trawą jeziorkach, wrócił tak zmęczony, że zaraz się rozebrał i nie wstał już nazajutrz. Po dwóch tygodniach zdeklarował się tyfus i przez kilkanaście dni lękano się o niego. Wydobrzał dopiero pod jesień i w końcu Września był już prawie swój, ale nie zaczął malować. Odradzali mu tego znajomi, zakazywali doktorzy. Nie miał zresztą chwilowo żadnéj ku temu ochoty. W malignie mówił był wciąż o obrazach, ale teraz dał sobie wakacye, potrzebował wywczasu. Kiedy znajomi z przeszłéj zimy zaczęli znów napełniać miasto, powrócił do nich bledszy, smutniejszy, bardziéj skłonny do poufnych rozmów, do zajmowania się samym sobą i do szukania przyjaźni. Był to stan człowieka, który się dotąd czuł zawsze zdrowym i ufnym, a poznał naraz zwodniczość sił fizycznych i wielką kruchość życia.

W jasne dni październikowe lubił wyciągać znajomych na wieś, organizować spacery powozem. Zdawało się, że rad-by znowu znaléźć się w polu, ale nie chce być sam wśród natury. Może się lękał, że go tam znów samotnego pochwyci choroba nad jakim ługiem wilgotnym. Patrzał wokoło siebie, ale o malowaniu nie myślał. Tęsknił do dni wiosennych, gdzie wszystko błękitniało—i niebo, i dal widnokrężna, i wody. Mówił, że na pustych rżyskach jest odrębna światłość różana, ale smuciła go ich martwa przestrzeń gładka. Doznawał chwilami wrażenia, że jest jakaś przesłona, jakaś obojętność między nim a naturą, że widzi ją dobrze, jak dawniéj, ale jéj tak bezpośrednio nie odczuwa. Zaczynał zdawać sobie z tego sprawę, że artystyczna wrażliwość jest tém subtelniejsza, im swobodniejszym, silniejszym jest sam artysta, że trzeba

dużo spokoju i pogody, aby dusza, jak czyste źwierciadło, brała w siebie cały świat zewnętrzny. Są tacy, co muszą się wprawić w stan nerwowy, aby malować albo pisać; on potrzebował uspokoić, uśpić zbytek nerwów, ażeby mógł tworzyć. A tymczasem siły powracały mu zwolna, coś dolegało mu ciągle, trapił się długością swéj niemocy. Na świecie zaś szarzało i nadchodziła zima miejska, bezbarwna, smutna, nieograniczenie czarna w dnie kapiącéj z dachów odwilży, biała w dnie śnieżycy.

Raz, kiedy się zabieliło i zrobiło jaśniéj w mieszkaniu, zabrał się do malowania z niecierpliwością i razem z obawą. Sądził, że odżyje, doznając dawnych wrażeń, dawnéj gorączki przy pracy. Wyciągnął obydwa przeszłoroczne, nieskończone obrazy. Zrazu przypatrzył im się, jak obcym robotom, odstąpił od nich i uśmiechnął się do siebie. Były dobrze zaczęte i wymagały jeszcze tylko pracy. Ale już tego samego dnia zaczął coś odmieniać, chciał przenosić to światło, to figury na inną stronę płótna. Po tygodniu przerywanéj roboty nad jednym i nad drugim obrazem, zwątpił o obydwóch. Nie zaraz jednak odstąpił od nich; znał dobrze wahającą się, lękliwą swą naturę. Aż zaczęły go obydwa nudzić, męczyć, gniewać. Czuł się znużonym i sennym od samego rana, opuszczał wcześnie pracownię i tłómaczył się z tego znajomym. Już to zima nie jest jego porą roku. Nigdy jéj nie lubił, nie odczuwał artystycznie. I przeszłéj zimy szło mu jak z kamienia. Strawił kilka miesięcy na studyach, które nie doprowadziły do żadnego obrazu. Trzeba poczekać do wiosny.

Co rano, budząc się, przyznawał, że robotę porzucił wczoraj nadto śpiesznie, w błahém rozdrażnieniu, i że obrazy postępują zbyt wolno. Zabierał się do pracy z gorączką, z nadzieją, że mu dobrze pójdzie, że się prędko obydwóch robót pozbędzie. Po kilku tygodniach porzucił jednak zupełnie „Szynk", kilka razy przemalowywany, i postanowił zespolić całą energię na wykończenie „Placu przed Wizytkami." Obliczał przedtém, że z końcem Stycznia obraz powinien być gotów, ale w połowie Lutego wiedział już, że mu potrzeba jeszcze przynajmniéj dwóch miesięcy roboty. Orzelski czuł, że się w nim coś zmieniło. Czy ręka nie była posłuszna woli? czy on nie umie już rozłożyć na poszczególne barwy tego, co ma w głowie, i jest jak człowiek, co wskutek choroby próżno szuka wyrazów? Brała go nieraz przed płótnem taka nerwowa obawa, że odkładał paletę, chodził po pokoju, a często, zapiąwszy paltot pod szyję i nacisnąwszy kapelusz na oczy, szedł się przejść, najczęściéj nad Wisłę, i wracał zasmucony głęboką nędzą szarego krajobrazu. Czarna rzeka płynęła dołem wśród brzegów błotnych i rozdeptanego śniegu; przed tylną fasadą zamku sterczały po drzewach nagie pęki popielatych gałęzi. Dawniéj malarze pytali się wciąż Orzelskiego:

„gdzieś ty mógł odkryć taki pyszny motyw do obrazu?" Nie wiedzieli nieraz, że sami przechodzili sto razy obok tegoż widoku w naturze. Dzisiaj błąkał się Orzelski po świecie, tak ślepy, jak oni, i rozumował w rozpalonéj głowie, dla czego go nic nie zajmuje i do malowania nie nęci? Wróciwszy z takiéj przechadzki, nie czuł orzeźwienia ani nowéj siły i musiał znowu odkładać pracę do jutra. Czekał jedynie wieczoru. Lubił już tylko jedną rzecz: rozmowę z ludźmi, którzy nie wiedzieli, że cierpi, i wierzyli stale w jego talent. Pani Iwieńska urządzała w tym roku wielką dobroczynną fetę i „malarz" musiał jéj ułożyć żywe obrazy. Podjął się tego niechętnie, ale zapalił się wnet do sprawy, gonił za strojami, dobierał dekoracye i spędził parę dni rozkosznych. Grupy miały wielkie powodzenie, Orzelski cieszył się niém tak żywo, jak kiedy po raz pierwszy wystawił obrazek w oknie monachijskiego *Kunsthändlera*. Po tygodniu, za powrotem do pracy, wróciło zniechęcenie. Żywe obrazy przysporzyły mu wiele znajomości i musiał się czasem ukazywać na wielkich zebraniach światowych. Obsypywano go admiracyami i mówiono mu w twarz o jego genialnych zdolnościach. Ale przestano niebawem, bo nieraz ucinał niegrzecznie najlepiéj przygotowany komplement. Nazwano to oczywiście złém wychowaniem i pozą.

Orzelski zamknął się wtedy w kółku pani Iwieńskiéj, która siadywała podówczas dużo w domu, mając chwilowo u siebie siostrzenicę ze wsi, pannę Lizę, młodziutką panienkę, o włosach tak jasnych i tak obfitych, jak snop dojrzałego zboża. Ona nie znała jeszcze wszystkich artystycznych planów Orzelskiego, zaczął je więc jéj opowiadać po kolei, widząc, że słucha i rozumie, a patrzy się to w niego, to w obraz, który jéj gestem, mimiką wystawiał niejako przed oczy. Brał wtedy jaką makatę za format swego płótna albo między ramami kominka szykował swoje postacie. Rysował je ręką w powietrzu, albo, jak rzeźbiarz, z gliny zdawał się je modelować wielkim palcem. Mówił bardzo prosto a przekonywająco, naprzód cicho, jak gdyby się z czém zwierzał, ale powoli zapalał się i ręka biegała po idealnéj płaszczyźnie obrazu, wyprężona, ruchliwa, jak szpachla malarska. „Trzeba-by to tylko umiéć zrobić, wydobyć" — tak mówił z początku; po chwili przechodził do technicznych środków i opowiadał już, jak zrobi. „Widzi pani—a zwracał się wtedy do Lizy, która sama trochę malowała — w całém tle będzie po prostu kobalt. Czy Pani zauważyła, ile jest niebieskiego w takie dni kwietniowe? Na pniach tych błękitnawych, na krzewach trochę zieleni bardzo jasnéj, jak to wtedy bywają liście na porzeczkach. A u tego drzewa na pierwszym planie wydobędę sobie gałąź kraplakiem. Wtedy mi wyjdzie z obrazu." Biedna Liza była bardzo wdzięczna temu rozumnemu człowiekowi, który tak dba o nią, jak ona

o niego dbać zaczyna. Nie domyślała się, że on chciał się tylko przekonać, czy jest co w tych pomysłach do obrazów, czy zdolny jest jeszcze tak odczuwać naturę, aby samo opowiadanie jego wrażeń mogło kogo pociągnąć i zająć, czy jeszcze się w nim coś pali? W oczach jéj widział zapewnienie swego talentu, a zajęty wyłącznie obawą o twórczość, nie przypuścił, że dziewczątko przeniesie podziw z obrazu na malarza. Kiedy pani Iwieńska wspomniała mu raz, nie bez planu, o zaletach Lizy, odpowiedział jéj po prostu wyrazistym swoim językiem: „Wiem, wiem. Ma w duszy subtelny kamerton; chwyta nim wszystkie dźwięki i dyssonanse takiéj rozstrojonéj gitary, jak dusza malarza.” Gdyby się był nawet czego domyślił, czyż miał-by był odwagę wplatać taką istotę w swoje dziwaczne, nieszczęśliwe życie? Ale Liza znikła nagle z Warszawy, niewiadomo dlaczego. Orzelski żałował jéj trochę, ale nie przestał przed innymi rozwijać nowych planów. Ile razy czuł się podnieconym, weselszym, ile razy zeszła rozmowa na jakie poufniejsze tory, albo na głębsze psychologiczne zagadnienia, mówił rad o swoich pragnieniach, ufnościach artystycznych i tak się czasem upajał własnemi słowami, że się nazajutrz czuł słaby, jak po prawdziwém upiciu. A wracał wciąż do wiosny, do wiosennych tematów. Zestawiał w projektowanym obrazie białe koszule i pstre wełniaki dziewczyn z ciemniejszą zielenią łąki podczas sianokosu. Albo tłómaczył efekt olśniewająco białych plam, które tworzą chałupy na tle niebios bladych. Stawał wtedy, przyklękał, oznaczał ręką linię horyzontu i patrzał, mrużąc oczy, jak malarz, kiedy obserwuje naturę.

Skończywszy, trzeźwiał naraz, smutniał i nie spoglądał nikomu w oczy, aż się po chwili obejrzał po wszystkich, trochę zawstydzony, że ludzi sobą zajmuje. Wyrobiło się teraz u niego takie wymyślne poczucie szczerości, że za pierwszym wyrazem rozpoznawał wartość sądu po intonacyi głosu. Kobietom łatwo było chwalić, bo jakże nie ma być obraz dobrym, kiedy się malarz tak zapala i wie już nawet, jak go zrobi, czém efekt wydobędzie. On wtedy odpoczywał, milczał, ale mu się pierś literalnie wznosiła pod śmielszym, obfitszym oddechem. Po chwili brał za kapelusz, twierdząc, że musi wstać rano. Złośliwy stary kawaler powtarzał, że malarz może iść spać, bo już odmówił swój brewiarz. Orzelski rzeczywiście nie maszerował wtedy, jak innemi wieczorami, powolnym krokiem po ulicach, ale szedł do domu, bo ufał, że jeśli tego zapału nie roztrwoni, ale go zaśpi, odnajdzie go może nazajutrz.

Rano chwytał go ten sam niepokój i na myśl, ile czasu zmarnował, nie mógł się znowu zabrać do roboty. Coś mu mówiło w duszy, że nigdy już nic wykończyć, dostroić nie potrafi. Po godzinie pracy wsta-

wał, patrzał na obraz, przerażał się brudnemi rudawemi tonami i odwracał się od sztalugi z niesmakiem.

Z początkiem Kwietnia najął ogródek przy domu, w którym mieszkał, i zaczął robić to na powietrzu, to w pracowni dużą scenę wiosenną, na podstawie przeszłorocznych studyów. Kompozycya zbrzydła mu trochę, bo mówił o niéj nadto wielu ludziom, odmienił ją jednak i podmalował z wielkim strachem. Robił jakby martwą, obcą ręką, nie ożywioną żadném poczuciem, żadnym duchem, i czuł, że dawniéj nie tak bywało. Nie miewał dotąd nigdy zabobonów, ale naraz wbił sobie w głowę, że wróci mu dawna świeżość i ochota, jeżeli odnajdzie tych samych modeli, którzy mu przeszłéj wiosny pozowali po wsiach. Przez tydzień szukał ich w okolicy Warszawy i tracił na to całą swoją, potrzebującą gwałtem zajęcia, energię. Nie miał jéj jedynie przed sztalugą. Na szczęście żyli wszyscy modele i mógł ich sprowadzać do pracowni. Ale i oni nie pomogli. Często, kiedy, po kilku godzinach męki dla nich i dla siebie, odesłał ich do domu, wyrzucał sobie jeszcze brak wytrwałości i zabierał się do tła obrazu. Raz, w Maju, postanowił nie oglądać się na to, czy mu dobrze, czy źle pójdzie, i pracować cały dzień aż do zmroku. Mój Boże! tak często mu się to zdarzało w Monachium, dla czegóż-by tego raz jeden nie potrafił w Warszawie? Kazał sobie przygotować w pracowni zimnego mięsa i wina i, zajadając od czasu do czasu, byłby był cały dzień wysiedział w klatce, gdyby przez dach jéj nie był ujrzał tak rozkosznego błękitu, że niepodobna mu było nie skorzystać z tego oświetlenia, pięknego, jak przeszłoroczne. Nuż więc farby do pudełka i ze szkicenbuchem pod Powązki! Ale ledwo znalazł się wśród natury, przekonał się, że to nie to samo. Przymusił się jednak do pracy i wieczorem powrócił w małomównéj zadumie, znużony, zły, niosąc w albumie parę stronic, niewyraźnie zabazgranych farbami. Nazajutrz siedział kamieniem w pracowni i przemalował niby cały obraz. Wieczorem był kontent z siebie i, wychodząc na miasto, zaśmiał się sam, ujrzawszy w lustrze, z jaką fantazyą nałożył na bakier kapelusz. Na trzeci dzień rano usiadł przed sztalugą i naraz zakrył sobie twarz rękoma. Wczorajsza praca była zbiorowiskiem plam niedostrojonych, nieudolnych plam, bez zgody, życia, bez charakteru. Na pierwszym kursie malarstwa w Monachium nigdy nie zrobił tak pustego obrazu. Siedział tak długo z łokciami opartemi na kolanach, dopóki go służący nie spłoszył. Wyszedł, dotknięty przykrą myślą, że go ktoś mógł ujrzéć w tak rozpaczliwéj pozie. Stanęła wtedy okropna nędza przed nim: oto coś zatraciło się w nim na zawsze, talent musiał zaniknąć w chorobie. Czuł się zupełnie bezradnym wobec tego nawpół fizycznego, niezbadanego kalectwa. Przeszło mu przez głowę, że może mózg... A jednak miewa chwilami więcéj sił, niż przedtém, może jeszcze

więcéj gorączkowego zapału. Kiedy wieczorami widzi i opisuje swój obraz, ludzie słuchają, widzą, czują, i on wie, że zdoła jeszcze tworzyć. To tylko prawda, że spotyka teraz mniéj motywów w naturze. Może wraca tylko do dawnych wrażeń, galwanizuje wolą minione poczucia. Bo w głowie ma tylko jedną myśl: ‚zrobić nareszcie coś, wykończyć, uwierzyć znowu w siebie, i nie chodzić już z bielmem na oczach po świecie, nie widząc. Czyż miał-by już nigdy nie żyć z naturą, jak przedtém, i być biedniejszym od każdego z filistrów, porównywać obecny stan z przeszłością, męczyć się, wspominać?

Wróciwszy do domu, oparł o ścianę obraz, odwracając go malowaniem do muru, i nie ruszono już ztąd płótna, aż po śmierci Orzelskiego. Całe popołudnie spędził nad teką starych prac, szkolnych aktów, studyów do obrazów, które już dawno w swiat poszły. Po półgodzinie oglądania nie mógł już sam uwierzyć w swoją przeszłość—ani w niezmierzoną głębię swojéj nędzy. Za każdą akwarellą albumu, za każdém płótnem, oderwaném od bleitramu, czuł na twarzy tchnienie dni lepszych i poznawał kolejno dawne godziny, znane strony świata. Uśmiechał się do niektórych robót, bo mu przypominały jakieś młode miłości, ale poważniał przy tych, które odświeżały gorączkowe chwile tworzenia: klasyczne illustracye do Homera z czasów szkolnych, potém pierwsze impresyonistyczne próby krajobrazu, studya z Lombardyi, widoki, malowane w samotności wśród trzcin Starnbergskiego jeziora, gdzie fala pluszcze, jak nad morzem, tylko trochę jednostajniéj i smutniéj. Gdyby dziś mógł tak czuć, tak ginąć w naturze, jakże-by inaczéj pracował, oddając się cały szczęściu patrzenia i tworzenia! Co tu pomysłów, lekkomyślnie odłożonych do jutra, poczuć, które dziś przyniosło, a jutro porzucało, co wrażeń nieutrwalonych — a zwłaszcza ile szczęścia, które zmarnował, bo go nie odczuł dość świadomie!

Odtąd przestał Orzelski malować. Wstawał późno i nieraz rankiem pozostawał umyślnie w pół-śnie, zakrywał sobie kołdrą oczy, żeby dnia nie widziéć, i wstawał wreszcie z ciężką, zamgloną głową. Począł zabijać czas, włóczyć się po ulicach, zachodził na wystawy obrazów, dokąd w ostatnich czasach nie zaglądał, bo go gniewały staranne, wykończone prace. Wieczorami szukał muzyki. Dawniéj nie odczuwał jéj; teraz zaczynała go koić. Zrobił w tych czasach jeden tylko szkic, ołówkiem, na białéj stronicy libretta do Tannhäusera. Był to Saul gniewny, uśmierzony grą Dawida. Siadywał na koncertach kameralnych, kiedy wykonywano dzieła Glucka, Haydna lub Mozarta: czuł wtedy, jak go złe opuszczało i smutek wsiąkał w ziemię. W operze starał się o miejsca na balkonie drugiego piętra, gdzie go nie mogli spotykać znajomi, i zamknąwszy oczy, bo go ruchy śpiewaków drażniły, słuchał nieruchomy, senny. Znajome domy przerzedzały się już latem

w Warszawie, chodził więc zwykle samotny, nieraz późno w noc, po alejach. Znalazłszy się czasem u przyjaciół, bywał gadatliwy i niespokojny. Zdenerwowanie jego nie uszło nikomu, i kiedy zaczynał mówić, jak błędny, o obrazach, pani Iwieńska czuła, że trzeba podnosić jego odwagę i przytakiwała jego zamiarom, nie wiedząc nawet, że nietylko z grzeczności, ale może i z serca odpowiada na niemą prośbę Orzelskiego o coś zbliżonego do otuchy. Nie kłopotała się zresztą zbytecznie. Naczytała się tyle Heinego, który z wielkich bólów robił małe piosenki, że doszła do przekonania, iż artyści są na to, aby cierpieć, a dobrzy ludzie, aby im dawać chwilowe zapomnienie. Zbyt wiele słyszała o niepospolitych zdolnościach Orzelskiego, aby módz zwątpić o wielkiém dziele, które mu da sławę i wróci pewność siebie. Ufała zresztą w szczerość malarza i jego zaufanie do niéj, i kiedy jéj mąż wyrażał pewne niedowierzanie w dalszą artystyczną karyerę Orzelskiego, odpowiadała mu z gniewem, że ona go zna lepiéj. Raz, kiedy malarz znów fantazyował u niéj na temat obrazów, zapytał go gość obcy, co teraz maluje? „Nie widzi pan — odparł zagadnięty — że chcę robić szereg scen wiosennych?” Słowo to, rzucone w niechęci i pośpiechu, miało jednak skutek. Nazajutrz zabrał się Orzelski jeszcze raz do przeszłorocznych szkiców. Nie myślał już o zużytkowaniu ich do większéj pracy, ale chciał je podkończyć, uzupełnić, nie dodając wszakże nic nowego. Uchwycił się nadziei, że może minie czas próby, a on tymczasem odżyje, odczuwając jeszcze raz to, co sam uczuł był tak szczerze. Nauczy się sam od siebie, jak się patrzéć na naturę. Porozwieszał wtedy szkice na pstrych makatach pracowni i, chodząc z rękami po kieszeniach, wpatrywał się w nie, jak gdyby chciał się zżyć z samym sobą, wrócić do tego punktu, na którym stanął przed rokiem, i w dawną swoją drogę się wkoleić. Ale malując na kilku z tych płócien, popsuł je i przestał je ruszać, uważając je wreszcie jako spuściznę wielkiego, obcego mu i niepowrotnego malarza. Czuł razem wstyd, cześć i żal wobec Orzelskiego z lat minionych.

Czasem znów porywała go wściekłość na swoją własną przeszłość. Po prostu przechwalili go wszyscy: koledzy, nauczyciele, krytycy i kobiety. Na prawdę nie miał on nigdy samodzielnego talentu, lecz tylko jakąś zdolność odczuwania tego, co robili drudzy, rzeczywiści malarze. Póki siedział w przepełnionéj sztuką atmosferze, w Monachium i w Paryżu, nasiąkał artyzmem, naśladował bezwiednie i wystrzelił w górę odrazu, jak każdy drugorzędny talencik, jak zboże na słabym gruncie wybuja. Rodzina sprzeciwiała się długo jego artystycznéj karyerze; przeklinał dzisiaj rodzinę, że nie stawiła mu dostatecznego oporu.

Naraz błysła mu nowa myśl. Gdyby się tak wybrał do Monachium! Może-by się tam zakończyła ta jego wieczna wędrówka, pogoń

za sobą samym. Odżył-by w téj atmosferze, która go uczyniła tém, czém był dawniéj, doszedł-by do równowagi, do ocenienia samego siebie. Myśl przyszła tak nagle i utkwiła mu w głowie tak uparcie, że tegoż samego dnia wyjeżdżał wieczorem do Wiednia. Gdy pociąg ruszył, oparł się o ramę okna i patrzał, jak uciekały wiatraki pól wolskich, związane z pamięcią dziejów jego życia. Zdawało mu się, w miarę jak ruch pociągu wzrastał, że już odjeżdża wszystką swoją nędzę. Na niebie rozświetlonėm stał Jowisz, żarzący się węgiel czerwony, i świecił mu jak wielka gwiazda przewodnia i oswobodzicielka. W Wiedniu nie mógł wytrzymać i stawał niebawem w Monachium. Rozkazał zanieść kufer do jednego z hoteli stojących naprzeciwko dworca, a sam poszedł na miasto. Widząc te znane ulice, słysząc wesołą bawarską niemczyznę, nie porównywał się do dawnego samego siebie, ale po prostu odmłodniał. Zdawało mu się, że nigdy ztąd nie wyjeżdżał, i kiedy stanął przed żółtym i czerwonym domem, w którym mieszkał dawniéj na Schwabing, miał ochotę sięgnąć do kieszeni i przekonać się, czy nie zapomniał klucza od bramy. Nazajutrz poszedł do akademii i zajrzał do kilku profesorów, którzy mu już teraz nie taili, że go uważają za genialną naturę. Przyjrzał się dawnéj własnéj celce i pokumał się na nowo z malarzami różnych narodowości. Wyprawili mu komers i wypili dużo litrów czarnego piwa, krzycząc „eviva l'arte", „hoch der geniale Oschelsky!" On zaś włóczył się po pracowniach, żył w knajpach po studencku i nosił czerwone krawaty, jak za dobrych czasów, kiedy się chciał pannom monachijskim podobać. Wszedł w siebie i zrozumiał, że ma talent, że go zawsze miał i że jeszcze da tego dowody. Raz, kiedy, zmęczony życiem, które prowadził, szedł po spieczonym asfalcie i czuł w sobie jakąś próżnię, reakcyę po tych wszystkich wrażeniach i tryumfach, spostrzegł w oknie sklepowém rewolwer oprawny w kość słoniową i kupił go, mówiąc sobie z odcieniem samochwalstwa: „no, jeżeli teraz dobrego obrazu nie zrobię, to sobie w łeb strzelę." Zapomniał jednak zaraz o tém, a do malowania nie zabrał się w Monachium. Zanadto się rozochocił, rozbawił, zanadto mu było śpieszno do warszawskiéj pracowni. Zadeklarował więc tylko obraz na przyszłą monachijską wystawę i wrócił do kraju, chcąc jeszcze z jasnych dni korzystać. Przez kilka dni zdawało mu się w Warszawie, że robota pójdzie. O tém, czego doznał w Monachium, o tém, co mu mówiono, nie wspominał nikomu, nie chcąc z tego ani odcienia utracić. Niedługo potém musiał już jednak wytężać wolę, aby się wmyślać w ten stan ufania i swobody. Zaczął duży obraz „Sianokosy", ale, podmalowawszy, ledwo ustawił modela i popracował koło głowy, zobaczył, że nie wyjdzie z kleksów, z technicznych prób i sposobów. Poznał, że mu ta głowa, te łąki i błękity niebios są nie obojętne, ale obce. I zamyśliwszy się, uczuł, że już z tego nie będzie nic.

Przeraził się, jak suchotnik, kiedy zacznie pluć krwią, i postanowił się ratować. Miał jeszcze złudzenia. Pomyślał, że jest chory, i że mu systematyczna kuracya pomódz może. Spędzał długie skwarne popołudnia w poczekalniach doktorów i, myśląc z trwogą o wyroku lekarza, przerzucał dzieła illustrowane i fotograficzne albumy, z których patrzyły na niego nudne, nieznajome twarze. Albo oglądał się po obecnych, po ludzkich nędzach fizycznych, mniéj strasznych od jego obawy. Chwilami chwytał się za czoło, myśląc, że waryuje, bo bał się więcéj szaleństwa, niż śmierci. Lekarze nie mogli mu pomódz. Konstatowali nawet wielki zasób sił i mówili, że rozstrój nerwowy ma głównie moralne powody. Ostatecznie nie wierzył i sam Orzelski lekarzom. Jak przez czas długi prawił innym o swojéj twórczości, aby się wiarą w nią ukoić, tak dziś wmawiał w siebie chorobę, byle miéć czém zająć wyobraźnię. Czuł, że działa ona u niego nagłemi skokami, jak u ludzi pijanych. Miał w Płockiém braci stryjecznych, gospodarujących na wyniszczonym, obdłużonym majątku. Wiedział, że mógł-by włożyć swój kapitał w ich ziemię i osiąść przy nich, jeździć z nimi po polach i wypłacać wieczorem robotników. Bywał przed laty, dzieckiem, w majątku, który dziś zamieszkiwali. Szeroka piaszczysta droga bez drzew wiedzie przez wieś długą, za krzyżem stare zabudowania folwarczne, stojące w czworobok, i dwór na końcu podwórza. Rozgospodarował się myślą w białych pokojach, gdzie przez okna wchodziła zieleń od pobliskiego sadu; ale skoro się zaczął błąkać pamięcią po rozłogach, miedzach i olchowych gajach, zrozumiał, że i tam zapragnie malować, do dna się nie odmieni. Spojrzał po studyach, wiszących w mieszkaniu, i uczuł, że nie może pozbyć się ochoty, aby tak czuć i pracować. Co mu tam po sławie, po uznaniu! on chce tak żyć, tak doznawać wrażeń. Kochał się był, będąc bardzo młodym, kiedy się jeszcze człowiek zupełnie gubi w miłości, wiedział co znaczy być kochanym i znał rozkoszne, rozmarzone poranki. Przypominał sobie wszelkie szczęście, którego w życiu doznawał, najszlachetniejsze porywy i najpodnioślejsze zamiary. Brzmiały mu jeszcze w uszach pierwsze zachęty, milsze od późniejszéj chwały—ale to wszystko jest nic wobec dawnéj, nieustannéj mocy tworzenia. On przedtém chodził po świecie i nie był sam, odczuwał cały świat. I naraz nie wiedział, z jakich wrażeń, z jakich wspomnień wyrastał mu na płótnie obraz, w którym sam odnajdował własne, niezbadane poczucia.

Myśl o braciach stryjecznych miała tylko ten skutek, że ułożył krótki testament, przeznaczając im, w razie śmierci, cały niemal majątek. Uspokoił się tém i miał uczucie spełnionéj powinności. Zmiękł, zniewieściał i duszę mu wzbierał nieznany, dziecinny liryzm. Sam się litował nad sobą i czuł, że żal ten jest słuszny. Chodząc po Warsazwie,

gdzie już bladły i rudziały nędzne, zakurzone liście, przeszedł raz przez placyk, który przez dwie zimy malował, i wszedł do chłodnego kościoła Wizytek. Stanął u progu i modlił się krótko, westchnieniem, aby mu Bóg dał umrzéć prędko, naturalną śmiercią. Zaufał tak żywo w skuteczność modlitwy, że zaczął czegoś czekać. A jednak, zaszedłszy nad Wisłę, szukał, prawie bezmyślnie, miejsca, gdzie-by pod brzegiem nizkim był nurt głęboki. Po tygodniu nalał raz jeszcze terpentyny do zaschłéj blaszanki przy palecie i zaczął malować na jedném ze studyów wiosennych. Już mu wtedy nie było żal obrazu, bo czuł, że idzie tu wprost o możność życia. Pociągnął kilka razy pędzlem po siniejącéj linii horyzontu, odłożył paletę i odepchnął nogą sztalugi. Wstał, zamroczyło mu się w oczach. Wydało mu się, że mury pokoju ścieśniają się naraz wkoło niego i prą do rozpaczliwéj decyzyi.

Spojrzał przez okno i nad miastem bezbrzeżnie szarém ujrzał lśniąco-białe chmury, wróżące prędkie śniegi. Stanęła mu w oczach cała zima, obca mu, smutna, nie kończąca się. Wysłał wtedy na miasto służącego, który go zastał wieczorem zastrzelonego w mieszkaniu. Na stole leżała kartka, ostrzegająca, aby nikogo nie posądzać i nie winić. Orzelski rozebrał się był i położył do łóżka, tak, że po wystrzale musiała mu głowa opaść miękko na poduszki. Wycelował sobie tak trafnie w serce, iż można przypuszczać, że fizycznie cierpiał już niedługo.

Jerzy Borszycki.

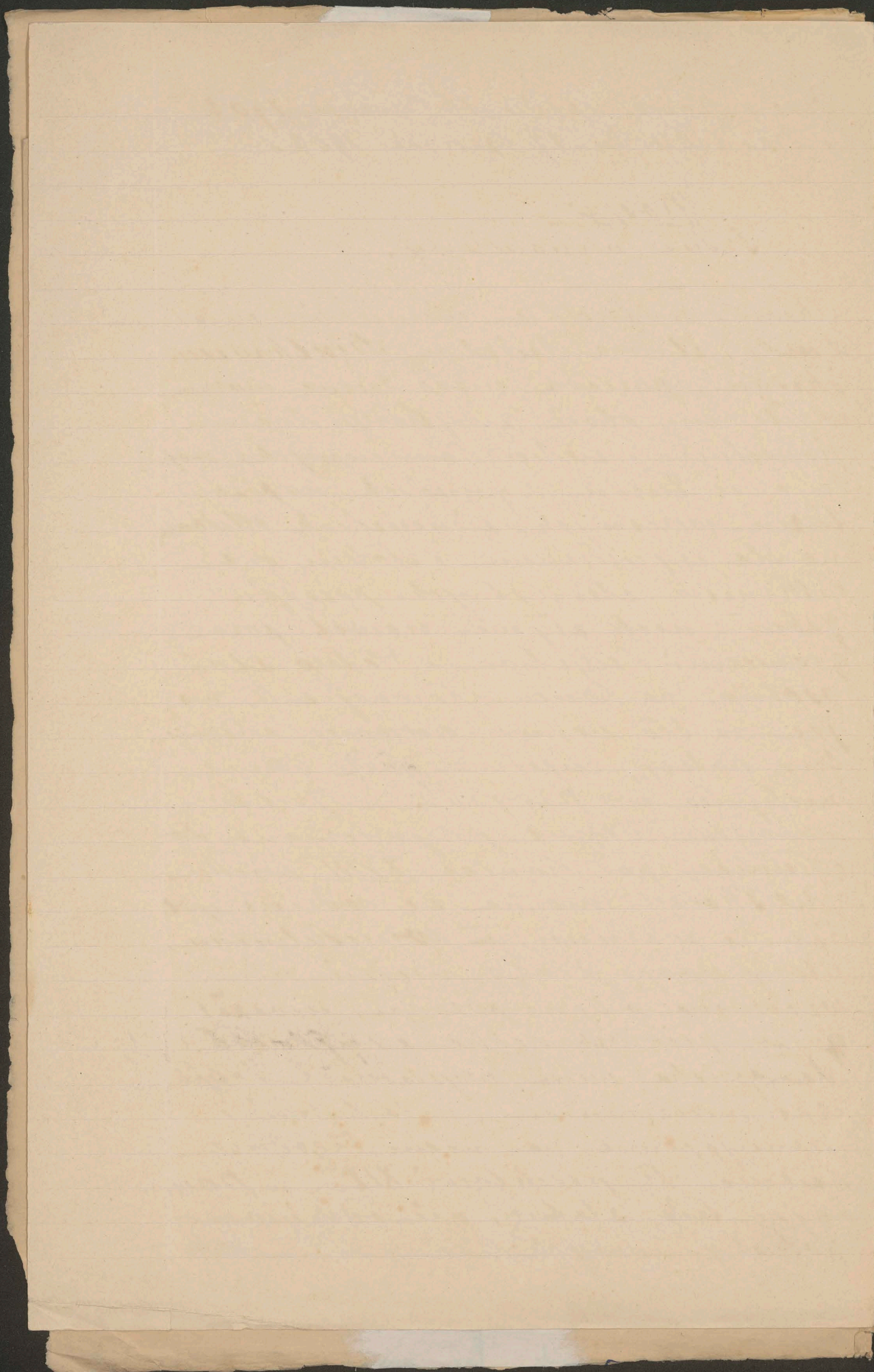


Czas z poniedziałku 16 Czerwca 1902
i Czas z Wtorku 17 Czerwca 1902 r. –

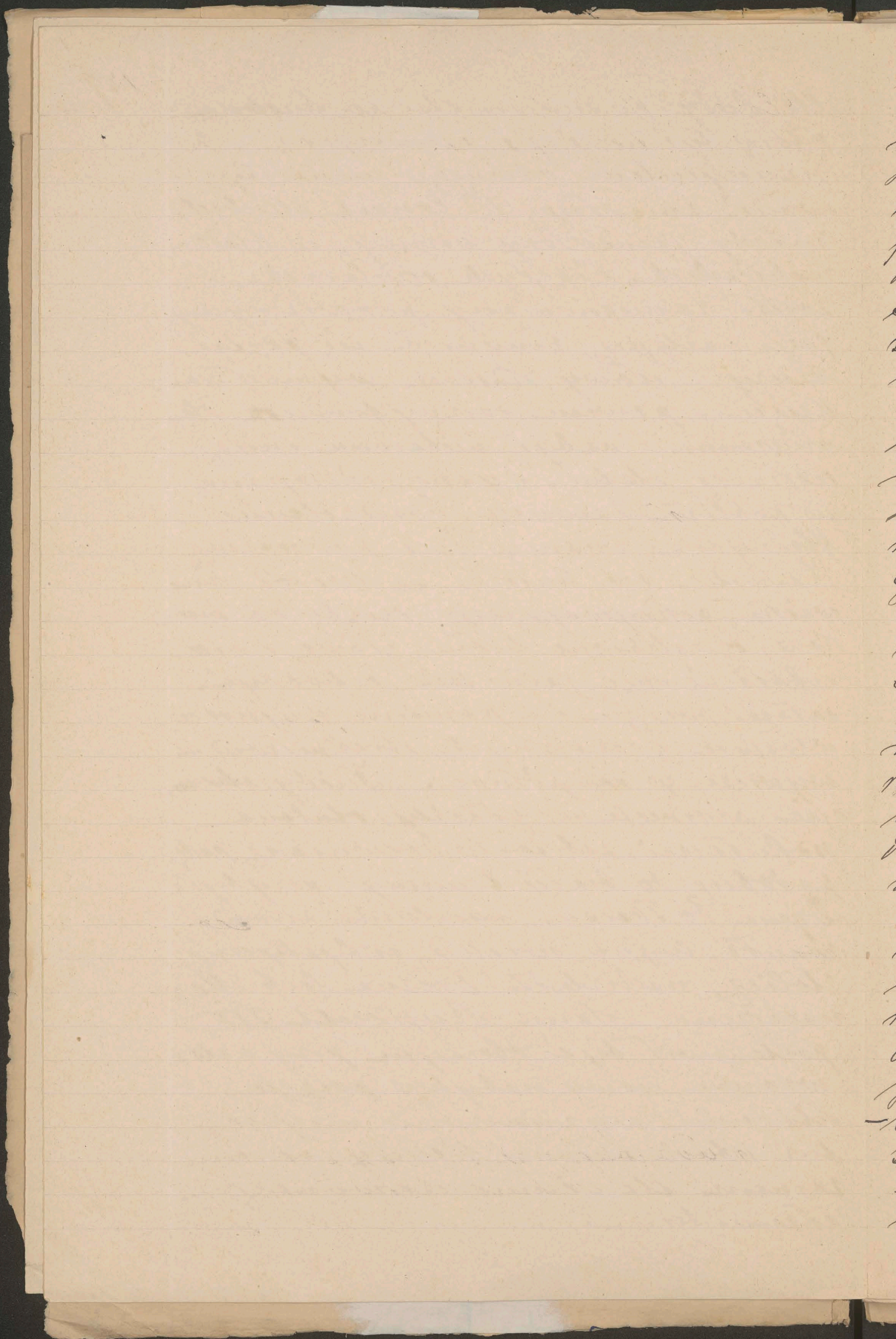
Posągi

Szkic nienaukowy.

Tharau, niewielkie niemieckie miasteczko, stolica Księstwa Birkhausen-Tharau, posiada mało znane muzeum, w którem, obok zwykłego kramu popielnic i siekier kamiennych, znajduje się tuzin rzymskich napisów, tuzin wczesnych sieneńskich Madonn na tle wyzłoconem i złotem, oraz kilkanaście starożytnych posągów. Jeden z nich słynie nawet poza granicami Księstwa i dlatego stoi osobno, na końcu głównej sali, mając za tło ciemno-czerwoną adamaszkową kotarę, zupełnie jak Venus milijska w Paryżu. – Jest to również Venus, przywieziona do Niemiec pod koniec XVIII wieku. W Tharau można się codzień spotkać ze zdaniem, że Winckelmann, który swoją drogą nigdzie nie wspomina o tym posągu, uważał go za pierwszorzędne arcydzieło. Ta głucha wieść wystarczała dotychczas mieszkańcom miasteczka i panującemu nad niem łagodnie Księciu Ruprechtowi XIX. – Posiadając taką statuę, nie odczuwano potrzeby nowych zakupów.



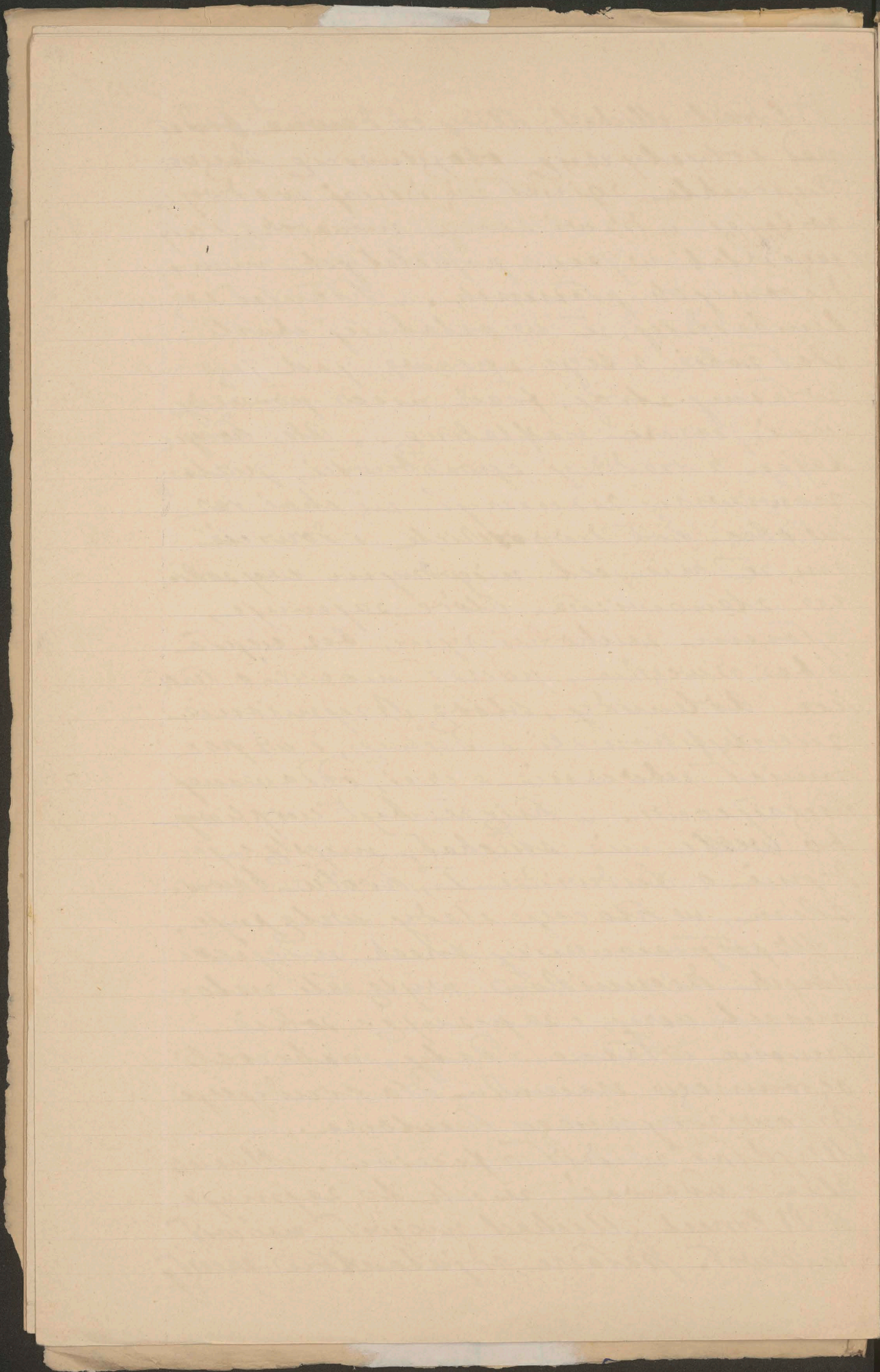
Ale kiedy po śmierci starego kustosza,
który był niegdyś pierwszym z kolei
nauczycielem obecnego monarchy,
wnuk zmarłego, Dr Ernest Michael,
młody jasnowłosy uczony, w błado-
niebieskich, krągłych okularach,
został zamianowany prowizorycznym
jego następcą, zmieniła się postać
rzeczy. – Nowy kustosz wymógł na
księciu pewien roczny fundusz dla
muzeum i nabył niebawem inną
ciekawą statuę, Dyanę, odkopaną
w pobliżu dawnego mauzoleum
Hadryana, znanego dziś pod nazwą
Zamku św. Anioła. ++++ Wśród rumo-
wiska pokrywającego rzeźbę od wie-
ków, odnaleziono kadłub, głowę i ręce,
udało się więc jako tako odtworzyć
całość posągu i – pomimo czujności
włoskich granicznych strażników –
wywieźć go na północ. „Kiedy staran-
nie owinięta w płachty, otulona
pakułami, zabita w drewnianą pakę,
podobną do białej trumny, przybyła
Dyana do Tharau, miasteczko znów
poczuło, że jest wielką artystyczną
stolicą, na kształt Drezna lub Mo-
nachium. – Sam Ruprecht XIX
postanowił być obecnym przy usta-
wianiu nowo nabytego posągu,
któremu wyznaczono miejsce
tuż obok słynnej Wenery, na tem
samem tle ciemno-czerwonego
adamaszku. –



Dr Ernest Michael, który od dawna biadał nad artystyczną obojętnością Księcia Ruprechta, zginał się dziś we dwoje witając u drzwi swego monarchę i cały jego sztab w jasno popielatych mundurowych płaszczach. Kłaniał się tembardziej, że w ostatniej chwili zdał sobie z tego sprawę, jak jego własny strój, frak nieco pomięty, czuć jeszcze naftaliną. Ale, korzystając z rzadkiej sposobności, postanowiwszy zaznaczyć się choć raz wobec kół dworskich i dowieść im, że nie jest niegodnym wysokiego stanowiska, które zajmuje, głosem suchotniczym, bez ciepła i bez dźwięku, począł mówić o kulcie Artemidy, którą Rzymianie zidentyfikowali z Dyaną, i wspomniał ubocznie o czci, oddawanej księżycowi. Książę był cierpliwy, bo wcale nie słuchał, myśląc jedynie o Ludwiku I, królu bawarskim, w którego ślady wstępuje.

Współpracownicy trzech miejscowych dzienników wytężali natomiast uszy, i zapisując sobie imiona własne i daty, nabierali ogromnego szacunku dla erudycji prowizorycznego kustosza.

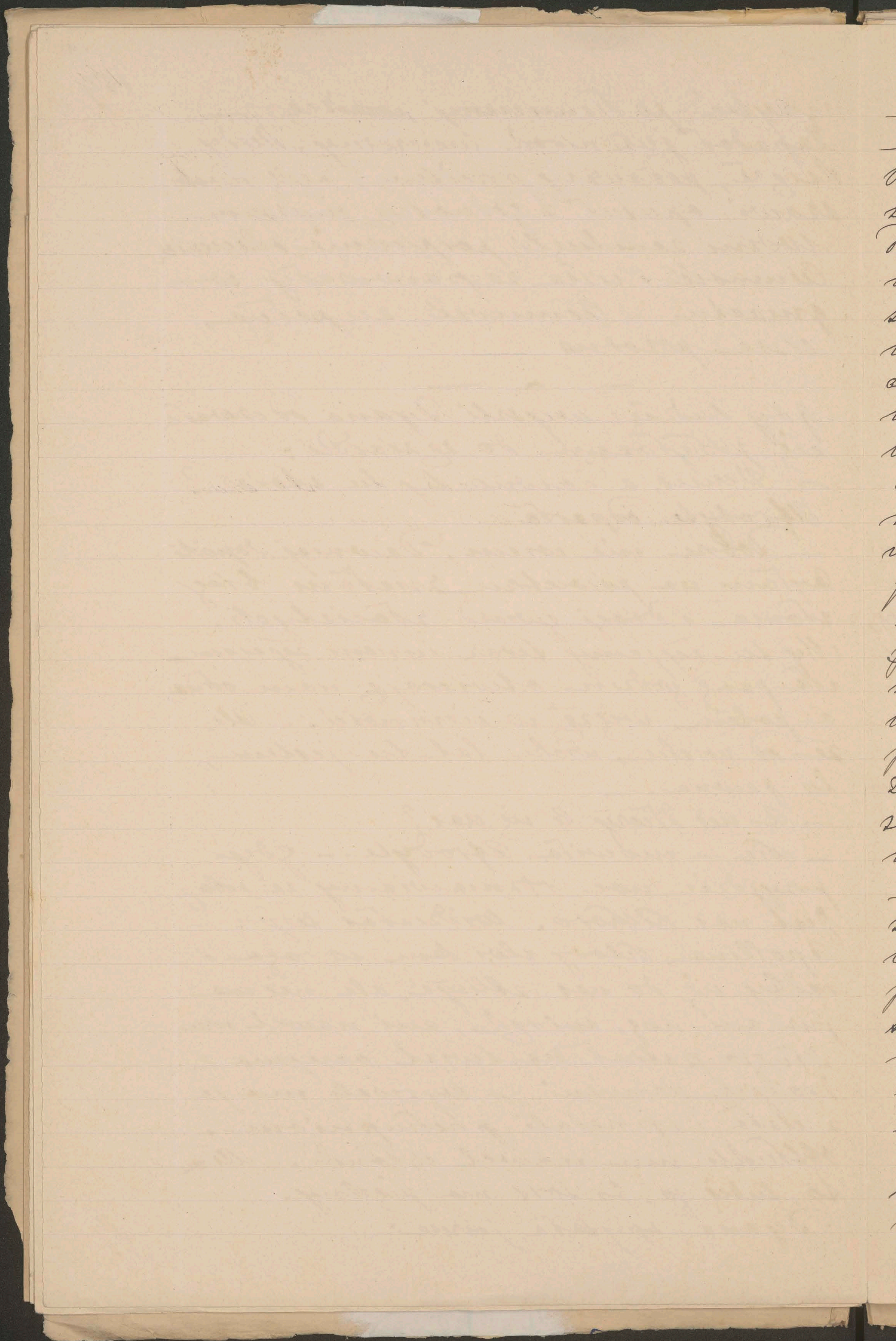
Wykład nudził oficerów. Musieli stać i udawać, że ich to zajmuje. A Dr Ernest Michael mówił, mówił, mówił. Pałasze adjutantów zaczęły



zgrzytać po kamiennej posadzce. —
Zapadał już mrok wieczorny, kiedy księżę, podawszy przedtem rękę kustoszowi, opuścił z godnością muzeum.
Woźni zamknęli pospiesznie okiennice. Ciemność i cisza zapanowały w gmachu. + Ciemność zupełna, cisza pogodna. —

— ^ —

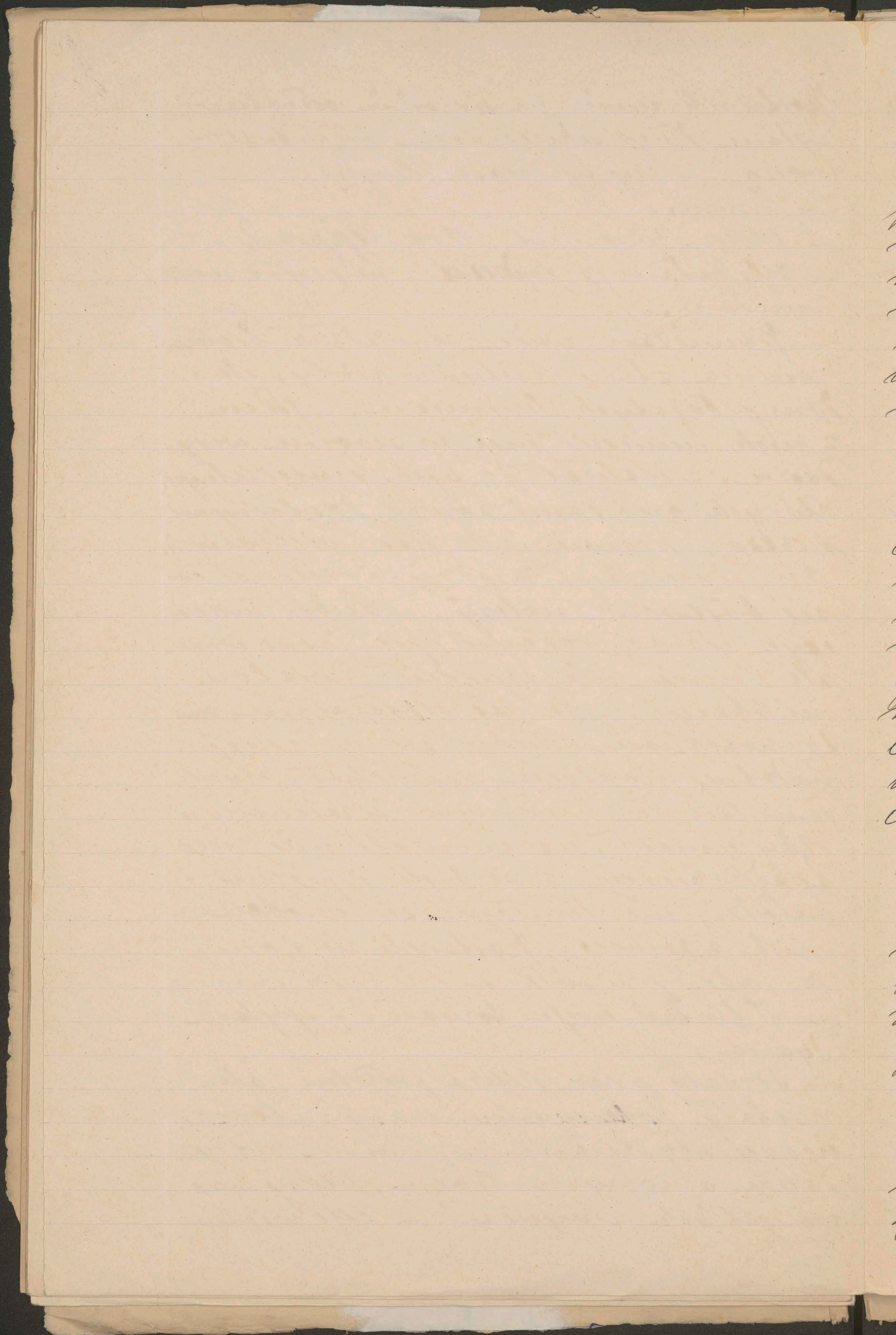
Gdy ludzie wyszli, Dyana odezwała się półgłosem do sąsiadki:
— Venus, a dawno ty tu stoisz?
Afrodyte odparła:
— Dobrze nie wiem. Dawniej dopóki byłam na powietrzu, znałam bieg słońca i drogi gwiazd złocistych. My tu żyjemy teraz innem życiem. Na parę godzin otwierają nam okna, a potem więzę w ciemności. — Ale, że od wieku, wieku lat tu jestem, to pewna. —
— A nie dłuży ci się czas?
— Nie — mówiła Afrodyte. — Gdy przyjdzie noc rozmawiamy ze sobą. Jest nas kilkoro. Widziałaś tego Apollina, który stoi tam w rogu i radby się do nas zbliżyć, ale nie ma już ani nóg, ani rąk, ani nawet oczu. Długo patrzał na świat oczyma z drogich kamieni. + Wyrwali mu je z czoła i sprzedali przekupniom. Obtłukli mu nawet [illegible]. + Mimo to, lubię go, bo tors ma piękny.
Dyana spytała jeszcze:



— A kiedy wróci dzień, wóz mej cyganicie?
— Dziwi mnie twoje pytanie. Milczymy. Kto raz był bogiem, a teraz uchodzi za kawał kamienia, ma w piersiach dumę i poczucie godności. Ale i dzień nie zawsze jest pozbawiony rozrywki. # Nieustannie przychodzą do mnie ludzie, niepodobni do naszych, ale przynajmniej podróżni. # Są między nimi brzydcy, a kryją tę brzydotę w szatach bez fałdów, bez kształtu. Nie przynoszą mi kadzideł, ale cenią mnie wielce. # Stają przede mną, dziwią się mojej piękności i coś sobie półgłosem czytają. # Słyszałaś może, iż niegdyś był taki Grek, imieniem Pauzaniasz, mąż, który nas rozumiał i to, co o nas wiedział, skrzętnie zapisywał. # Wierz mi, ci dziwni ludzie, co po dziś dzień bełkocą przede mną niezrozumiałe słowa, oni w barbarzyńskiej swej mowie muszą odczytywać przed nami mądry rząd Pauzaniasza. —
— A potem — ciągnęła dalej Afrodyta — zdarza się chwilami, że jakiś młodzieniec wejdzie przede mną i tak się na mnie patrzy, jak gdybym jeszcze królowała tam wśród róż i mirtów, w wonnym moim sadzie. —
— Gdzieś ci tak dobrze było?
— Naprzód w Atenach. — potem przewieźli mnie jednak do Italii. Ucieszyłam się, widząc po raz pierwszy z bliska pianę morską, matkę moją.

Dawny posąg odpowiedział nowemu:
– Nie nazywaj mnie Wenus! Ja jestem Afrodyte. Nie kuł mnie żaden robotnik przy Rzymskim Forum, lecz wielki rzeźbiarz u stop Akropolu. Jutro jak będzie dzień jasny, przypatrz mi się i zobacz z jakiegom to marmuru. Jestem z Paros.
Dyana niezrażona tą mową powtórzyła pytanie:
– A dawno tu stoisz?

Postawili mnie na przodzie odrzwi i żyłam długo tchnieniem błękitnego morza. — Czy ty znasz Rzym?
— Znam.
— Wiesz, gdzie jest Via Appia?
— Oglądałam ją codzień z wyżyn moich murów....
— Pamiętasz więc, że wzdłuż białego gościńca stały nietylko groby, ale i domy bogatych Rzymian. — Jeden z nich umieścił mię w swoim wirydarzu. — Należał do tych śmiertelnych, których oni sami zowią dostojnymi i czczą, prawie jak nas, wielkości tych. On jednak był mądry i wiedział co się bóstwom należy. — Lubił uwieńczyć głowę różami i pić jasne wino, ale i mnie nie szczędził kwiatów ni libacyi. — Ja zaś odpłacałam mu tę pobożność, i kiedy się w jakiej nadobnej kobiecie zakochał, czyniłam tak, że była mu wzajemną. Gdy umarł, uszanowali mię jego spadkobiercy, a że byli i piękni, i młodzi, nie leniłam się w obce nich z pomocą. Postarzeli się i oni, ja wtedy wzięłam ich dzieci w opiekę.
— I to tak ciągle trwało? — spytała Dyana. —
— Trwało przez kilka pokoleń, ale nastały potem inne czasy. — Coraz częściej słyszałam w moim wirydarzu o nowym Bogu, który nas wszystkich zwycięża. — Mówiono

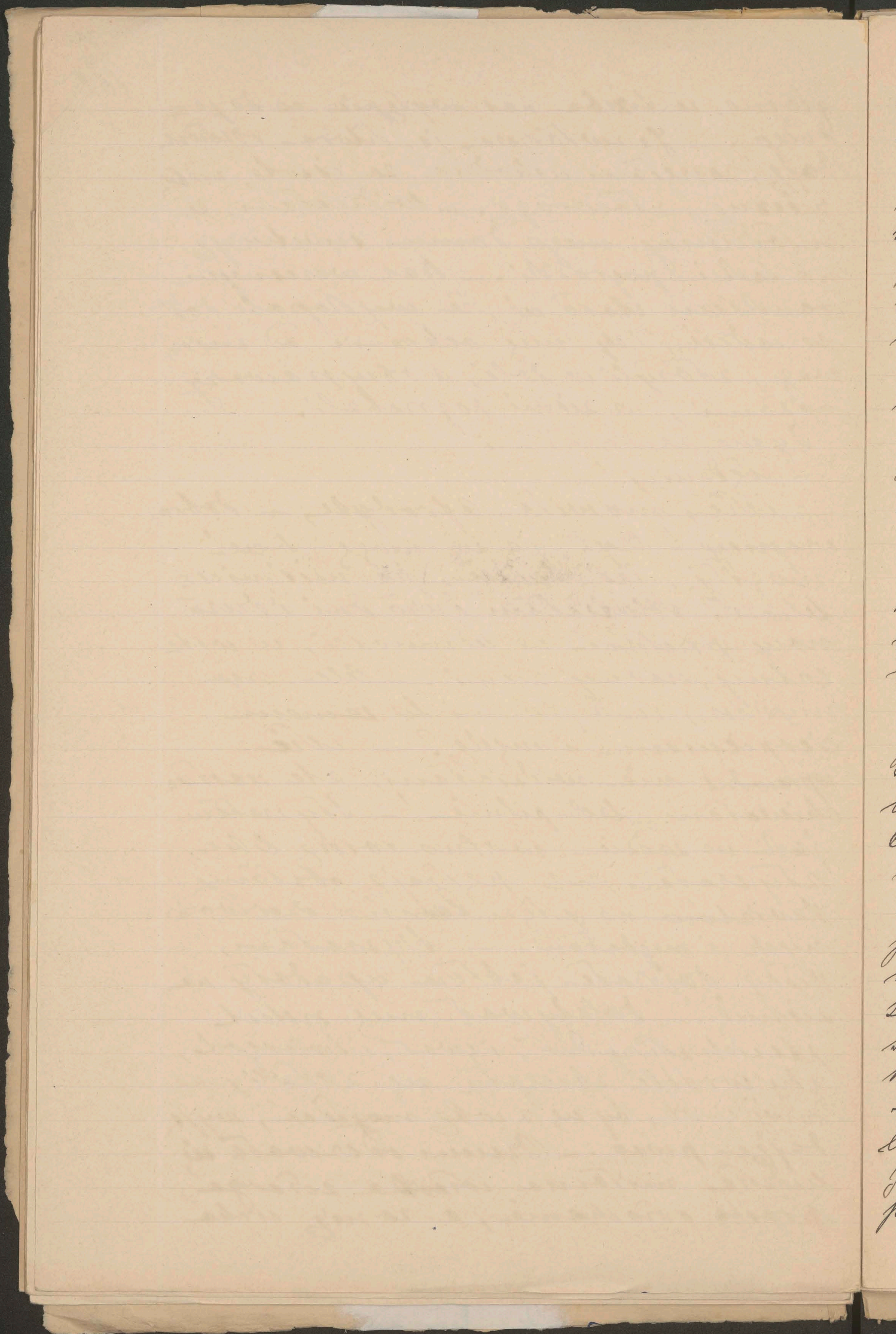


głośno, że trzeba nas wytępić co do jednego. — Ja zwodzicielka, ja, która rozkosz daję, zaczęłam uchodzić za istotę niebezpieczną, złowrogą. — Widziałam, że młodzieńcy mego domu smutnieją na takie pogróżki. — Raz wczesnym rankiem zdało się, że wykopali dół w sadzie, i aby mnie ochronić od zniewag, złożyli w dole, a obsypawszy różami, w ziemi pogrzebali.

Dyana zawołała:

— Nędznicy! —

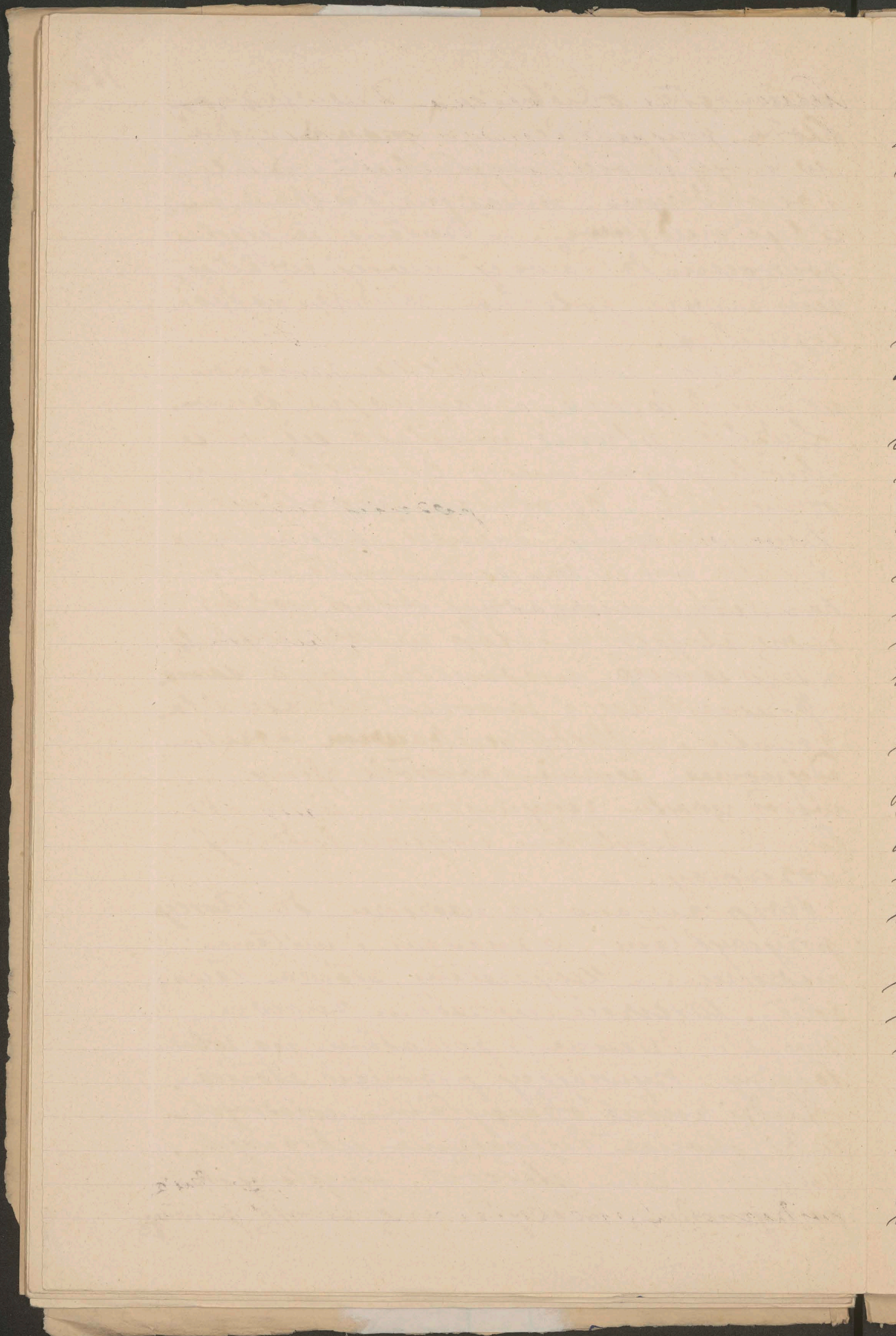
— Nie, mówiła Afrodyte, — dobroczyńcy! Czyż ja się mogę bać mogiły, jak ludzie, ja nieśmiertelna? Musiałam długo dni i długo nocy przeleżeć w ciemności, w wilgotnej, czarnej ziemi. — Ale czy myślisz, że było mi to samem cierpieniem i nędzą? — Nie. Wprawdzie nie widziałam, ale nasłuchiwałam tak pilnie! — Słyszałam jak w sadzie wolno rosną lilie, słyszałam jak pękają osłony kwiatów na gałęzi karmowo czerwonych i migdałów. — Słyszałam, kiedy dojrzałe jabłka upadały na ziemię. — Dolatywał mnie nieraz ptasich szczebiot, i gwar, i świergot, gdy wróble zbiegały się z okolicy na mój grób, by się z sobą nagadać, wydziobując proso. — Czasem oderwała się ludzka miłosna ~~[illegible]~~ skarga, prosiła o kochanie, a za nią cicha



niesmiała obietnica. — Dziewczyna,
która przypadkiem w ~~mojem~~ sadzie,
w mojej włości, wysłuchała zwierzeń
i oświadczyn, musi już kochać, mu-
si być nieszczęśliwa. ++ Czułam, że ciągle
powracam do dawnej mojej władzy,
żem zawsze potężna, zawsze najpo-
tężniejsza. ++

Od czasu zaszła wielka zmiana
w moich losach — dawno już temu.
Ludzkie plemię musiało się od tej
chwili przynajmniej dziewięć razy
odmienić. — Ogrodnicy kopali w
dzień wiosenny ziemię ponademną,
i nagle motyka zadzwoniła o
kamień; nieostrożny chłop rozbił
urnę stojącą u stóp moich, wydutą
z tego samego marmuru, co ja sama.
Przeraził się i zawołał właściciela
gruntu. — Kiedy ciekawie zaczęto
zdejmować ze mnie powłokę gliny,
wśród zgrzytu zaczynających się w nię
łopat, chwytałam wyrazy ludzkiej
rozmowy. —

Rozprawiano w narzeczu, do którego
przywykłam, w znanem i miłem
narzeczu. ++ Usłyszałam słowa łaciń-
skie. Wreszcie ujrzałam znowu
światło dzienne i poczułam na sobie
łagodny ożywiający promień słońca.
Ludzi znów obaczyłam, wiecznych
ludzi, chociaż dziwacznie ubranych.
Jedynie kilku starców, wygolonych
po rzymsku, uderzyło mnie swoją powagą.



Nosili na barkach płaszcze barwne, to fiolet, to czasem purpurę. — Wszyscy mówili, że jestem cudownie piękna, a mnie ~~[illegible]~~ ta ich mądrość i to ich uznanie cieszyły.
Zamieszkałam w Rzymie, w odmiennym dla mnie już niezrozumiałym w takim pałacu, jak tutaj. — Fatum kazało mi później żyć w jeszcze dziwniejszych ~~czasach~~. stronach. — Zabito mię w trumnę drewnianą jak ciebie, i wywieziono na północ: z razu po gładkim gościńcu, później wertepami. Przez całe długie dni nie słyszałam nic, prócz skrzypienia kół, wrzasku woźniców, chlupotu wołowych racic w grząskiem błocie, lub rozmiękłym śniegu. —
Jednak odkąd tu jestem, otoczono mię czcią i miłością. — Wciąż nowe gromady pielgrzymów przychodzą do mnie i patrzą się w boską mą piękność oczyma wielkiej zadumy i marzenia. — Jestem wciąż dla nich wszechmocna Afrodytą.
Śmiertelni wydobyli mię z ziemi, aby mi stale hołd oddawać. — Mówię ci siostro, ludzie są zaprawdę i pobożni, i dobrzy.

—

— —

Słowa te bardzo zadziwiły Dyanę. Przypominała sobie pogodną, za dnia widzianą, twarz towarzyszki, i rzekła:

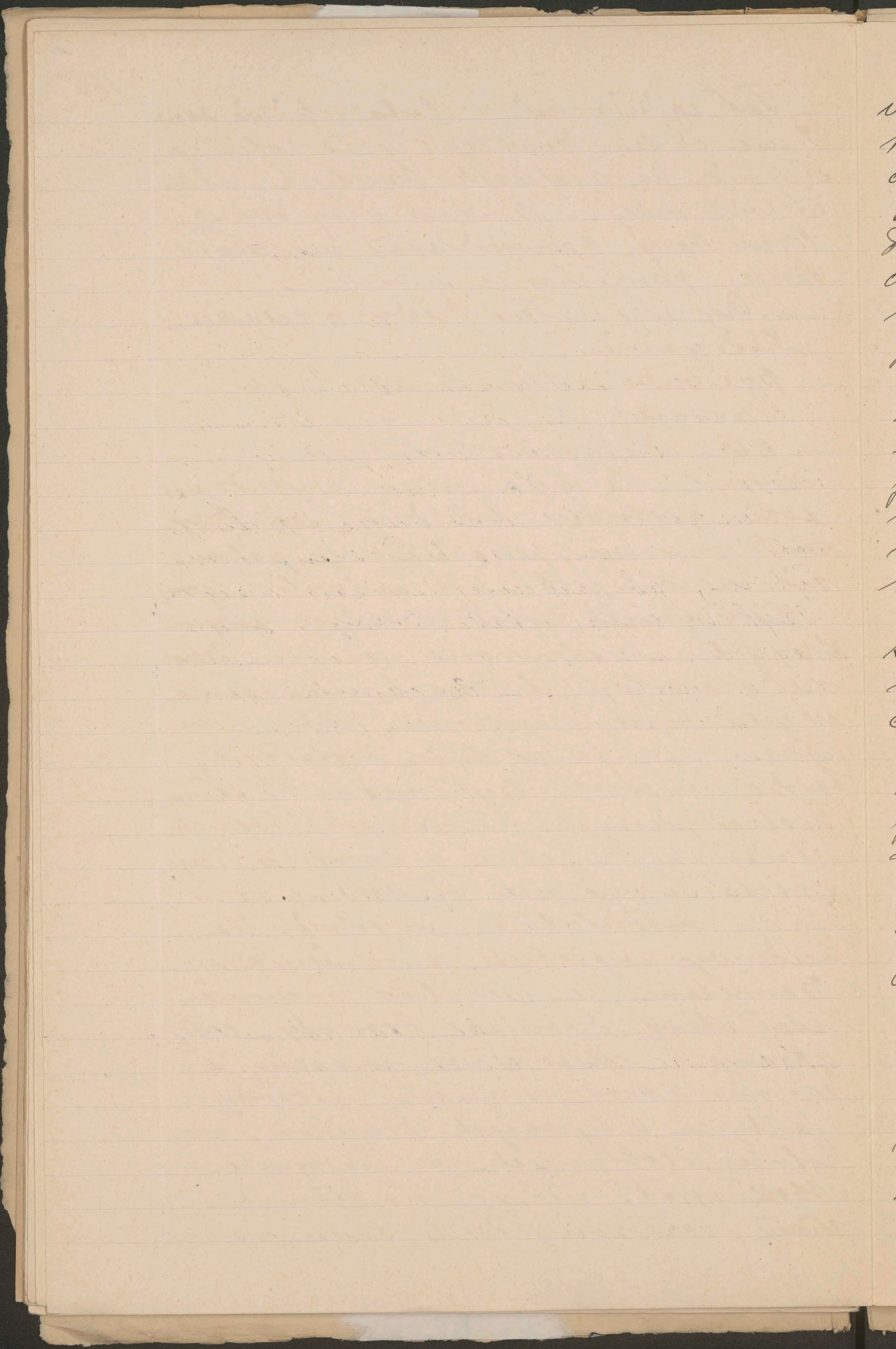
— Tak sądzisz ludzi? Chyba ich nie znasz. I nic w tem dziwnego: żyłaś sobie spokojnie po miejscach świętych, albo w willi cichej. Ja wiem, jacy oni są. Wiem lepiej. Opowiedziałaś mi swoje dzieje, posłuchaj-że moich. —

— Czy słyszałaś kiedy o cesarzu Hadryanie?

— Być może. Słyszałam o tylu cesarzach. —

— Otóż Hadryan dbał o piękne posągi. Za życia jeszcze wybudował sobie grobowiec tak duży, tak duży, że Rzymianie, pokazując go palcem, nie mówili: „grób", ale mówili: „Ogrom."

Kiedy gmach urósł w całym swym przepychu, ustawiono na nim dokoła rzędy posągów, tworzące nad nim jeszcze w górze białe, ożywione, jakby żywe korony. I ja się tam dostałam, bardzo wysoko. Był nas cały tłum postaci pięknych i kształtnych, boskich i ludzkich. Jedne z twojego kraju i często dawniejsze od ciebie; inne, jak ja, młodziutkie, umyślnie dla budowy wydobyte z kamienia. — Pamiętam, że niedaleko odemnie stał stary Dyonizos, brodaty, cały ubrany. — Miał głowę poważną a surową i brodę spiczastą, złożoną jakby ze sztywnych drucików, mozolnie odrobionych w marmurze. Obok spał, siedząc na złomie skały, rozłożony dziki Faun, uśpiony



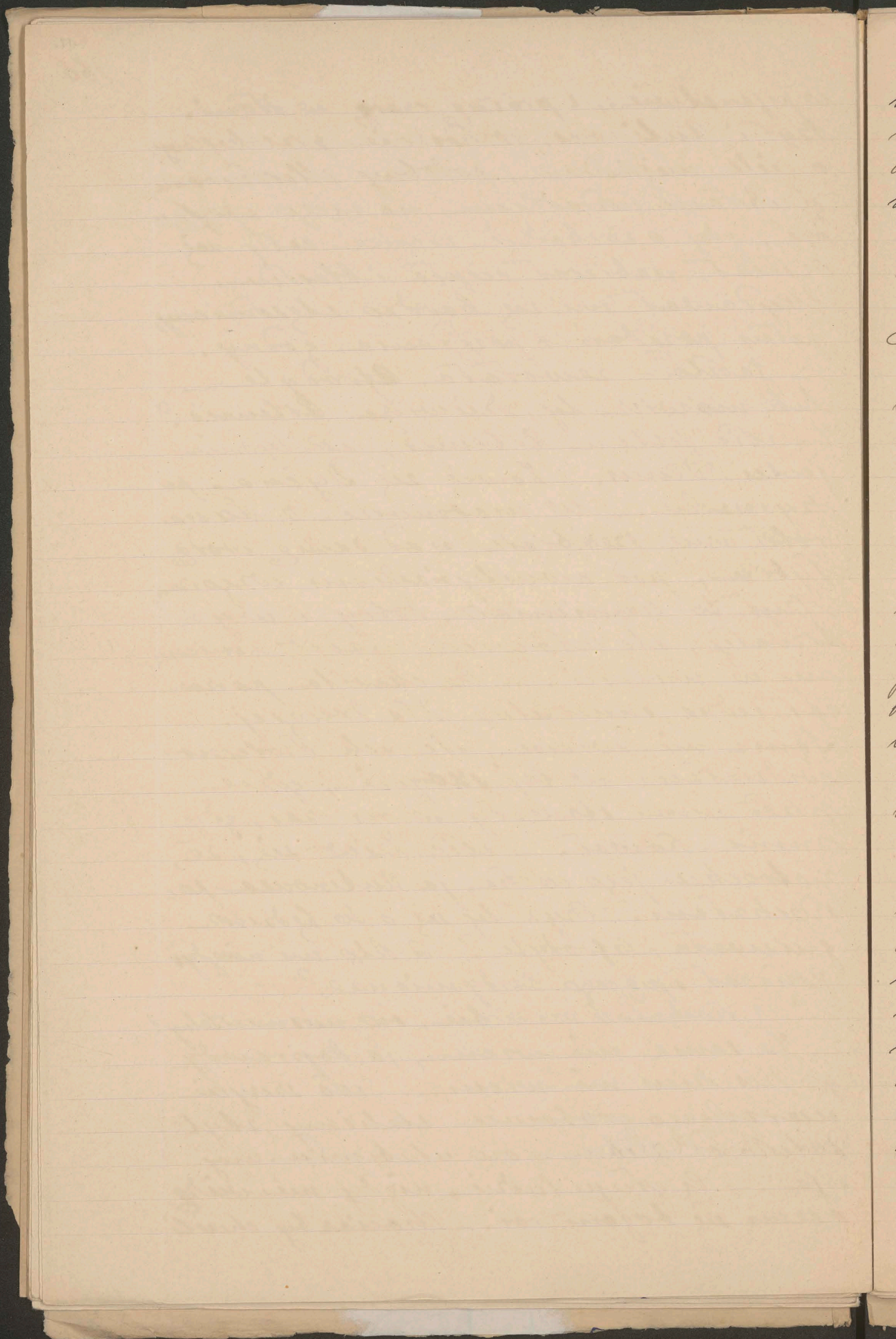
w pijaństwie, z próżną czarą w dłoni. Był i Antinous, rozkosznie przechylony, o ciele miękkiem, podobny Merkuremu. Lubiłam ukradkiem na niego spoglą-dać, gdy o zachodzie słońca cały się ozłacał, nabierał ciepła i blasku. Wydawał mi się bardzo uszczęśliwiony, pełen pożądań i pożądania godny.

— Jakto — zawołała Afrodyte — tak mówisz ty, dziewicza Artemis?

— Nie jestem Artemis, jak ty nie jesteś Venus. — Zowią się Dyana, po rzymsku. — W marmurze z Luna robił mię rzeźbiarz nad samą wodą Tybru, pod awentyńskiem wzgórzem. Był to kamieniarz dobry i wytrwały, ale człowiek nader zmienny w miłości. — Co chwila porzucał jedną śmiertelną dla drugiej. Sama nie wiem, ile ich kolejno widziałam w tej szopie, gdzie przed nim stawały w on czas, gdy mnie kował. — Nie dziw się, że, potrochu jego córka, ja Antinousa pokochałam. — Czyż ty się o to będziesz gniewała, Afrodyte? A kto mi niegdyś pokazał śpiącego Endymiona?

— A kochał-że on ciebie, o nieśmiertelna?

— Ja sama nie wiem, ja doprawdy po dziś dzień nie wiem... Na szczycie cesarskiego grobowca stałiśmy zbyt daleko od siebie — on ulubieniec mój i ja. — Ci głupi ludzie nigdy nie wiedzą, o czem się bogom roi. — Chociaż by chcieli



ich zadowolnić, nie zdołają. + Jest to ród lichy i poziomy. + Od Antinousa oddzielili mię szeregiem niskich szyjmedich, naciągających sobie skromnie zasłony na głowę. + Nie śmiałam odezwać się do młodzieńca. —

A potem, lękałam się, że on, który dla Hadryana zrobił ze swego życia ofiarę i zginął we falach ~~N~~ Nilu, on stojąc teraz na jego grobie, może jedynie o swoim wielkim cesarzu pamięta.

~~Ku~~ Wstyd było wołać.

Nie prawda, Afrodyte, że można kochać, a jednak nie szaleć z miłości?

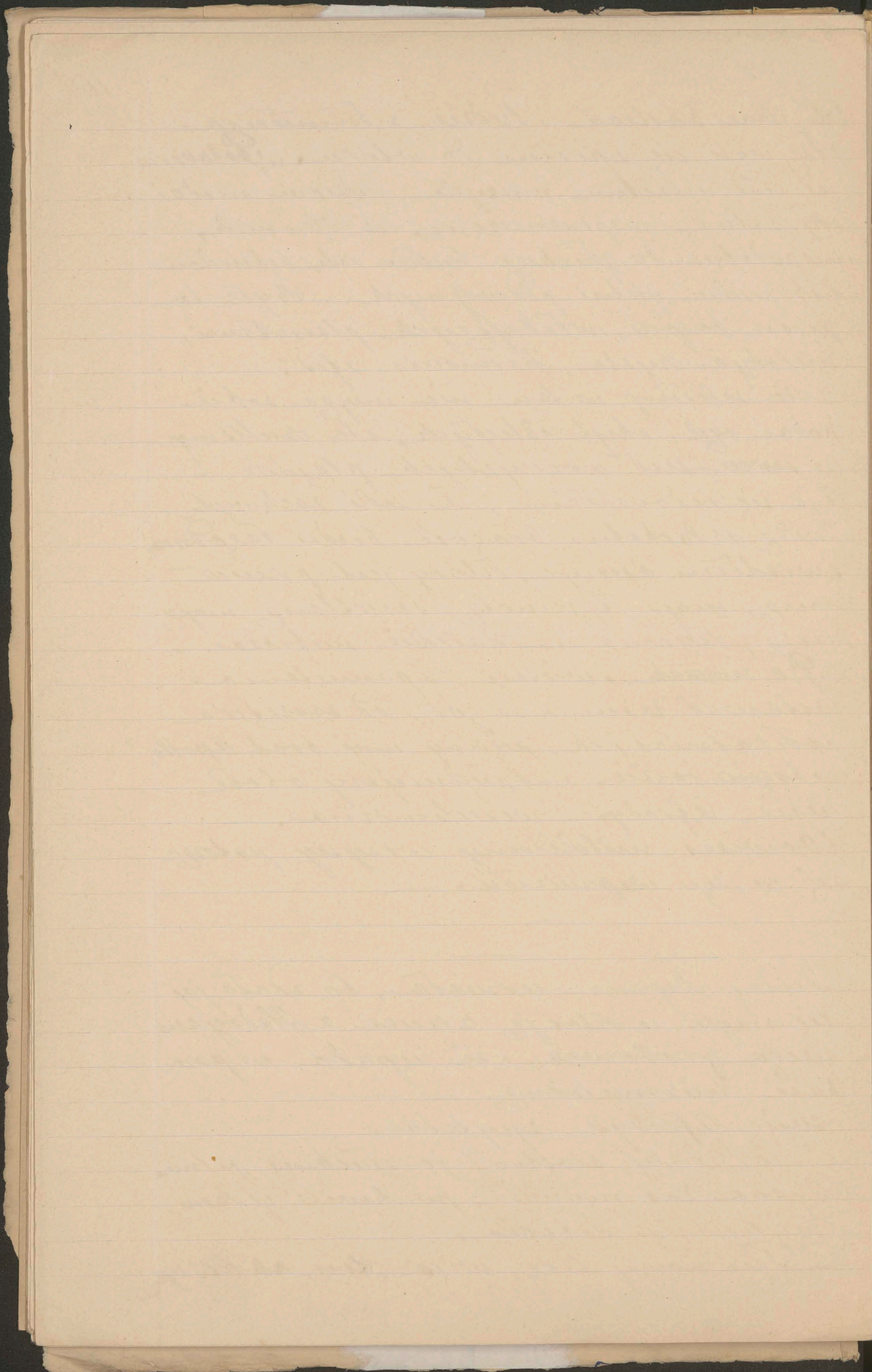
Zwłaszcza, jeżeli się jest, jak ja, pokrewna nocy miesięcznej, razem i pani, i dziewką księżyca. + Bo księżyc nie pali, tylko kołysze, rozmarza i przyobleka kształty na ziemi w złoto blade, przez błędne niebios przesiane. +++

Ach, żebyś ty wiedziała, jakie ja miewam tam rozkoszne noce na szczycie mego Ogromu! Może ci nawet twoich nie zazdroszczę. + Kiedy się złożyły, wzruszliwy Krym utonął, a pełny księżyc wyszedł na sklep rozległy i zdawał się w swej tarczy skupiać całą jasność wielkiego empyreum, bystre promienie budziły w nas zadumę, która nie wiedzieć jak, zamieniała się na śpiew, zrazu cichy, potem coraz silniejszy, na melodyę światła. Nagle zaiskrzyło coś dźwięczącego w piersi jednego z nas, zapatrzonego w ~~złoto~~ złote oko nocy.

A inne bóstwa i ludzie z kamienia odzywali się społem do wtóru. „Podnosiła się nad miastem muzyka, ludziom niedosłyszalna, nieprzeznaczona też dla nich, niepodobna do głuchego huku ich bębenków lub piszczeń fletni podwójnych. — Była to pieśń bogów, władających planetami, melodya czysta, harmonia sfer.
Nie szliśmy w tan, nie mogąc sobie podać rąk, zbyt odległych, ale czuliśmy w sercu szał uroczystych pląsów.“
A ja się radowałam, że taki zachwyt taką szlachetną błogość budzi łagodnem światłem księżyc, który jest przeciwnym moją ciemnotą, świetlaną moją duszą, rzuconą na dalekie niebiosa. —
Po nocach świętego zapamiętania wstawał nam z za gór, od szczęścia podrażniałych, piękny mój brat Apollo, w bogów rodzie najpiękniejszy obok ciebie, Afrodyte wszechmożna. — Wówczas milkliśmy wszyscy, patrząc się w jego wspaniałość. —

—

Tutaj Dyana urwała, bo zdało jej się nagle, że ktoś ją zrzuca z Hadryanowego grobowca, i że upada w przepaść niezmierzoną. —
Więc Afrodyte spytała:
— Cóż dalej, siostro? ja słucham pilnie.
Dyana zaś mówiła po chwili głosem wylękłego dziecka.
— Ten nowy Bóg, wiesz, ten, o którym



sama mówiłaś, ten silniejszy, stawał się coraz potężniejszym, aż został Bogiem jedynym. — Kiedym się dostała na szczyty Ogromu, uznało go już wielu, czciły go wszędzie niezliczone tłumy. — Umarł cesarz, który mnie kazał ustawić na swoim grobowcu i odtąd widywałam codziennie, jak na śmierć prowadzono dzieci, kobiety, niedołężnych starców, za to, że takim, jak ty, lub ja, nie chcieli rzucić garści marnego kadzidła. — Widywałam potem ich trupy, od krwi czerwone, i zamykałam oczy. — Ci ludzie jednak byli cisi i nieszkodliwi; żal mi, że uczcili wyłącznie innego Boga, a nas potępiają. Ale im podobno nie wolno czynić inaczej. — Kto jest za ich Bogiem, już nas wielbić nie może. — Wiesz, Afrodyte, ty próżno bronisz ludzi. — Przyznaj, że są źli, miłujący zniszczenie i głupi! Bo, pomimo ich rzezi i mordów, nowy Bóg nas zwyciężył. — Nam składano hekatomby z ryczących bydląt, on zaś zapanował, bo liczny ród człowieczy sam Mu się cicho oddał na ofiarę. — Czy nie myślisz, że ludzka krew musiała przeważyć?

A my, starzy bogowie, trwaliśmy w osamotnieniu, boleśnie opuszczeni i smutni. — Dymy kadzideł, dymy z ofiarnych ołtarzy, na które z taką lubością roztwieramy nozdrza, dochodziły nas coraz rzadziej z dołu, od olbrzymiego

[illegible]
en
n
si
se
ja
po
ze
cr
[illegible]
d
w
Rs
ja
[illegible]
qu
sz
[illegible]
n
w
st
n
oz
zr
pi
dr
ro
nu
w

---

za

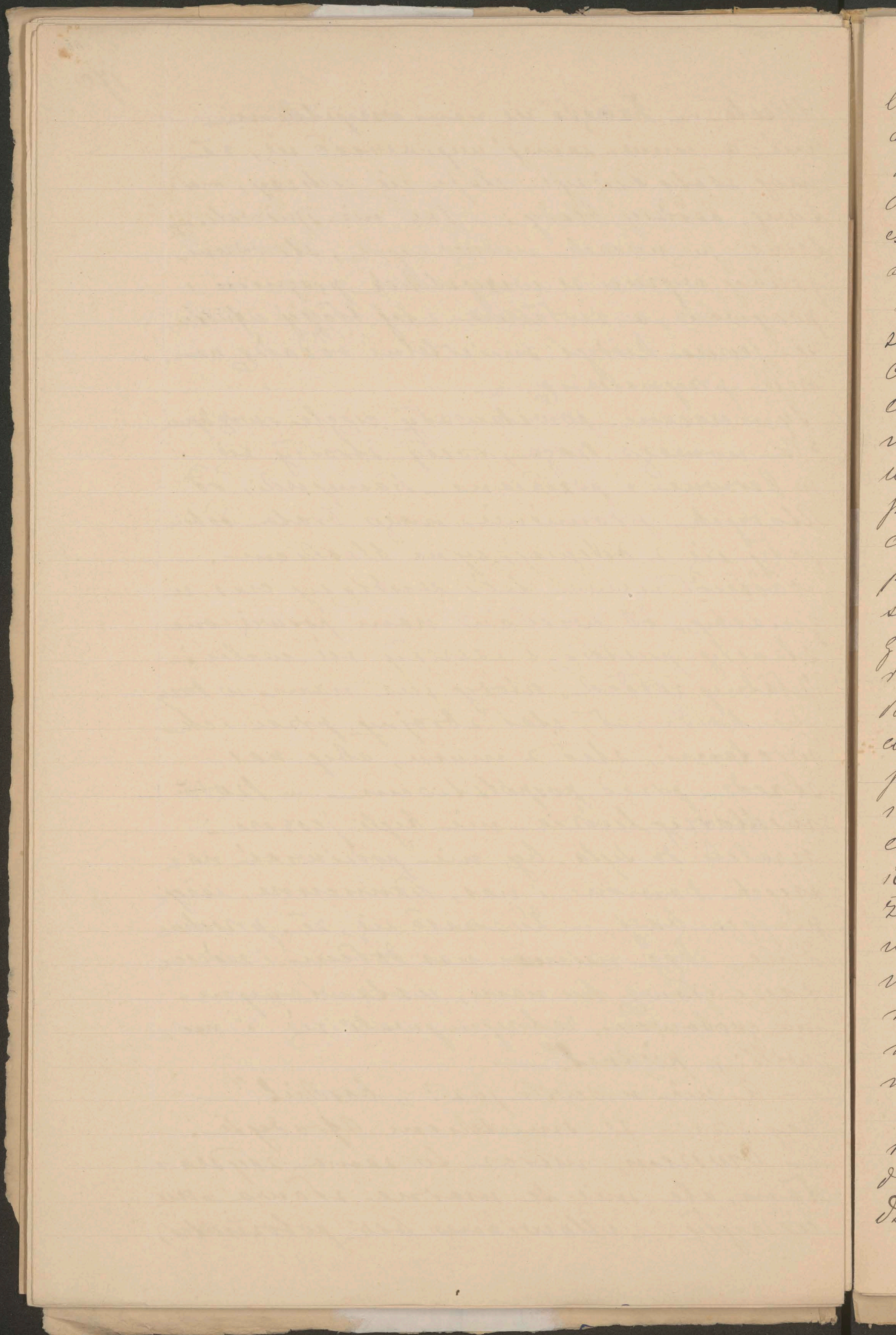
Ta
ci

Miasta. + Zaczęło się nam wszystkim śnić, a mnie samej wydawało się, że mój złoty księżyc staje się cichszy, martwy, bardziej blady. – Już nie śpiewaliśmy teraz po nocach miesięcznych, strwożeni, jakby wyzuci ze wszystkich pragnień i porywów, a zwłaszcza z tej błogiej ufności, że jeszcze kiedyś śmiertelni oddadzą nam cześć przynależną. +

Tymczasem powstawały ciągle świątynie dla nowego Boga, rosły, stroiły się w barwne i pozłacane kamyczki, od których promienie mego brata odbijały się z oślepiającym blaskiem. Nadszedł nawet taki hańbiący czas, że gmachy, od wieków nam poświęcone, stanęły pustką i zaczęły się walić. – Płatny żołdak, który już nam w duszy nie hołdował, stał zbrojny przed ich wrotami, stał z musu, aby nas strzedz przed pospólstwem. + Bo niektórzy ludzie nie byli jeszcze oszaleli do tyla, by nie podziwiać naszych domów i nas, kamienne, zasypiające bogi. + Zdarzało się, że przechodnie, idąc mimo nas dołem i zadzierając głowę ku nam, ustawionym na grobowcu, zatrzymywali się i mówili: „piękne!" —

— A nie mówili już: „boskie!" — zapytała ze smutkiem Afrodyta.

— Owszem, nieraz to sama słyszałam, ale mię te marne słowa nie cieszyły. — Mówiono bez pobożności,



bez namaszczenia — jak ciekawi przychodnie, a nie jak wierni czciciele. + Światło, które nam ciągle z miasta nosił wiecznie na górę opowiadał czasem, ~~że~~ tam, czy owdzie człowiek rozbił święty posąg naszego brata albo siostry. —

Ty, Afrodyte, spadłaś tak długo pod ziemię, że wcale nie wiesz, co się na niej działo. A ja musiałam czuwać, patrzeć na okrucieństwa i cierpieć bez przerwy w obumarciu i łzach. + Mówisz, że ludzie dzisiejsi wydają ci się brzydcy, ale ja widziałam przeraźliwszych, o których się tobie w cichym twoim wirydarzu nigdy nie przyśniło. + Musieli nigdy nie przejść ponad swoją mogiłę, bo od samego ich dotyku grecki twój marmur będzie się rozpadł, rozsypał na piasek, na pył i proch znikomy. + Szły na Rzym coraz nowe, coraz liczniejsze czeredy istot włochatych, plugawych, ubranych w skóry zwierzęce i nieustannie wrzeszczące. + Wszystko co mogło ulec zniszczeniu, padało pod ich toporem, albo też pod ich rozpalonemi żagwiami. + Dziki tłum zwykł był wyć wściekle w chwili, gdy ponad ludzki widnokrąg podnosił się rumiany, pełny mój księżyc. + Wyli z rozpaczy, że go na kawały porąbać, ani spalić nie mogą. +

Nie jeden raz oglądałam pożar Rzymu i dusiłam się od dymów, powstających do nas z Miasta. — Nie jeden raz widziałam Antinousa w świetle tak

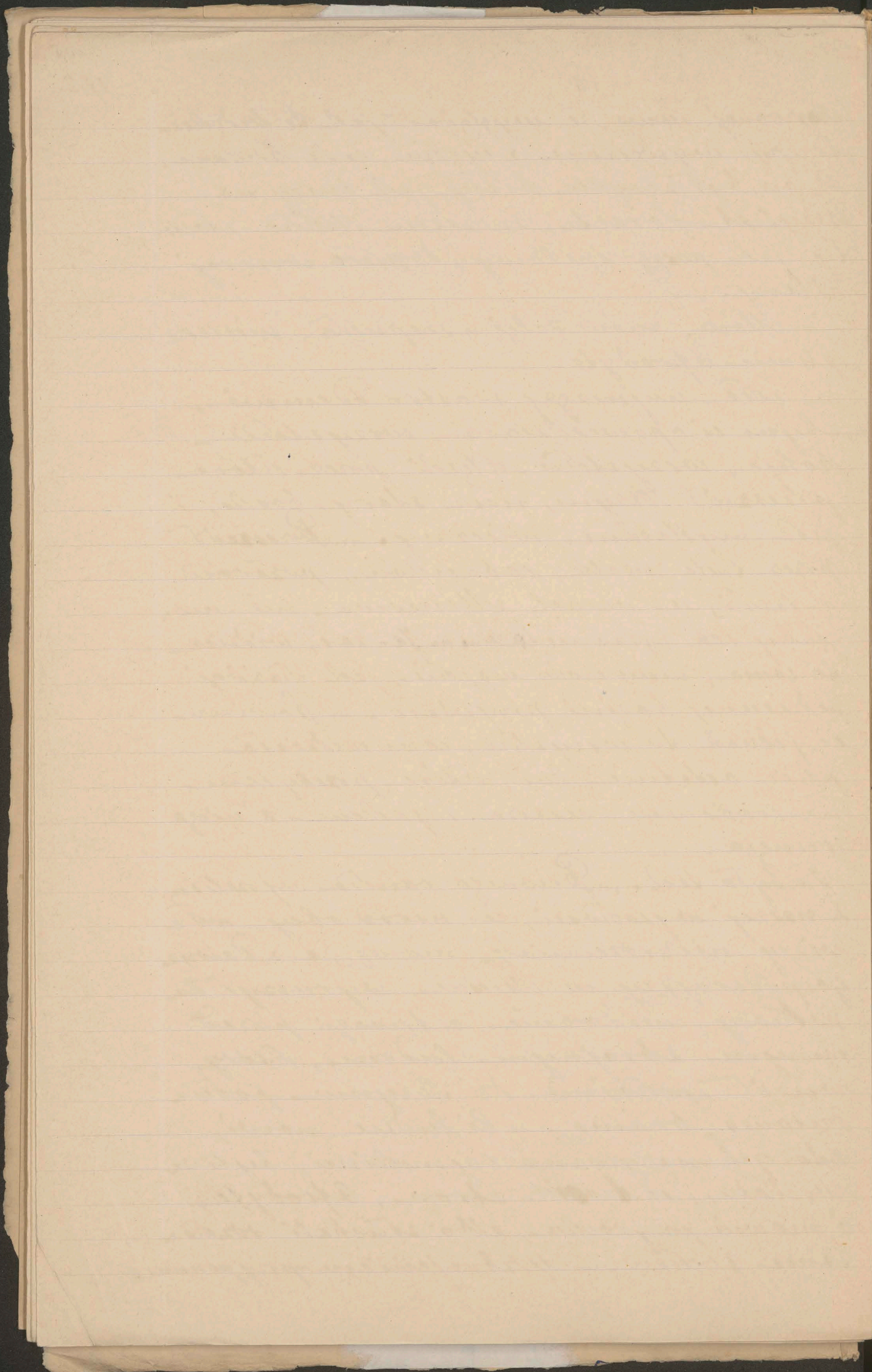
cre
to
A
sse
ty
od
p
ab
K
p
já
p
i
g
to
w
ci
p
n
r
J
2
w
go
p
in
w
d
k
w
i
sa

czerwonej łuny, że wyglądał jak te ludzkie trupy, wynoszone z cyrku, całe krwawe. A on był zwykle biały, jak śnieg na szczytach Soracte, a czasem lekko złocisty, jak posąg spiżowy, dopiero wczoraj odlany. —

— Mów, mów dalej – szepnęła niecierpliwie Afrodyte. —

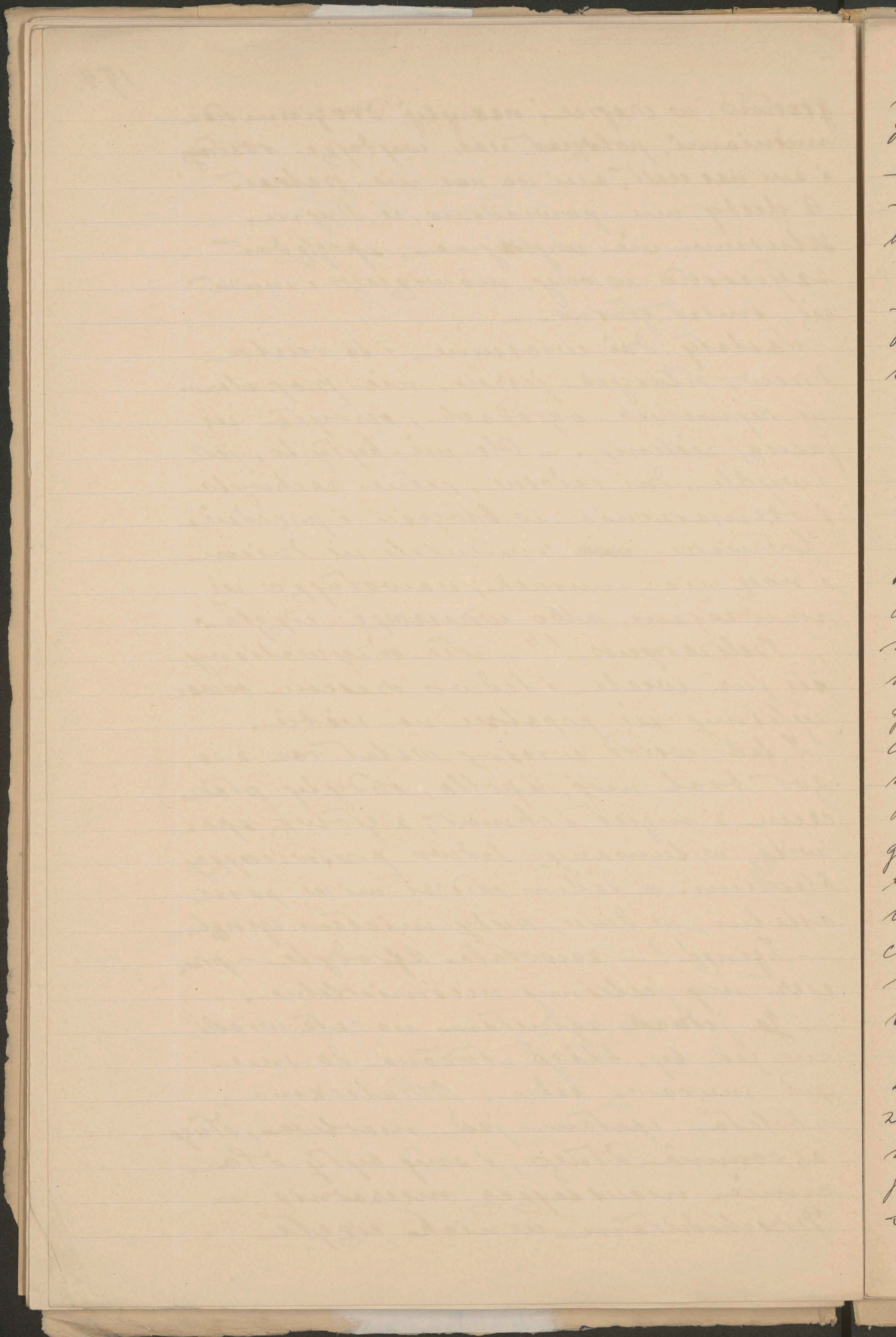
— Nie wymagaj siostro odemnie, abym ci opowiedziała wszystkie koleje, wszystkie klęski, przez które przeszedł Rzym, nasz stary, boski, i jak myślałam, wieczny. ++ Przeszedł przez tyle walk, rabunków, pożarów i rzezi, że nawet Minerwa nie mogłaby ich zapamiętać. ++ Ja zaś, widzisz to sama, mam ciało ugięte, jak każdej wdzięcznej bogini przystało. ++ Powiem ci jednak to wszystko, com widziała przez ostatnie dni, które przebyłam na grobowcu cesarza i jakiem z niego runęła. —

To było tak. +++ Pewnego ranka ujrzeliśmy z naszej wysokości, że naród obcy, mówiący niezrozumiałą mową, a z dawna gospodarujący w Mieście, wyruszył ku północy, widocznie z trwogi przed innym zbrojnym ludem, który wszedł spokojnie do Rzymu południową bramą. ++ Ci ludzie nowi, których nazywano rzymskimi, byli ze wschodu, od twoich stron, Afrodyte, i mówili po grecku, albo słuchali rozkazania Greków. ++ Uzbrojeniem przypominali



rzymskich wojowników, tylko powyżej pancerza nosili dłuższe fałdy szal i bardziej pstre, hełmy inne, spiczaste, z maleę przymocowane do kardie. — Starszyzna ich miała suknie długie, bardzo bogate i barwne, knemidy lśniące. — U wszystkich na ramieniu niedruża tarcza podłużna, a w ręku dzida wysoka; od pasa wisiał miecz prosty i krótki. Przodem jechał ich przywódca, na gniadym koniu, który świecił wielką, białą strzałką od czoła do nozdrzy. — Zbrojny tłum wołał doń niemo, hucznie:
„Belizaryusz! Belizaryusz!" —
— Ci zaś, co wyszli, aby wkrótce powrócić, byli mniej strojni, straszniejsi, ubrani w zbroje żelazne. — Nawet ich konie szły pod ciężkiemi rzędami ze żelaza. Nosili dzidy, olbrzymie pawęże, potężne łuki na plecach i kołczany, pełne strzał lotnych a zabójczych. — Dziś wychodzili bez krzyku, jak nieme siły ponure. —
Tak to pamiętam, jak gdyby się wszystko było działo wczoraj, i pamiętam nasze zdumienie, i strach wobec wrzawy wkraczających Greczynów. —
Odtąd nie było spokoju. Zrozumieliśmy wkrótce, że i nasz święty grobowiec już dla nowych przybyszów kawałem obronnego muru, a już nie domem umarłych i posągów. Żołdactwo zaczęło dzwonić zbrojami, chodząc wśród nas po wysokich gankach, i sam przywódca

Greków, w czapce, nakrytej drogiemi ka-
mieniami, potrącał nas, wydając rozkazy,
i ani nas czuł, ani na nas nie patrzał.
A kiedy mu powiadano, że Rzym
szturmu nie wytrzyma, spoglądał
szyderczo w oczy mówiącego i śmiał
się, śmiał głośno. —
Nastały dni wiosenne, i ta reszta
drzew, których jeszcze nie popalono
w rzymskich ogrodach, okryła się
jasną zielenią. — Ale nie były to, jak
zwykle, dni radosne, pełne zachwytu
i rozmarzenia w błogości i pogodzie.
Żołnierze zmieniali się dniem
i nocą na murach, nawołując się
nawzajem, albo wrzeszcząc ciągle:
„Belizaryusz!" — Nie odzywaliśmy
się już wcale i ledwo czasem odwa-
żyliśmy się popatrzeć na siebie.
I tak wśród wiosny wstał raz z za
gór brat mój, Apollo, okryty płasz-
czem z mgieł i chmur, z głową spo-
witą w tumany, ledwo przeświecającą
blaskiem. — Takim objawił mi się po raz
ostatni, w dniu, kiedy miałam zginąć. —
— Zginąć? — zawołała Afrodyte — prze-
cież my jesteśmy nieśmiertelne.
— Ja jednak zginęłam na całe wieki,
nie jak ty, błogo złożona do snu
pod murawą sadu. Okaleczona,
zbolała, zasnęłam jak martwa, długo,
ogromnie długo, i sny były dla
mnie nieustającą męczarnią. —
Przechodziłam w nich ciągle

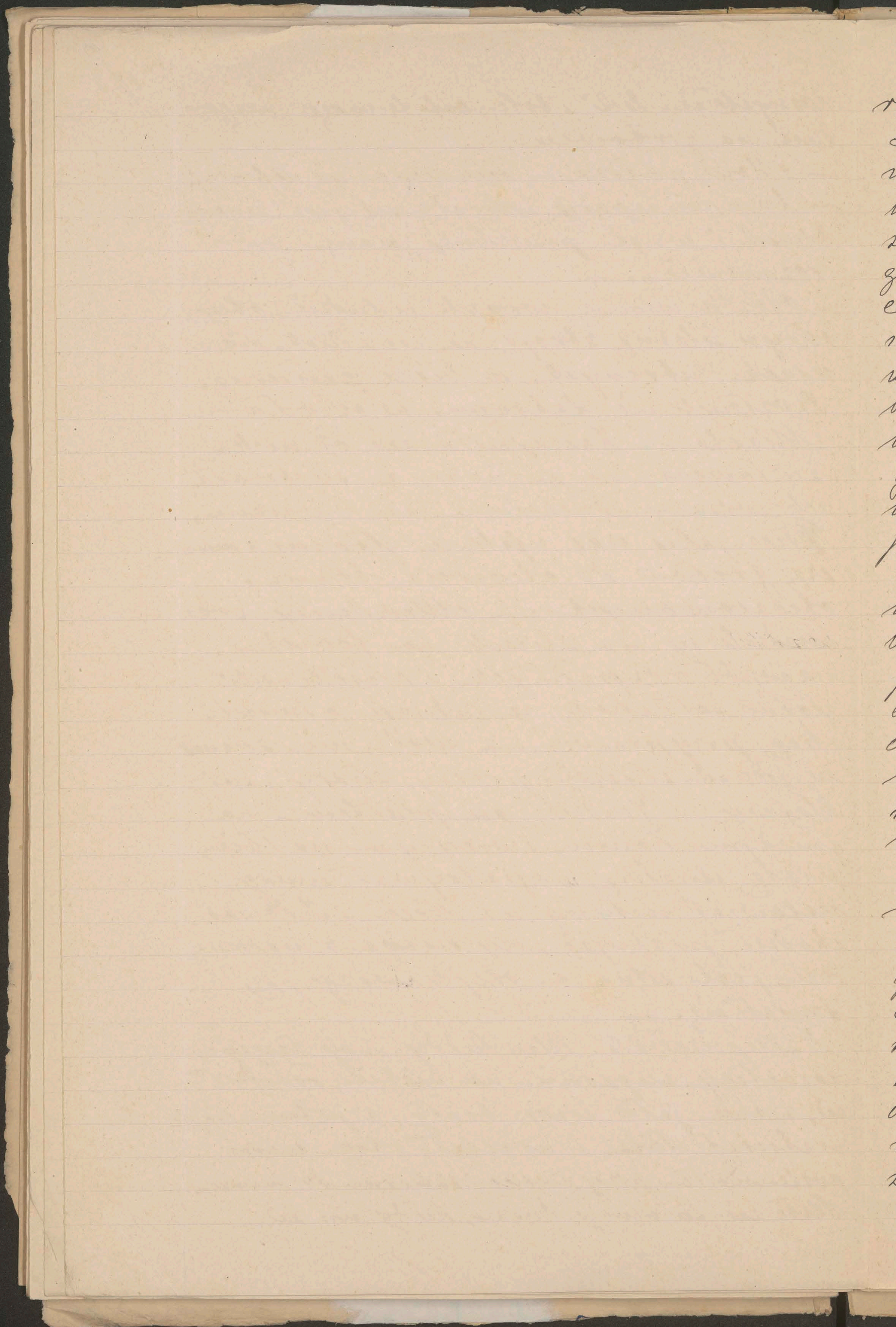


wszystkie łzy i bole ostatecznego mego dnia na grobowcu. —

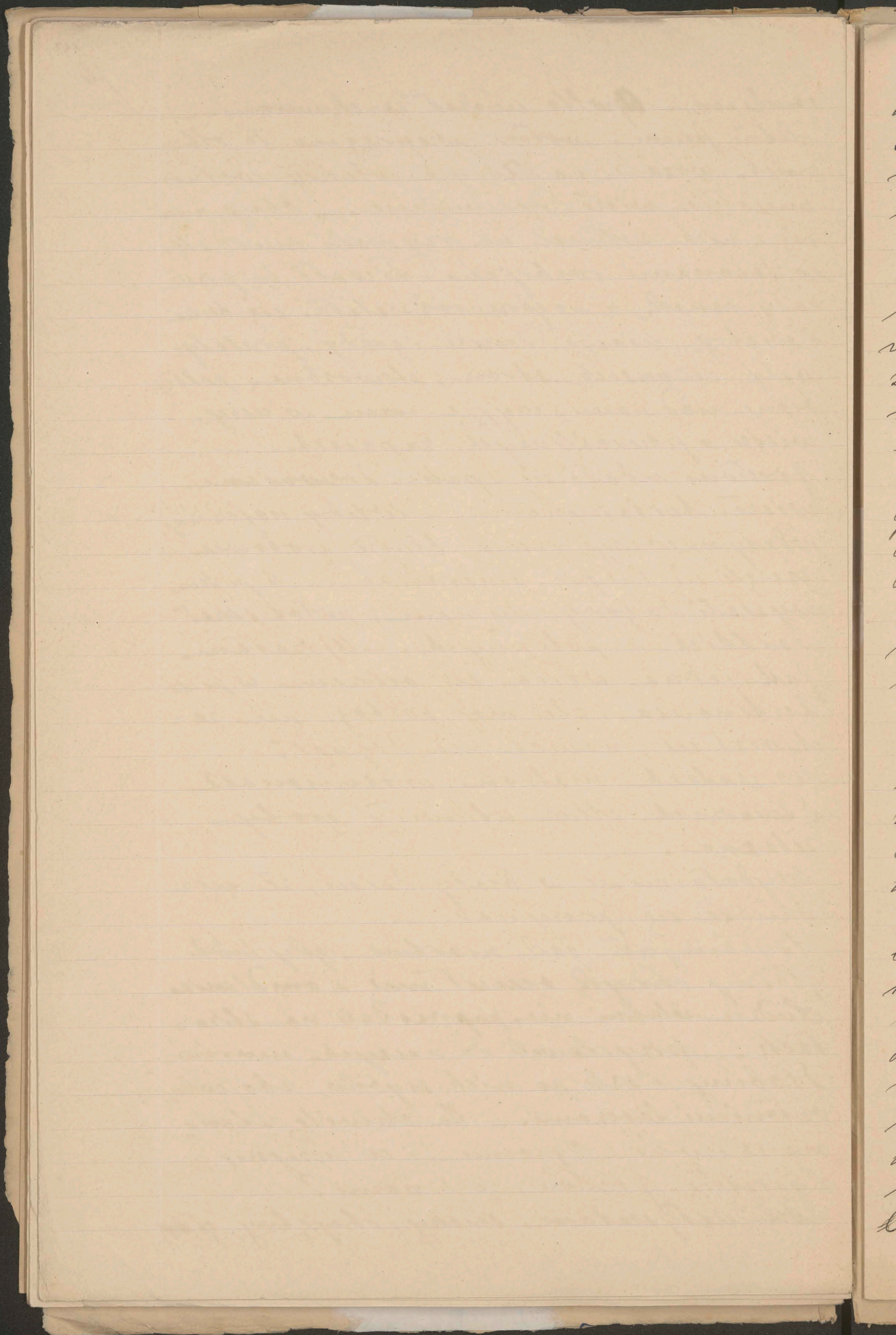
— Mów prędko, — odezwała się Afrodyta; — bo przez szpary wkrada się już sinawy brzask i wnet przeszkodzą nam w rozmowie. —

— Otóż z wiosną wrócili i ludzie obcy, obryci żelazną zbroją, na ciężkich koniach, ubranych w łuskę pancerną. Rozłożyli się taborem u grodu Miasta. — Zaczerniło się od nich, zwłaszcza na północy, a zuchwała ich wrzawa dochodziła aż ku nam. Przez jakiś czas ufali, że głodem zmuszą Greków do otwarcia bram obwarowanych. — Mieszkańcy gromadzili się na ulicach, na forach, na wpół rozpadłych, i przeklinali głośno żołdaków, że ludność o śmierć chcą przyprawić. — Wódz nie zdawał się jednak słyszeć prośby, skargi, ani klątwy. — Jeździł, jak przedtem, na gniadym koniu, świecącym na łbie, białą gwiazdką, i opatrywał mury, ustawiał rutyny na rzece. — I do nas chodził, próbując, czy ściana z marmuru jest silna, a obejrzawszy ją, śmiał się. —

Dzień czekali. Ale kiedy mój księżyc, zagaszony zupełnie na niebie, odrodził się, znowu jako sierp biały, a potem ciągle nabierał złota i urastał, obca czerń postanowiła przypuścić szturm do muru. Stało się to owego dnia, kiedy mi się



rozkazem Apollo odlatał ze chmurami. —
Setki jarzem wołów poprzęgano do olbrzy-
mich wozów, na których wlekły wolno
wysokie wieże drewniane. — Obcy mieli
się z nich wdzierać na rzymski mur, albo
go taranami rozbijać. — Trwało to przez
cały ranek, a w górze rozszalała się burza
i wiatry, niosące deszcze i grady, przelaty-
wały ze wszech stron, strwożone, podłę-
bione nad nami, wyjące nam w uszy,
wieści o przeraźliwych zapasach. —
Grekom udało się spalić drewniane
wieże barbarzyńców. — Wtedy najeźdźcy,
podpływawszy rzekę, blisko grobowca,
zaczęli się kupić i naradzać. — A potem
wysłali do góry, ku nam, polot strzał
wartkich a potężnych. — Ujrzałam
jak jedna wbiła się ostrzem w pierś
Antinousa, ale mój półbóg, nie za-
chwiał się, nawet nie drgnął.
W szatach matron, w ramionach
i twarzach Muz utkwiły groty
żelazne. —
Wydało mi się w biały dzień, że ciem-
ność się poczyna. —
Byłam już, jak martwa, gdy ludzki
głośny okrzyk ocucił mię z omdlenia.
Ludzie żelaźni nie poprzestali na strza-
łach. — przystawili do naszych murów
drabiny i szli po nich szybko, zbójecko,
osłonięci tarczami. — Za chwilę staną
na szczycie Ogromu, i co uczynią
z garstką Greków, co z nami?
Tu usłyszałam suchy, obojętny głos,



który mi już nigdy w przeszłych cza-
sach, nie zamrze. — Brzmi ciągle w
mojej skołatanej głowie, czasem w niej
huczy i boli.
Naczelnik drobnej greckiej załogi gro-
bowca, twój rodak, Afrodyte, przechy-
lił się nagle nad kamieniami, strzegącemi
nas potęgą, i ujrzawszy, jak ludzie
zbójni idą po drabinach do góry,
rzekł głosem donośnym:
— Zrzucać posągi! —
I nikt się nie zawahał. — Z głuchym
grzmotem stoczył się w przepaść
uśpiony Faun, ustawiony tak
blisko odemnie. —
Po chwili ujrzałam, że żołnierze wy-
ważają posąg Antinousa z podstawy.
Wtedy myślałam, że krzyknę, ale
nie mogłam —
Coś mi nagle zaparło dech i sama
i dziś nie powiem, jak się to stało,
sama runęłam, druzgocąc swoim
ciężarem drabinę i przyciskając mar-
murem, najcięższe ciała wrogowie.
Upadłszy, poczułam, że tak okalecz-
ona, przestaję ~~istnieć~~, być sobą samą
i boginią, że powracam do martwo-
ty głazu. — Oczy mi naraz zaszły
dziwnym mrokiem, i wierz mi, siostro
myślałam, że konam. Przez tedy
łzy muszę przechodzić śmiertelni,
kiedy mrą. —
Wieczorem, bo i to jeszcze pamiętam,
ludzie przyszli zgrześć swoich. —

Dla ułatwienia roboty sypali ziemię na martwych i na nas, bogów porzuconych. — Ale zanim mię całą pokryli piaskiem, słyszałam ciągle, nie wiem już czy na jawie, czy przez sen, owo upiększone, złowrogie słowo: „Belvedere" powtarzające się nieustannie w gawędzie żołdaków, oszalałych od zwycięstwa i od wina. Odówczas, nastał dla mnie ów chory sen i owe bolesne wspomnienia . . . .

—

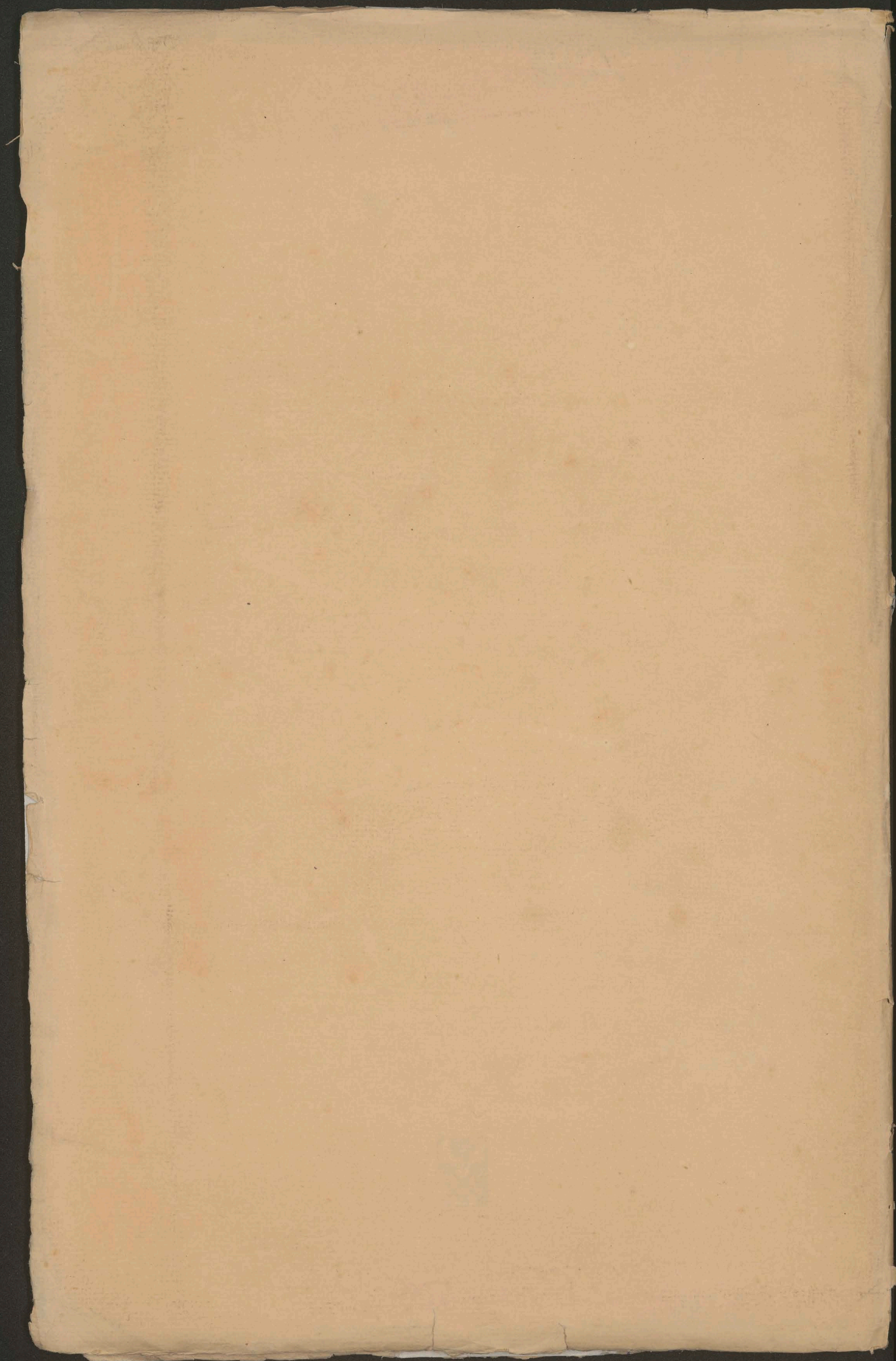
— —

Tu nagle zamilkła Dyana, bo woźni muzealni weszli do sal, aby otworzyć okiennice. — Tłumem wkroczyli zaraz turyści, panowie w kratkowanych ubraniach i kolorowych koszulach, panie w sukniach podróżnych, szarawych, nie lękających się kurzu. — Wszyscy trzymali w ręku książki, czerwono oprawne. Gdy się zbliżali do oddziału antyków, Afrodyte szepnęła szybko Dyanie:

— patrz, będą znowu czytali Baedekera. —

K. M. Górski. —





Wspomnienia pośmiertne.
1894- 1905.

Wspomnienia Pośmiertne

X. Marcelina Czartoryska (?)
Ludwik Kostory. (Czas 1905
Ludwik Michałowski (Czas 1899)
Sever Maciejowski Czas 1901
Mowa na pogrzebie Łuszczkiewicza (Czas 1900)

~~X. Czartoryskiej nie ma!~~



125

K. M. GÓRSKI.

Ks. MARCELINA CZARTORYSKA

(Wspomnienie pośmiertne).



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1894.



K. M. GÓRSKI.

Ks. MARCELINA CZARTORYSKA

(Wspomnienie pośmiertne).

ODBITKA Z »CZASU« NRA 130 I 131 Z D. 12 I 13 CZERWCA 1884 R.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1894.



NAKŁADEM AUTORA.

127

Księżna MARCELINA CZARTORYSKA.

I.

Umarła niemal nagle, po kilku dniach choroby. Gdy się rozeszła wieść o beznadziejnym jej stanie, odezwał się tylko żal i żal powszechny. Nikt się nie spytał, kto tę kobietę zastąpi. Za życia jej, przed laty, postawił ktoś wobec niej to pytanie: oburzyła się niem i rozgniewała. Przemawiała wtedy przez nią nie sama skromność; przemówiła i niezachwiana wiara, że sprawom, którym życie oddała na usługi, sprawie patryotycznej i niedoli ubogich, nie może sług ani obrońców zabraknąć. Są może, są pewno między nami tacy, którzy umarłej zazdroszczą owej nieskazitelnej i zupełnej wiary. Bo uczucia gasną, serca maleją, obniża się nastrój ludzi, jak obniżają się wymagania wobec samych siebie, jak ton skargi przycicha. Ktokolwiek zaś znał tę przyjaciółkę i krewną Krasińskiego, tę podobno ostatnią uczennicę Chopina, ten odnajdywał w niej tradycyą

nieustannej otuchy, miłości bez przerw i zawahań. Spojrzawszy na nią, spędziwszy z nią chwilę, wypierano się w duszy zwątpień, niemęskich żalów i trwogi. Widując ją czasem, pomagając jej w najdrobniejszem nawet przedsięwzięciu, doznawał każdy uczucia, że za jej pośrednictwem styka się z ludźmi przeszłych, mężniejszych pokoleń i tworzy dalsze ogniwo wielkiego, długiego łańcucha. Budziła się wtedy w sercu ufność, że i my moglibyśmy się stać młodszymi towarzyszami najżarliwszych duchów w porozbiorowej epoce. A zaprawdę chwila takiej otuchy jest też coś warta i może w życiu zaważyć.

Każdy, kto to czuł, mógł się zbliżyć do zmarłej. Biada natomiast temu, co pomówiwszy z nią szczerzej, oświadczył się z obojętnością, chłodem i wahaniem: nie słyszałem, ażeby ks. Czartoryska karciła kogo słowem, ale umiała się naraz cofnąć tak instynktownie i silnie, stać się tak obcą, nieznajomą osobą, że musiałby nie mieć duszy, ktoby tego zniechęcenia nie odczuł i w grzecznem milczeniu nie poznał ni jednej krzty pogardy. Czuła, że stanowisko upoważnia ją do takiego postępowania, ale wiedziała zwłaszcza, że się powagi tylko na podobne cele używa. Sądzę, że zdawała sobie sprawę z uroku, jaki wielkie nazwisko wywiera, ale kiedy łagodnie, lecz wyraźnie przypominała ludziom obowiązek i korzystała ze swojej powagi, musiała to czynić przedewszystkiem w imię całej swej przeszłości, życia pełnego zachodów i działania, dbałości o dobro, miłości dla wszyst-

kiego, co polskie. Nie wiem, czy pamiętała wtedy, że jest nietylko wielką damą czynną, kobietą zestarzałą w miłosierdziu i szlachetnych posługach, nie wiem, czy przypominała sobie także rolę, którą odgrywała za granicą, rolę swą wśród największych francuskich pisarzy i artystów, własne muzykalne tryumfy. Kiedy się traci bardzo drogą albo niezwykle czczoną osobę, jest to potrzebą i zarazem pociechą przypominać twarz zmarłej, jej wyrazy i postać, a potem słowa, zdania, okruszyny jej duszy. Jest w tem, jak mówię, pociecha, bo czuje się, wspominając, że się tyle sercem wskrzesić i ożywić zdoła, że w nas tyle rzeczy po umarłym zostało. Otóż, gdy na podstawie krótkiej i niemal przelotnej znajomości ks. Czartoryskiej uprzytomnię ją sobie, wydaje mi się, że zwolna pchając ludzi ku dobremu, nie zastanawiała się nawet nad tem, co ją do tego kierownictwa upoważnia. Kto czuje gorąco i czuje tak ciągle, ten bezwiednie znajduje w sobie odwagę i powagę.

Kiedy wspominam ten ostatni dziesiątek lat, w którym mogłem śledzić jej działania, kiedy mi starzy ludzie opowiadają o tem, czem była na emigracyi, kim się otaczała, z kim bywało jej swojsko, do jakich nędz schodziła, nie widzę, aby kiedykolwiek wśród ludzi szukała czego innego — jak ludzi. Nie potrzeba było być nędzarzem, ażeby znaleść przystęp do jej domu. Było w niej tyle osób i tyle strun: wystarczało zrozumieć się z nią na jednym punkcie, chcieć także pomódz biednym,

umiłować sztukę, objawić jakie pragnienie rzeczy piękniejszych i lepszych. Nieubłaganą i zimną była tylko wobec ludzi, w których głęboką prawość i czyste zamiary uwierzyć nie mogła. Inni mogli liczyć na jej przychylność, pomoc, jej uprzejmość. Tę ostatnią zaletę posiadała w tym stopniu, jaki wyobraźnia ogółu przyznaje tylko wielkim paniom dawnego zakroju. Być wielką panią znaczy u nas jeszcze tyle, co być kobietą bardziej wykwintną od innych, bardziej wybitną wykształceniem, kulturą i dobrocią, a sercem i umysłem więcej uprzejmą i pociągającą. Słyszę, że nastają teraz inne obyczaje, że lekceważenie ludzi uchodzi za skuteczny środek odróżniania się w świecie. U nas w Polsce dzieje się to chyba pod cudzoziemskiem tchnieniem. Ks. Czartoryska była przedewszystkiem Polką i miała uprzejmość wielkiej damy polskiej, ona, u nas może najwybitniejsza, może ostatnia przedstawicielka tych czasów, kiedy na Zachodzie istniała jeszcze wykwintna instytucya, którą ludzie dzisiejsi z nawpół historycznem uczuciem nazywają salonem, czyli zgromadzeniem ludzi wpływowych, światłych, wykształconych i wytwornych. Dzięki jej, istniał podobno i w Krakowie salon stały, codzienny, nietylko odświętny. Jako artystka niosła do nas muzykę, jako światowa kobieta, poważne światowe zebrania; chciała żyć w mieście, na którego cmentarzu ją złożono. Z Radziwiłłów Czartoryska wiedziała, że nasze wielkie nazwiska powinny w kraju świecić, że historyi polskich rodów szuka

się na kartach polskiej historyi, że gdy nasze autentyczne tytuły giną za granicą wśród podejrzanych mitr i istotnych koron z czasu wojen krzyżowych, to mogą się u nas stać tytułem do zdwojonego szacunku.

Do wszystkich odnosiła się jej uprzejmość. Pisząc o niej, nie mogę nie powtarzać tego wyrazu; nie podobna mi go zastąpić słowem „grzeczność", nie dodać jeszcze określenia „serdeczna". Światowy takt, nie zdolny nikogo urazić, jest już rzeczą zbyt rzadką; ale księżna posiadała i ów takt głębszy, który bywa nietylko zaletą, ale czasami i cnotą, bo wypływa wprawdzie i z przenikliwości, znajomości ludzi i rozumu, ale w swej treści jest raczej delikatnością serca niż wyrafinowaniem umysłu.

Nie wiem, czy natura, czy też wielkie wyrobienie nadało jej dar tak u nas pożądany: życzliwość. Kto wie, może dlatego sprzyjała wielu ludziom, że dbała gorąco o ogólną sprawę? Musiała wiedzieć, że aby poprowadzić i doskonalić człowieka, niemasz jak zachęta, czasami cierpliwa otucha, czasami wyczekiwanie, uśmiech przyjazny, czasami nawet ufna pobłażliwość.

Więc nie śmiem pytać, kto ją zastąpi. Ale widząc ją martwą, mogę się skarżyć, że nikt mi już pewno tak nie przypomni czasów, kiedy sympatye dla sprawy polskiej budziły się jeszcze po całym świecie, kiedy ta sprawa była żywotną, codzienną, kiedy jeszcze istniały: Europa, Zachód, inna Francya. W czyich opowiadaniach tak odżyją

i nasi wielcy ludzie i obcy mężowie, szlachetni a nam przychylni, jak w rzadkich wyznaniach umarłej? Kto mi tak lepsze dni uprzytomni, jak ta kobieta skromna, zwykle cicha, ale świadcząca o nich samą swą osobą? Będziemy nadal czytać Krasińskiego i słuchać Chopin'a, będziemy wertować „Wiadomości polskie", ale coraz rzadziej spotkamy się ze świadkami tych czasów, z takimi, co wtedy krzątali się, znali tych ludzi, a co ważniejsza, żyli w podniosłej ich atmosferze. W czyjem obejściu poczuję ich tchnienie, sposób myślenia i czucia Montalembert'a lub lorda Dudley Stuart? Spójnia zaniknie, przerwie się tradycya patryotycznej polskiej akcyi na Zachodzie, zginie łączność z wielką umysłową kulturą, z najpiękniejszym artystycznym ruchem, jaki może Europa XIX-go wieku widziała. Będziemy znowu ubożsi we wspomnienia. Żywa tradycya schodzi z widnokręgu; zastąpi ją co najwyżej blade, nieosobiste badanie. Z księżną Czartoryską żegnamy wielką część tego świata, który powoli, nieustannie „w ciemność już zachodzi — wraz z całą tęczą idealnych snów".



II.

Nie ośmielę się opowiadać życia zmarłej chociażby w najkrótszym zarysie. Niech to uczynią ci, co ją znali oddawna i zbliska, w różnych okresach jednolitego działania. Jeżeli pomiędzy ludźmi, co w wielu ważnych sprawach brali udział i wiele pamiętają, są dzisiaj tacy, co piszą pamiętniki, to z kart ich wspomnień wstanie kiedyś postać księżnej w całej szlachetności i powadze. Chciałbym od siebie dodać — „i w swoim osobliwszym uroku“, ale lękam się, że nie łatwo będzie oddać go słowami. Na korespondencyę nie można podobno liczyć. Księżna niszczyła, jak słyszę, listy od ludzi wybitnych politycznie i od słynnych artystów, bo zawierały jej pochwałę. Dużo papierów zresztą spłonęło podczas pożaru Woli Justowskiej: naoczny świadek wypadku opowiada mi, jak pośród wyrzucanych przedmiotów ujrzał i ocalił list Chopin'a. Nie wie jednak, co się z nim potem stało. Ludzie, którzy dużo przeżyli, dużo piękna zaznali, lękają się nieraz pośmiertnej niedyskrecyi lub obojętności, nieuniknionych wydawnictw i lichych komentarzy.

*

Wiem, że księżną Czartoryską kierowała przedewszystkiem skromność, kiedy paliła swe pamiątki; znając ją trochę, nie zdziwiłbym się, gdyby tu także czasem działały inne pobudki. Co się zaś tyczy listów, pisanych przez nią samą, nie należy się w nich spodziewać świadectw o niej. Będą one jedynie mówiły o ciągłej akcyi zewnętrznej. Posiadam taki list, poświęcony wyłącznie sprawie bliskiego mi młodzieńca, uniwersyteckiego kolegi. Nie chodziło tym razem o materyalną zapomogę, ale o pomoc moralną, o wlanie otuchy, przywrócenie energii i odwagi. Zanim się sama odezwała do chłopca zbolałego niesprawiedliwością ludzką, chciała znać jego usposobienie, aby swój list do stanu duszy zastosować. Tak radził jej ów płynący ze serca takt, o którym wyżej wspomniałem. Wiem, że dawni jej znajomi mogliby na to przytoczyć liczniejsze i silniejsze dowody. Pragnąłbym, aby to uczynili. Bo osoby, o których się mówi, za ich życia z tą czcią, z tem wszechstronnem i spokojnem ocenieniem ich wartości, tym tonem, który się zwykle tylko do umarłych, do pożegnanych odnosi, te osoby zasługują na to, aby po śmierci powstały, jak żywe, z ludzkich świadectw i wspomnień.

Słyszałem dużo opowiadań o księżnej, może dlatego, że ich słuchałem tak chętnie. Nie chcę powtarzać dat jej życia, które w tem piśmie przed kilku dniami podano. Ale radbym zapisać parę szczegółów, parę rysów charakterystycznych. Ro-

bię to trwożnie i w poczuciu żalu, że będą to już wiadomości, zaczerpnięte od drugich. Od znakomitej kobiety, którą danem mi było widywać i znać na tyle, aby ją czcić i ukochać, dzieli już i mnie wielka, długa przeszłość. Pomiędzy tą uczestniczką dni lepszych i ufniejszych, a spisującym niektóre jej zasługi, leżą już dzisiaj obce wrażenia, cudze opowieści.

Księżniczka Marcelina Radziwiłłówna, córka Michała, pułkownika wojsk napoleońskich, urodziła się 1817 r. w Podłużnem na Polesiu. Matkę straciła za młodu, a ponieważ babka po kądzieli, pani Worcellowa, mieszkała w Wiedniu, księżniczka przebywała tam często. Muzykalne miasto nie pozostało bez wpływu na artystyczne jej zamiłowania. Odezwała się w niej może jakaś zdolność dziedziczna. Wiadomo wszystkim — zwłaszcza w Niemczech — że ks. Antoni Radziwiłł napisał pierwszą muzykę do *Fausta*, że dzięki jemu dwór berliński zapoznał się z największem dziełem niemieckiej poezyi. Działo się to na rok przed urodzeniem księżniczki. W kilkadziesiąt lat potem pod jej okiem tworzył Gounod swego *Fausta*, zasięgając co chwila jej rady, zdania kilku jej przyjaciół Polaków: pytał ich często, czy muzyka, którą pisze, odpowiada duchowi poety, czy wydaje się im dość germańską. Do końca życia pozostał stary, pobożny maestro francuski serdecznym zwolennikiem, wielbicielem księżnej. W roku 1840 wyszła za ks. Aleksandra Czartoryskiego. Starzy znajomi opowiadają, że niczyjego sądu w spra-

wach muzycznych nie lękała się tak żywo, jak zdania męża. Zrosła się zupełnie z jego rodziną i dała nieraz czynne tego dowody. Mówiła kiedyś, pamiętam to wybornie, że nosi z dumą nazwisko, które ze ślubem przyjęła. Bo kiedy sięgając w przeszłość, odnajdywała wśród własnych przodków postaci pod względem patryotycznym ujemne, kilku wichrzycieli i odstępców, między Czartoryskimi spotykała ludzi większej lub mniejszej tęgości i energii, ale złego Polaka i zaprzańca tam nie było. Na tę kobietę miłosiernego i podniosłego serca będą się mogły dwa rody powoływać.

Chęć dopomagania naszej młodzieży w Wiedniu wygnała ją niebawem z austryackiej stolicy. Udzielała oddawna zapomóg polskim studentom na wszechnicy; wybuchła tymczasem rewolucya 1848 roku. W zasiłkach, przesyłanych akademikom, ujrzano zamiar popierania rewolucyi, kazano więc księżnej opuścić granice Austryi. Ponieważ zaś była wtedy poddaną rosyjską, zawezwano ją do Petersburga, gdzie, wyczekując na wyrok, przebyła kilka ponurych miesięcy, aż jej nareszcie pozwolono wrócić na Zachód, zjechać się znowu z mężem i synem. Pani Worcellowa już nie żyła, pobyt w Wiedniu był zakazany, księżna zwróciła się też do Paryża, gdzie od zamążpójścia spędzała już nieraz całe miesiące. Tam poznała Chopin'a, tam stała się z czasem najulubieńszą jego uczennicą. Konając, kazał jej zasiąść do fortepianu. Ostatnie chwile Chopin'a stały się pastwą legendy. Turgeniew śmiał się z tylu wirtuozek, z tylu wiel-

kich pań muzykalnych, z których każda twierdziła, że Chopin umarł przy dźwiękach jej gry. Nie dziwię się im: kto sobie w samej sztuce stanowiska wywalczyć nie zdoła, stara się przynajmniej o miejsce w anegdotycznej historyi sztuki. O ile wiem, księżna nie opowiadała o swej obecności przy tej śmierci. Bo też — mówię to od siebie — cóż mogło wielkiej artystce zależeć na takiem, głównie przypadkowem zdarzeniu? Mimo to muszę zaznaczyć, że księżna w tej chwili siedziała u fortepianu. Malarz Kwiatkowski, naoczny świadek sceny, zgromadził na swym obrazie tylko następujące osoby: księżnę Czartoryską, panią Delfinę Potocką, X. Jełowickiego, Alberta Grzymałę i Telefsena.

Istnieje inny obraz Kwiatkowskiego, znany podobno w kilku replikach, wyszłych z rąk samego artysty, przyjaciela Chopina. Jedna z nich, bardzo piękna, wisi u pp. Kościelskich i w berlińskim salonie przypomina swoim i obcym gościom narodową dumę i chwałę. Widzimy tam Chopina w chwili, gdy wykonywa lub tworzy swego poloneza. Przesuwają się różnorodne polskie postaci od husarzy skrzydlatych do obrońców Warszawy w 1831 roku, do najznakomitszych mężów w emigracyi. Obok artysty, wśród kółka najbliższych mu osób, na pierwszym planie postawił malarz ks. Czartoryską.

Wiadomo, że czyściej i dokładniej od innych przechowywała ona tradycyą swego mistrza; wiadomo, że kto chciał poznać myśl Chopina, przy-

jeżdżał na naukę do Krakowa. Artyści, którzy się dziś liczą do najsławniejszych na obydwóch półkulach, mówili mi o „starej księżnej“ z podziwem, czcią i uwielbieniem. Za dawnych czasów przychodził do niej Liszt, chcąc jej gry posłuchać; prosił wtedy, aby nikogo nie wpuszczano do salonu, z wyjątkiem Maurycego Manna. Chory na oczy Krasiński słuchał godzinami jej gry w pokoju o zasłoniętych oknach. Później księżna musiała nieraz prostować pojęcia o Chopinie. Poczęto przesadzać w cichości gry, w delikatności dotknięcia, zamieniano subtelność uczucia na sentymentalizm. Ks. Czartoryska broniła wtedy ludowego zacięcia mazurków, powtarzała chętnie słowa, które Krasiński zwrócił do Słowackiego, radziła więcej granitów podłożyć pod lazury. Sądzę zresztą, o ile się w takich sprawach mogę ze zdaniem odzywać, że jak wogóle w sztuce, tak i w dziełach muzycznych lubiła szukać nietylko wrażeń, ale myśli. Nie zadawalniały jej — i w tem się może różniła od współczesnych — utwory poetyckie, starające się impresyonistycznie, za pomocą nawału porównań, oddać znaczenie muzykalnego dzieła. Wolała, aby wyrażono jego myśl w kilku jasnych, wyraźnych obrazach. Dlatego nie lękała się komentarzy, owszem starała się o nie. Na jej prośbę wygłosił niegdyś St. Tarnowski odczyty o dziełach Chopina, które wykonywała pośród pauz wykładu. Później, mając grać na koncercie słynnego poloneza, zwróciła się do nawskroś muzykalnego młodego przyjaciela z życzeniem, aby w wierszu

zaznaczył kilka scen, które według jej, popartego tradycyą pojęcia, stanowiły osnowę, główne momenta utworu.

Grywała wiele dla przyjaciół. Dużo osób w Krakowie pamięta jej wtorkowe muzykalne wieczory, w których najznakomitsi artyści brali obok niej udział. Dokoła fortepianu księżnej gromadzili się nieraz różnorodni ludzie: wspomnę tylko jednego, Matejkę. Bywali tam nietylko nawskróś muzykalni. Księżna chciała też czasem — wiem to najlepiej — nawrócić kogo do muzyki, wytłómaczyć mu, że może ją zrozumieć. Najwybitniejszą cechą tej kobiety była dobroć. Wobec jednostek objawiała się ona życzliwością, wobec ogółu — miłosierdziem.

Słyszano ją też najczęściej na dobroczynnych koncertach. Pamiętają je w Krakowie, a pewno i w Paryżu. Grywała tam na cele polskiego Towarzystwa dobroczynności w sali Herza. Towarzyszyli jej wtedy artyści, biorący zazwyczaj udział w t. zw. *concerts du conservatoire*; występowali i jej dobrzy, słynni znajomi, Vieuxtemps i Franchomme. Nie wzywano prasy na te wieczory, jeden Jules Janin otrzymywał od księżnej kartę wstępu, za którą stale płacił setką franków. Koncerta przynosiły po kilkanaście tysięcy. Później grywała ks. Czartoryska w Londynie, grywała w prywatnym salonie, ale i tu płynęły pieniądze na rzecz emigracyi. Była to epoka stosunków z lordem Dudley Stuart, stałym obrońcą naszej narodowej sprawy. Po takim koncercie kolonia

polska w Londynie chciała raz złożyć księżnej dar honorowy, wyborny fortepian w cenie kilku tysięcy franków; suma ta przeszła jednak z woli artystki do kasy Polaków, przebywających w Anglii. Z artystyczną publicznością Zachodu pożegnała się księżna przed kilku laty, dając w Wiedniu koncert razem z Lisztem. Cel był znów polski, patryotyczny i dobroczynny zarazem.

Po śmierci męża fortepian milczał długo. Odezwał się dopiero w ostatnim roku i w najściślejszem gronie słuchaczy. Wielka artystka nie chciała młodym talentom odmówić nauki i porady; odżyła dla muzyki, słuchała jej chętnie. Księżna umówiła się nawet z dobrą, miłą jej znajomą, zamieszkałą w tym samym domu, co ona; prosiła, by sąsiadka schodziła do niej, ilekroć zagra parę taktów z oznaczonego mazurka Chopina. Niemasz dwóch tygodni, jak ten fortepian brzmiał jeszcze.

III.

Księżna pragnęła najprostszego pogrzebu. Rozporządzeń, które miała wydać pod tym względem, nie odnaleziono dotychczas w jej papierach. Ale syn znał jej wolę i zastosował się do niej. Nie było mów ani w kościele, ani na cmentarzu, ani przed szpitalem św. Ludwika, zawdzięczającym księżnej swe istnienie. Kierownicy szpitala wymogli tylko tyle, że pochód przystanął przed gmachem. Wydaje mi się natomiast, że w orszaku było niezwykle cicho, smutno i poważnie. Albo też ogarniała mnie ta rzadka, na świat zewnętrzny obojętna cichość, w której się słyszy szelest płynącego czasu.

Na końcu pochodu szło kilku ludzi, przedstawicieli dni lepszych, kilku takich, którzy umarłą znali na emigracyi. Nam młodszym może się łatwo wydawać, że ćwierć wieku, którą spędziła w Krakowie, stanowi najważniejszy okres w jej miłosiernem działaniu. Widzieliśmy ją tu, widzieliśmy ją sami, czynną, zapobiegliwą i datną. Nie pamiętamy zaś tego, czem przez lat blisko dwadzieścia była dla Polaków w Paryżu. W życiu ludzi

wybitnych, wielkich artystów, wydaje się po kolei każda epoka najbardziej znaczącą i godną poznania. Uwagę tę piękną i nie moją, wolno mi może powtórzyć nad grobem kobiety, która miała niezwykły talent do miłosierdzia. Nam, dalszym, ukazuje się ona zwłaszcza jako uczestniczka chlubnych i podniosłych czasów, słynna artystka, przyjaciółka i pomocnica wszystkich najgorętszych patryotów, wszystkich przyjaciół Polski za granicą; bliżsi wspominają przedewszystkiem jej nieustanną dobroczynną akcyę. My obcy znajdziemy może potwierdzenie naszych pojęć w głosie późniejszych pokoleń, w historyi, która tyle wewnętrznych poczuć porzuca i opuszcza na drodze. Istotną prawdą zostaną mimo to słowa: „błogosławieni miłosierni.“

Nie brakło w Paryżu osób, ktore się zajęły losem polskich emigrantów: dlaczegóż nazywali oni tylko tę umarłą „księżną-matką,“ albo „naszą księżną?“ A jednak kiedy chodziła do chorych w szpitalu, nie wiedzieli oni zazwyczaj, z kim mają do czynienia. Sądzili, że ich ktoś z rozkazu księżnej Marceliny odwiedza. Zdarzyło się, że kiedy raz odezwała się w swojem imieniu, sfukał ją stary żołnierz z 1831-go roku, zarzucił jej kłamstwo, nie mógł jej sobie bowiem wystawić w tej prostej, serdecznej osobie. Tej, co mu usługiwała w chorobie, wołał, że nie warta być nawet służącą „naszej księżnej.“ Lękał się potem gniewu ks. Czartoryskiej, lękał się żywo, ale nie

długo. Bo nadszedł prędko dzień, w którym opiekunka chorych wracała do szpitala.

Podobnie, kiedy umarła, tłum chodził ją oglądać, ufny, że zajrzy razem w przepych książęcych pokoi. To samo zdumienie, które musiało czasem ogarniać jej znajomych, spotkało teraz jej pośmiertnych gości. Zastali ją leżącą na katafalku, w małym pokoiku, gdzie przez lat kilka sypiała. Nie ujrzeli złoconych mebli, olbrzymich luster, których mieli prawo się spodziewać. Nie zauważyli zapewne rycin Falck'a i rysunków Norblin'a, pianina, stojącego w kącie salonu. Nie mogli ocenić artystycznej i pamiątkowej wartości tych przedmiotów. Nie wiedzieli także, jak skromnem, niemal ubogiem było życie tej księżnej; nie wszyscy zdali sobie z tego sprawę, że wielka pani oszczędzała na własnych wydatkach, bo jest po świecie, jest zwłaszcza w Polsce, dużo bied i nędz do zaspokojenia. Ja, który się raz przypadkiem dowiedziałem, ile czyniła dla wygnańców z Podlasia, mam prawo mówić o jej miłosierdziu.

Mimo to w skromnem mieszkaniu lat ostatnich gromadzili się za jej życia nietylko ci, co razem z nią brali udział w dobroczynnych przedsięwzięciach: pokój, ozdobiony sztychami, stawał się jeszcze chwilami salonem. Można tam było spotykać najdawniejszych znajomych umarłej, tych kilku ludzi z emigracyi, którzy teraz szli na końcu pogrzebu, zamykając pochód. Wtedy przychodziły mimowoli na myśl świetne paryskie zebrania u księżnej, na których słuchano gry Chopin'a, Franchomme'a.

śpiewu pani Viardot, a między słuchaczami siedział taki Villemain, taki Berryer, częsty jej gość i bliski znajomy, albo ksiądz Gratry, dziś nieco zapomniany, głośny podówczas filozof i moralista. Widziałem raz zeszyt nut, należących do zmarłej, na którym ten były uczeń szkoły politechnicznej, matematyk, później kapłan, mówca, członek francuskiej, Akademii, wypisał ładną, dla niego bardzo charakterystyczną definicyę: „Muzyka! wykwit matematyki, oddany na usługi serc ludzkich.“ Malarze, jak to pani Jaubert zapisuje w swoich wspomnieniach, słuchali wtedy chętnie muzyki; stanowili zazwyczaj przeważną część audytoryum w paryskich muzykalnych salonach. Z naszych artystów, prócz Kwiatkowskiego, którego przyjaźń dla Chopin'a łączyła także z księżną, bywali u niej często dwaj stali przyjaciele, Leon Kapliński i Henryk Rodakowski. Z obcych Horacy Vernet, Ary Scheffer, Paweł Delaroche, Ingres, Eugeniusz Delacroix. Wiadomo, jaka przepaść dzieliła tych dwóch ostatnich artystów; nie było między nimi ani zgodności w pojęciach, ani osobistej sympatyi. Godziła ich ze sobą muzyka, ale, jak mówią, jeszcze bardziej uprzejmość tego domu. I później w Krakowie i na Woli Justowskiej nie brakło nigdy u księżnej pisarzy lub artystów. Przyciągała ich mimowolnie, bo instynktownie pociągali ją sami. Wspomniałem już o Matejce; pamiętam u niej biednego, starego, a żarliwego Guyskiego, który jej popiersia, niestety, nie zrobił. Szereg młodych artystów mógłby powiedzieć, jaką otuchę i pomoc

znaleźli na Woli. Ostatnim, o którego talent, pracę i powodzenie dbała równie żywo, jak o działalność dawniejszych paryskich przyjaciół, był malarz „Niedzieli w kopalni,“ „Etapów na Syberyi,“ „Listów z ojczyzny.“ Sądzę nawet, że po za najbliższymi krwią i wspomnieniami, nikt się tak dziś chlubić nie może jej stałą troskliwą miłością. Na trzy dni przed chorobą pytała się mnie jeszcze o jego obrazy, usposobienie, zamiary. Przypominał on jej tem może dawniejszych bliskich artystów, że ma w tworzeniu myśl szlachetniejszą i podniosłą, której księżna musiała szukać w sztuce, do o nią przedewszystkiem dbała w życiu.

Kiedy się zaszło do jej domu, myśl nieraz cofała się w głąb, od artystycznych zebrań szła do tych może jeszcze piękniejszych wieczorów, na których sama obecność Berryer'a lub Montalemberta podnosiła nastrój rozmowy. Obrońca Kościoła i Polski, musiał się oczywiście zetknąć, zbliżyć z księżną. Zdaje mi się, że z Mickiewiczem miała nie wiele osobistych stosunków; ale Mickiewicz nietylko cenił wysoko jej grę, ale ją samą głęboko szanował. Nie mógł jej nie znać z opowiadań emigracyi. Ze wszystkich zgromadzeń u księżnej Czartoryskiej, gdybym je mógł wskrzesić i podsłuchać, chciałbym przedewszystkiem poznać poufne rozmowy, które z nią wiedli, w których się jej skarżyli najwybitniejsi Polacy w Paryżu. Z kilkoma pośród nich danem jej było widywać się, współdziałać w Galicyi. Do najdawniejszych jej

przyjaciół należeli Julian Klaczko oraz naprzód pan, potem ksiądz Waleryan Kalinka.

Od 1853 roku do 1867 mieszkała stale w Paryżu, z wyjątkiem zimy 1859 i 1860 roku, które spędziła w Krakowie, przy synu, uczęszczającym tu na uniwersytet. Bawiła w kraju za specyalnem, chwilowem pozwoleniem. Słynne są jej na pozór czysto światowe zatargi z ówczesnym prezydentem Zachodniej Galicyi. Dopiero w r. 1867 mogła osiąść na stałe w Krakowie.

Działalność tych ostatnich lat jest nam wszystkim znaną. Ale powinni opowiadać o niej ci, co widywali księżnę przy pracy, w szpitalu św. Ludwika, w Towarzystwie św. Wincentego a Paulo, w zakładzie św. Jadwigi, w domu Sióstr miłosierdzia na Kazimierzu, ci zwłaszcza, co z nią schodzili do podziemnych mieszkań w tej dzielnicy. Mikołaj Zyblikiewicz byłby był mógł wiele o niej mówić: dwom tym gorącym, energicznym duszom nie trudno było się zrozumieć. Wszyscy, nawet dalsi, mogą, będą ją wspominać. Ja usiłowałem tylko przypomnieć kilka jej cech, powtórzyć parę wiadomości o niej.

IV.

U krakowskiego artysty, przyjaciela X. Czartoryskiej, znajduje się na sztaludze obraz, nazwany „Melancholia“. Przedstawia pracownię malarską, z oknem po prawej stronie, przez które widać ogród. Za oknem kobieta, ubrana czarno, stojąca w zadumie. Cisną się do niej postaci: naprzód konfederaci barscy, potem napoleońscy legioniści, żołnierze z 1831 r., późniejsi i jeszcze późniejsi powstańcy. Za nimi już tylko kupka dzieci, ale ci chłopcy bawią się w żołnierzy. Na obrazie niema kobiet i jest to może niesłuszne. Ufajmy razem ze zmarłą, że taka melancholia nie opuści nas aż do nastania dni lepszych. Głęboka żałość ogarnia jednak widza, stojącego przed niedokończonem płótnem. Bo coraz bardziej zanikają ludzie, których malarz umieścił najbliżej tej smutnej, stojącej po za pracownią postaci. Widziałem jeszcze napoleońskich jenerałów, znam takich, co pamiętają konfederatów barskich, mówiłem z uczniami szkoły podchorążych, którzy zdobywali Belweder. I znam późniejszych, nieszczęsnych wojowników, ludzi, co długie lata spędzili na Sybirze. Ale o czem ja

młodszym opowiem? Zapewne będę mógł nazywać dzielnych, ufnych ludzi, na których pracę patrzę, jednak dla naszego pokolenia nie starczyło już purpury, zabrakło dawnej świetności i chwały. Będę tylko mówił, jakim tonem mnie o nich mówiono. Bo nie dość mi na tem, że czciłem umarłych, żem szedł ze łzami za drugim pogrzebem Mickiewicza, niósłem trumnę Szujskiego, a kwiaty za trumną Matejki. Przypomnę chyba, żem jeszcze ze drżeniem słyszał uczennicę Chopin'a, grającą siódme preludyum i poloneza na wzięcie Warszawy.

Księżna nie chciała być jedynie reprezentantką tradycyi, była uczestniczką i krzewicielką działania. Jest więc powód do podwójnego żalu nad jej grobem. A mimo to odzywa się przy nim zwłaszcza tęsknota za jakąś lepszą przeszłością, za epoką ginącą, niepowrotną. Czy wskrzesi nam kto jej serce? Jej wzniosłych czasów nikt nam nie ożywi. Zbyteczna więc dziwić się naszemu przygnębieniu i może zbyteczna dziś pytać nimfy Melancholii, zkąd jest rodem.



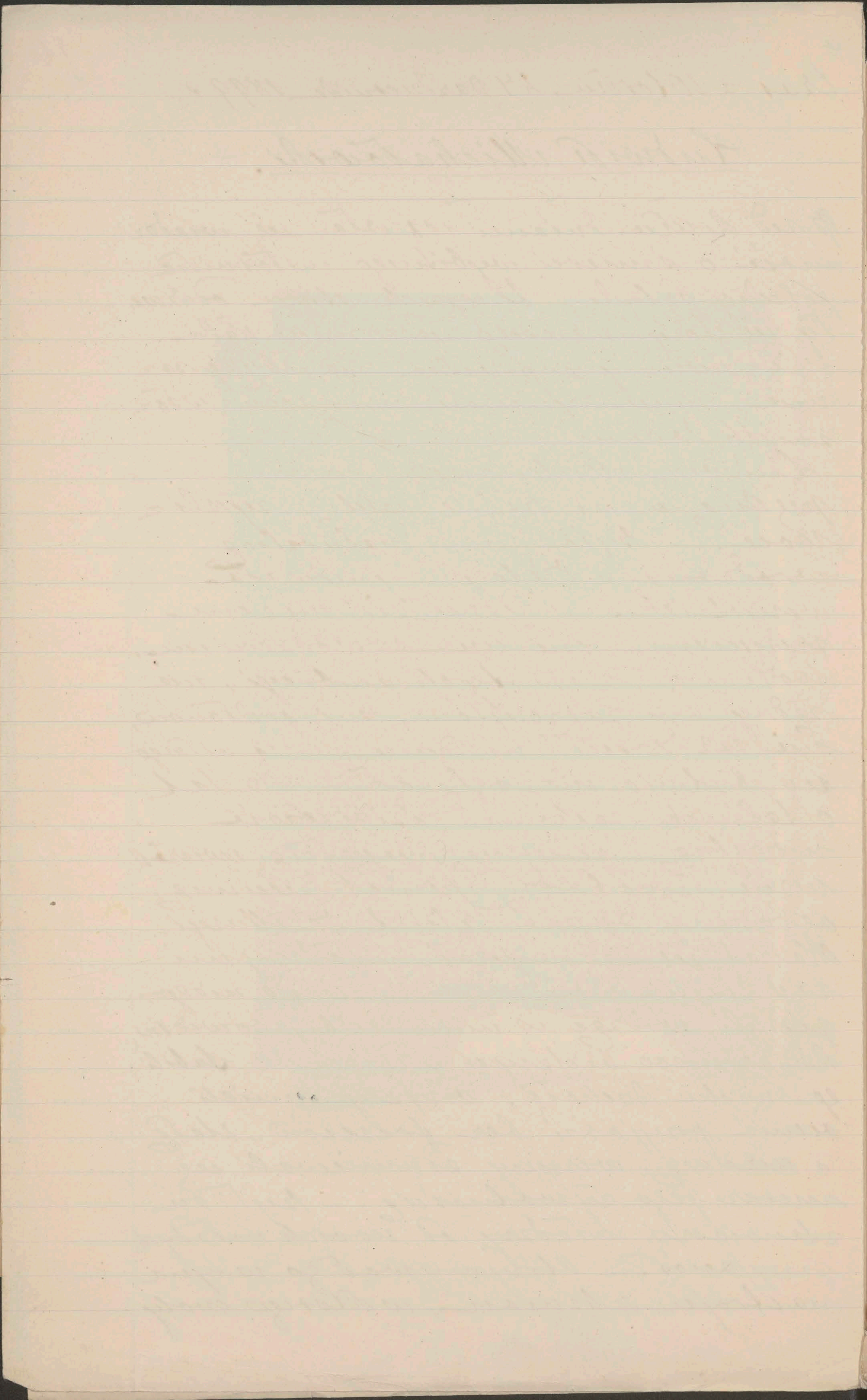
*. w przypisku na dole

Czas z Wtorku 24 października 1899 r.

Ludwik Michałowski. *

Przed kilku dniami rozeszła się wiadomość o śmierci wybitnego miłośnika polskiej sztuki. – Ze wszech stron odezwały się głosy szczerego, serdecznego żalu. Nie możemy poprzestać na ich zapisaniu, musimy jeszcze parę słów własnych dorzucić. –

Ludwik Michałowski posiadał bardzo piękną, u nas rzadką zaletę i życzliwości. – Była mu naturalną, wrodzoną i dlatego ujmowała wszystkich. – Cieszył się cudzem szczęściem, cudzem powodzeniem. Wolny od osobistych ambicyj, nie żądny ani zaszczytów, ani pokłonów, nie zazdrościł nikomu i na nikogo się zbytnio nie oglądał. – Do lat ostatnich zachował dziarskość moralną i fizyczną, zupełną świeżość uczuć, swobodę niemal dziecinną, ogromny zapał, talent do illuzyi. Otaczał się zawsze młodszymi wiekiem, a oni chętnie się do niego garnęli, widząc w nim jakby rówieśnika, o nieco bielszych włosach. – Lubili go, wielu kochało. Wszyscy umieli ocenić przyjaźń bez frazesów, stałą i rzeczywistą, wszyscy zdumiewali się nieraz jego żywotnością. – Był on stanowczo młodszy od swoich młodych przyjaciół. – Utrzymywał go w tym nastroju idealizm, w którego cnoty

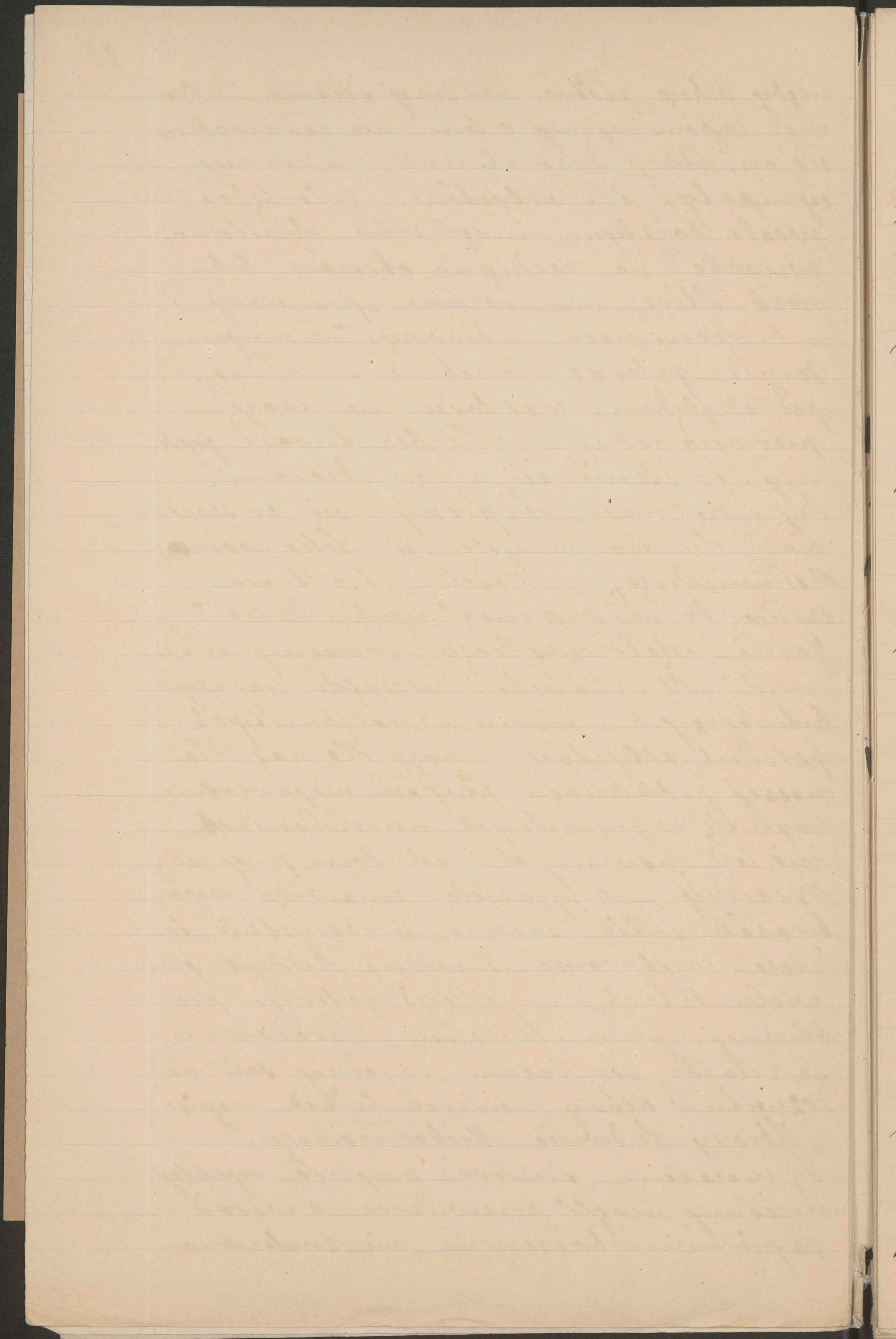


ludzie nie dość wierzą, takiemu, którego nie potrzeba zdobywać za siedmią rzek i za siedmią gór. – Żywił się on dobroci i dziwnie przedłużał piękne dni żywota. – Ludwik Michałowski nie starzał się bo nie było w nim żółci. –

Szukał także, szukał przedewszystkiem towarzystwa artystów. – Musieli go pociągać, bo, jak on sam, nie łatwo poddają się starości, bo, jak on, są zazwyczaj całą duszą niezależni, a nadmiernie wrażliwi. – Są czasem między nimi zupełni dziwacy, a Ludwik Michałowski szedł naprzód bezwiednie do każdej istoty niezwykłej, niecodziennej: gdy chodziło o sztukę, cofał się nieraz przed wielką popularnością, przed słynną artystyczną firmą, przed urzędową pozycją. – W ogóle odstraszała go „wielkość". Urodził się stronnikiem „mniejszości", zwolennikiem opozycji. – Odzywała się też w nim duchowa arystokracja, lecz działał również pewien atawizm, pewien wschodni, kresowy pierwiastek. –

Artyści poznali się na człowieku, poczuli w nim swojego, ujrzeli nadto, że należał do nielicznych w Polsce miłośników malarstwa, którzy mają i sąd osobisty i instynkt. – Można się było nie godzić na różne estetyczne wywody „pana Ludwika", należy jednak zapisać, że on, który dużo obrazów nabywał, nie zawiesił

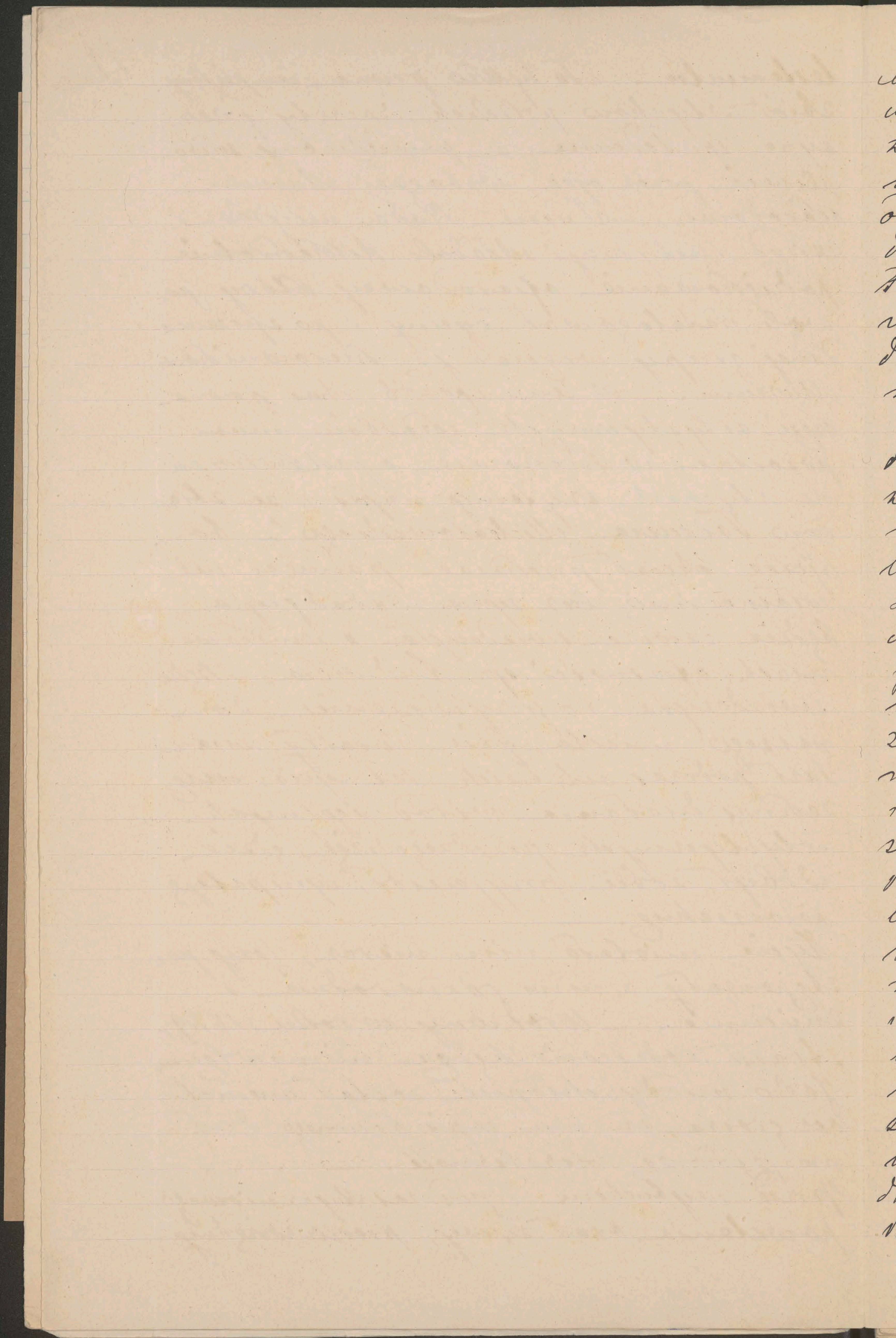
nigdy lichego płótna na swej ścianie. – Bo, nie zapominajmy o tem, nie zadowalniał się on, ~~który dość obrazów~~ platonicznym sympatyą dla artystów. – Nie będąc wcale bogatym, mógł sobie chwilami pozwolić na zakupno obrazów lub rzeźb, które mu rozkosz sprawiały, i z biegiem czasu utworzył w swym domu galeryę, liczebnie skromną, pod względem wartości, na wagę, pierwszorzędną. – Nie bez trwogi pytamy, co stanie się z jego zbiorami. Czy może mają rozprószyć się po świecie? Smutno pomyśleć, że „Lilie wodne" Chełmońskiego, „Modelka" Grottgera, szkice do najwspanialszych dzieł Jacka Malczewskiego, wczesny akademicki akt Matejki, kilkanaście najwspanialszych płócien znakomitych polskich artystów, mogą dla nas, dla naszej publiczności, przepaść niepowrotnie, kryć się w prywatnych mieszkaniach, nie tak gościnnych jak dom przy ulicy Szczeckiej. – Przyjaciele zmarłego wyobrażali sobie zawsze, że wszystkie te dzieła wyborowe zawisną kiedyś, po wielu latach, w jakiejś galeryi publicznej np. w Muzeum Narodowem, że znajdą się razem w jednej sali, nad drzwiami której, widzieć będzie napis: „Zbiory Ludwika Michałowskiego."
Tymczasem śmierć przyszła rychlej, niż eśmy mogli przewidzieć, a wśród papierów nieboszczyka nie znaleziono



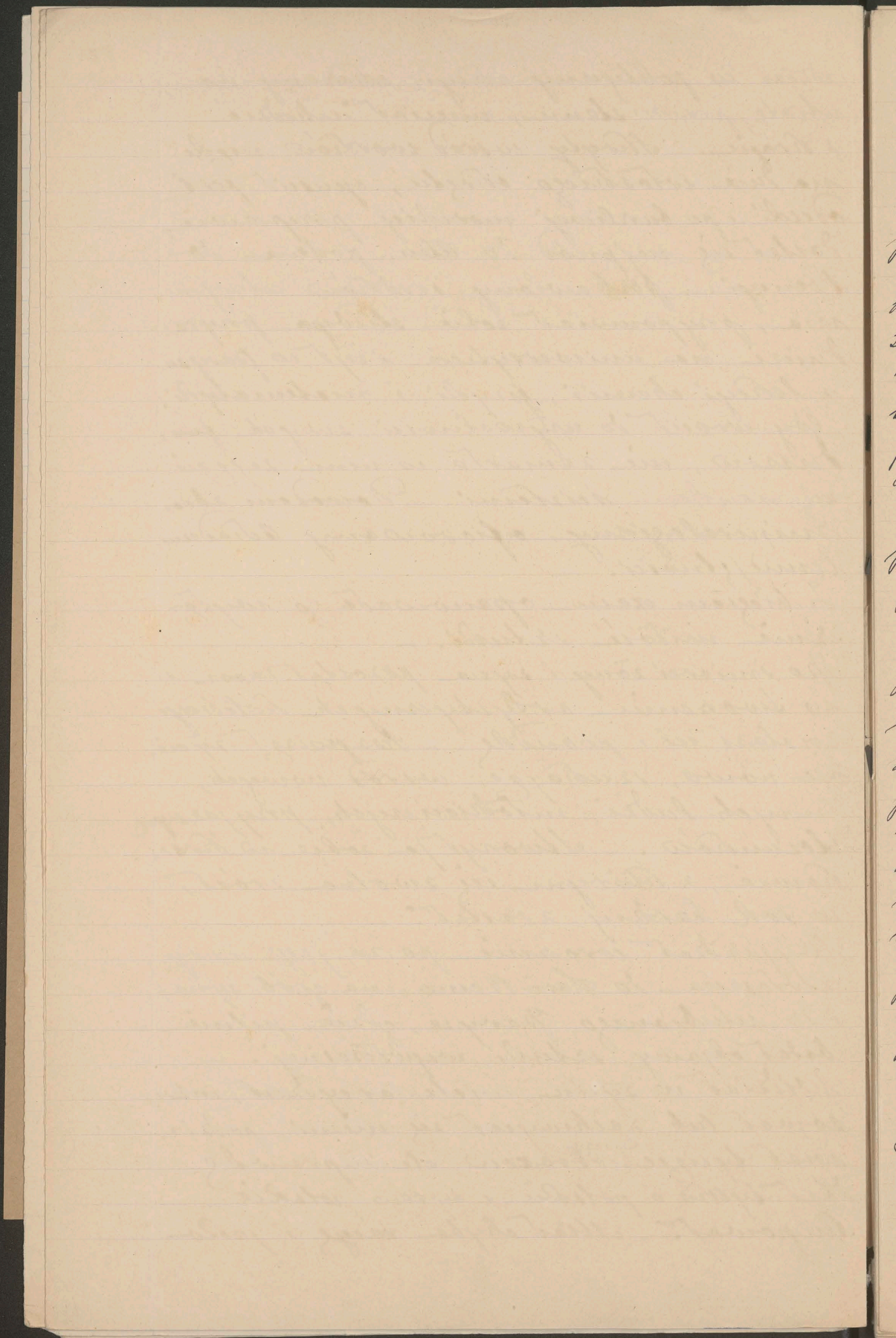
testamentu. — To tylko pewne, że piękny zbiór sztychów polskich, zaczęty przez syna, ś.p. Tadeusza, a powiększony skwapliwie przez ojca wzbogacił Muzeum Narodowe. — Znana Rada miejska i zarząd instytucji składali wielokrotnie podziękowanie ofiarodawcy, który powoli katalogował ryciny i po spisaniu danej grupy wręczał je kierownikowi Muzeum. — W ten sposób, choć pewna część artystycznych zbiorów, musi pozostać w Krakowie, a jakkolwiek na sztychach wyryty napis „ze zbiorów Tadeusza Michałowskiego" — bo ojciec chciał przekazać pamięci nie własne imię, lecz syna — tradycya będzie zawsze świadczyła o zamiłowaniach, ofiarności ś.p. Andrzeja. — Będzie świadczyła i o przywiązaniu do naszego miasta, gdzie zmarły znalazł podczas ostatnich lat życia, ciszę, zakres działania wśród ogólnych artystycznych przedsięwzięć, gdzie zdobył sobie przyjaciół, sympatyę powszechną. —

Życie miotało nim nieraz, losy postępowały z nim różnorodnie i zmiennie. — Urodzony w roku 1829, stracił rodziców będąc niemowlęciem. Jako młody chłopiec, został niemal bez grosza, aż mu zapis krewnego dał majątkową niezależność. —

Przed wybuchem i podczas styczniowego powstania, brał żywy, pierwszorzędny

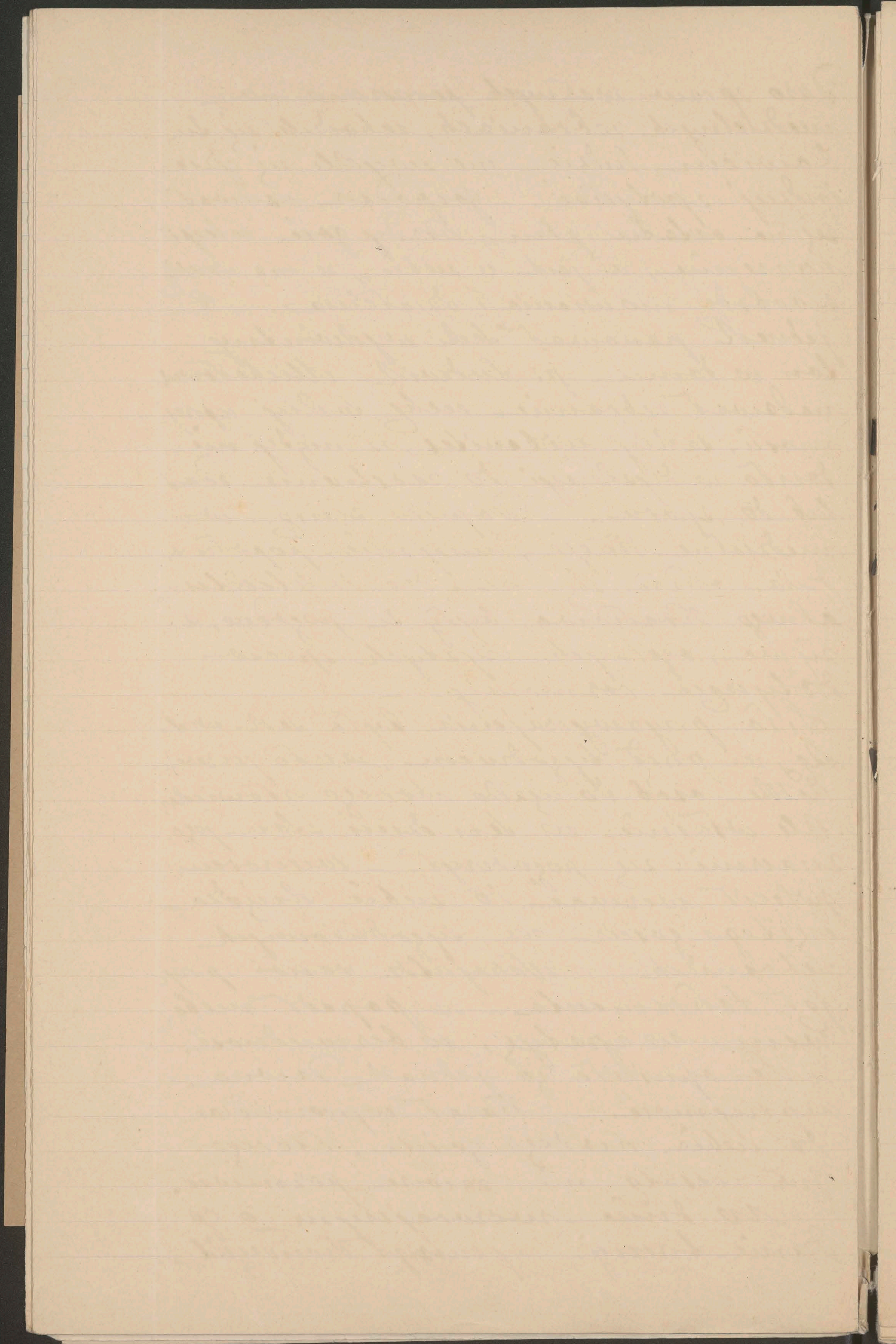


udział w politycznej akcyji; skazany na utratę praw stanu, musiał uchodzić z kraju. – Ukryty wśród worków mąki na dnie włoskiego okrętu, opuścił port Odessy i po burzliwej morskiej przeprawie dostał się najprzód do Aten, potem do Francyi. – Pozbawiony środków utrzymania, przypomniał sobie studya przyrodnicze na uniwersytecie i żył w Paryżu z lekcyj chemii, fizyki i matematyki. Gdy wrócił do używalności swych funduszów, nie zamarło w nim zajęcie się naukami ścisłemi. – Dowodem zbiór mineralogiczny, ofiarowany Akademii Umiejętności. –
Z biegiem czasu opanowała go wyłącznie miłość sztuki. –
Po śmierci żony i syna pozostał sam i w tworzeniu artystycznych kolekcyj znalazł cel i pobudkę. – Rozpoczął życie na nowo, szukając wśród nowych, innych ludzi, młodzieńczych, przyjaznych stosunków. – Stworzył je sobie w Krakowie, z którym się zwolna zrósł, co rok bardziej zrastał. –
Wyjeżdżał corocznie po za jego mury, zwłaszcza do San Remo, na grób syna i do ulubionego Paryża, gdzie pilnie badał objawy sztuki współczesnej. – Widział w życiu wiele arcydzieł, interesował lub zachwycał się niemi, podziwiał tysiące (tysiące) obrazów, ale naprawdę dbał tylko o polskie i tylko polskie kupował. – Miał chyba racyę i jakto



pokaź i jako miłośnik.
Galerya rosła, rosło zarazem uzna-
nie dla jej twórcy. —
Zasiadał w dyrekcyi Towarzystwa
przyjaciół sztuk pięknych, w komi-
tecie Muzeum narodowego, w kon-
kursowych literackich sądach, wszędzie
słuchany, wszędzie budzący ciekawość
zdaniem niezależnem, osobistem i
śmiałem. — przybysz z Ukrainy porwał
powoli wszystkie towarzystwa kra-
krakowskie i nie należąc wyłącznie
do żadnego z nich, a raczej należąc z
przyjemnością do wszystkich, stał się
prawie łącznikiem, centrem, siłą
dośrodkową. — pożegnawszy się raz na
zawsze z polityką, widywał w swym
domu ludzi wszelkich obozów i stron-
nictw, zaczął ich nawet równocześnie
zapraszać, gromadzić. — O niedzielnych
popołudniowych zebraniach przy ulicy
Brackiej, wśród ścian obwieszonych
wspaniałemi płótnami, będzie się
w Krakowie długo mówić, nie bez tęsknoty
i żalu, nie bez przypominania słów
piosenki: „lepiej in illo tempore* bywa-
ło!" — „Niedziele" przejdą do tradycyi
prawie tak żywe i głośne, jak „czwartki"
u Pawła Popiela, lub „wtorki" u
Leona Łubieńskiego w Warszawie. —
Ile tam rozmów warto było zasteno-
grafować, ile się tam przewinęło
osób zdaleka, ludzi sławnych, figur
ciekawych! —

Dużo spraw ważnych poruszono na niedzielnych zebraniach, schodzili się tu bowiem ludzie, nie zwykli się gdzieindziej spotykać. — Gospodarz usuwał się na ostatni plan, każdy gość ulegał wrażeniu, że jest u siebie, że ma wszelką swobodę mówienia i działania. — A jednak panował taki wykwintny ton w domu p. Ludwika Michałowicza, nadawał zebraniu cechę takiej uprzejmości, takiej urbanitas, iż nigdy nie doszło w dyskusji do zaostrzenia zdań lub do sporu. — Dopiero zimą, w niedzielne długie, nużące popołudnia okaże się, czem dla intelektualnego Krakowa, były te pogodne, a żywe, ogólnych, czystych spraw dotyczące rozmowy. —
Siła przyzwyczajenia była tak wielka, że przed tygodniem, zaszło jeszcze kilka osób do ciężko chorego w odwiedziny. Ale właśnie w tym dniu stan jego znacznie się pogorszył. — Wieczorem polecił wezwać do siebie księdza, częstego gościa na tygodniowych zebraniach. — Nazajutrz rano przyjął Sakramenta. — Popadł niebawem w apatyę, w bezwiedność. — Nie opuściła go jednak dawna uprzejmość. — Kazał wprowadzać do siebie każdego gościa, którego już zresztą nie zawsze poznawał.
W dniu wczorajszym o godzinie trzeciej, wyruszył [illegible]



~~[illegible]~~ żałoby. —
Krewni nie zdołali przybyć ze stron odległych, ale powinowaci zmarłego dbali o piękność i uroczystość pogrzebu.
Jasnym, pogodnym dniem jesiennym rozwijał się pochód liczny, bo złożony z przyjaciół zmarłego. —
Zebrali się oni raz jeszcze w imię tej sympatyi, którą budził. —
Była to ostatnia niedziela Ludwika Michałowskiego.

R. M. G.

~~Czas z Soboty 26 Maja 1900 r.~~

u przypisku

Mowa

* ~~Mowa p. Konstantego Górskiego~~

wygłoszona na pogrzebie ~~ś.p.~~ 26 maja 1900

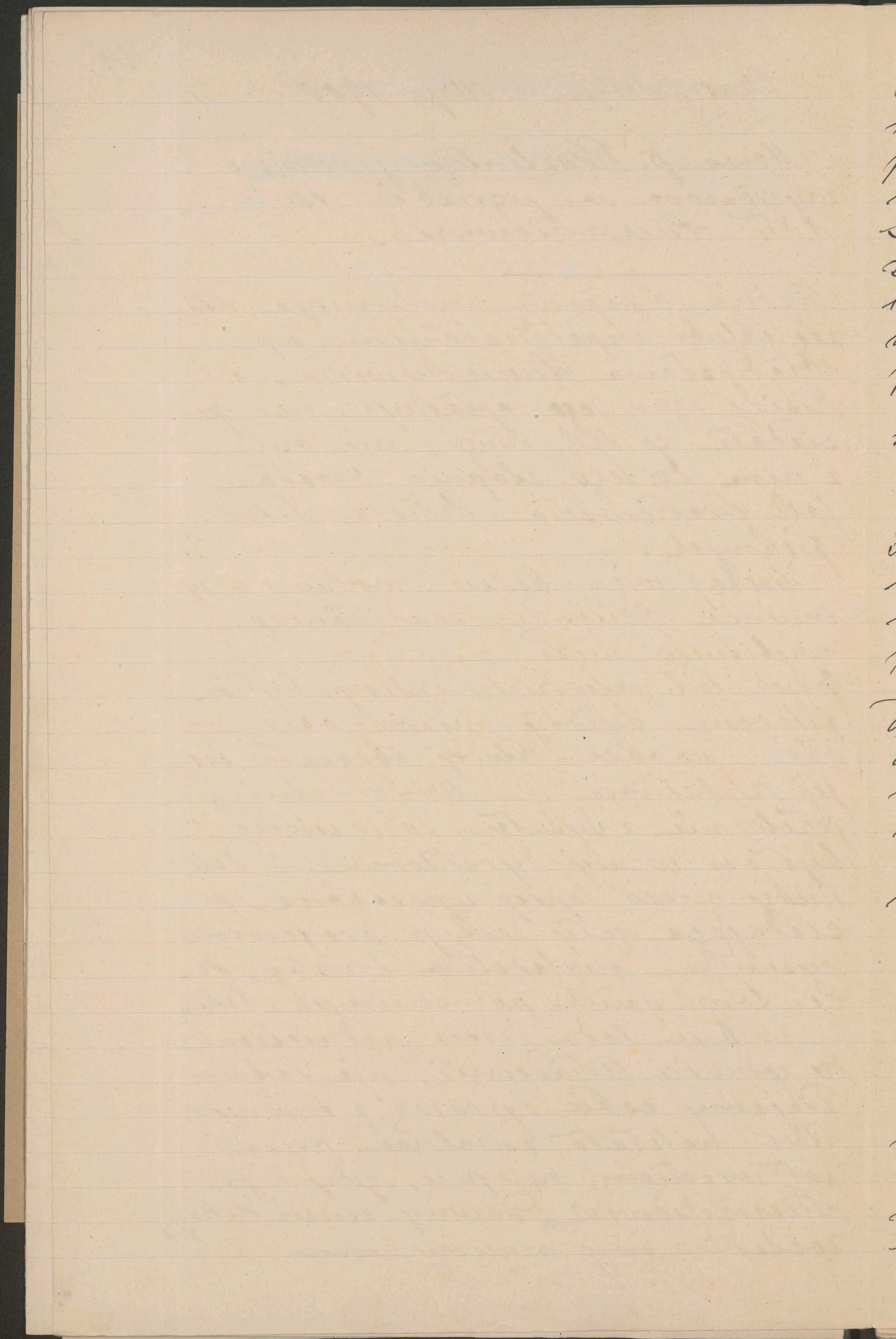
Wł. Łuszczkiewicza.

Władysław Łuszczkiewicz *

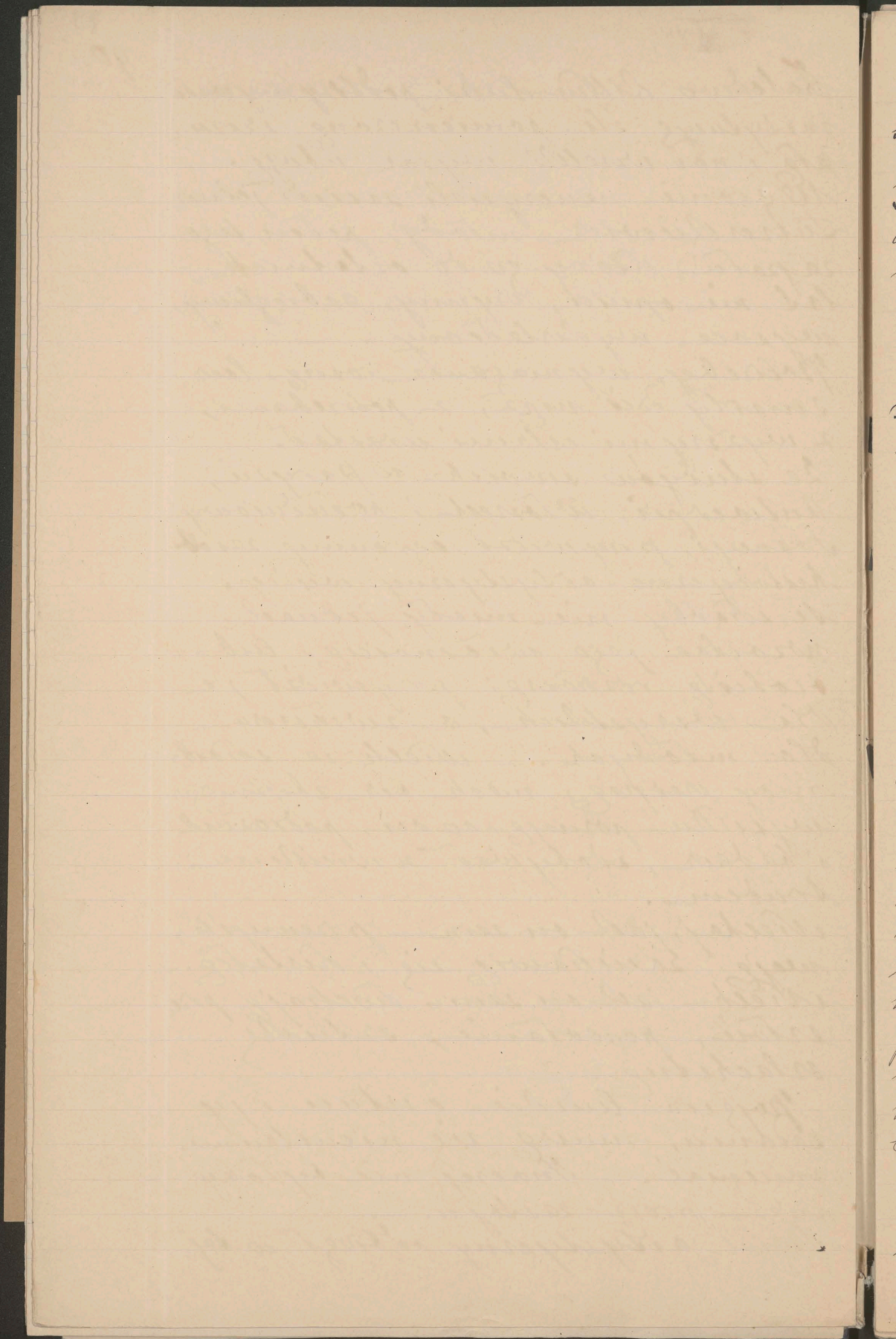
Żadna krajowa instytucya, która się chlubi współdziałaniem ś.p. Władysława Łuszczkiewicza i dzisiaj zgon jego opłakuje, nie posiadała go tak długo, nie była z nim do tego stopnia zrosła, jak krakowska Szkoła Sztuk pięknych. —

Niechaj więc będzie wolno i w jej imieniu pożegnać zasłużonego, wybitnego męża. —

Przez lat czterdzieści cztery, był on filarem Szkoły, niemal osią ~~w okół~~, wobec której obracała się jej działalność. — Wielokrotnie, jeżeli nie z tytułu, to w istocie był on w niej dyrektorem. — Dziś, kiedy nieco lepiej uposażona, posiadająca cały zastęp profesorów rysunku, malarstwa i rzeźby, docentów nauk pomocniczych, Szkoła ma być lada dzień podniesiona do godności Akademii, nie łatwo zdajemy sobie sprawę z trudności, które należało zwalczać przed pół wiekiem, w epoce, gdy ś.p. Łuszczkiewicz, dawny uczeń Szkoły, został w niej nauczycielem.



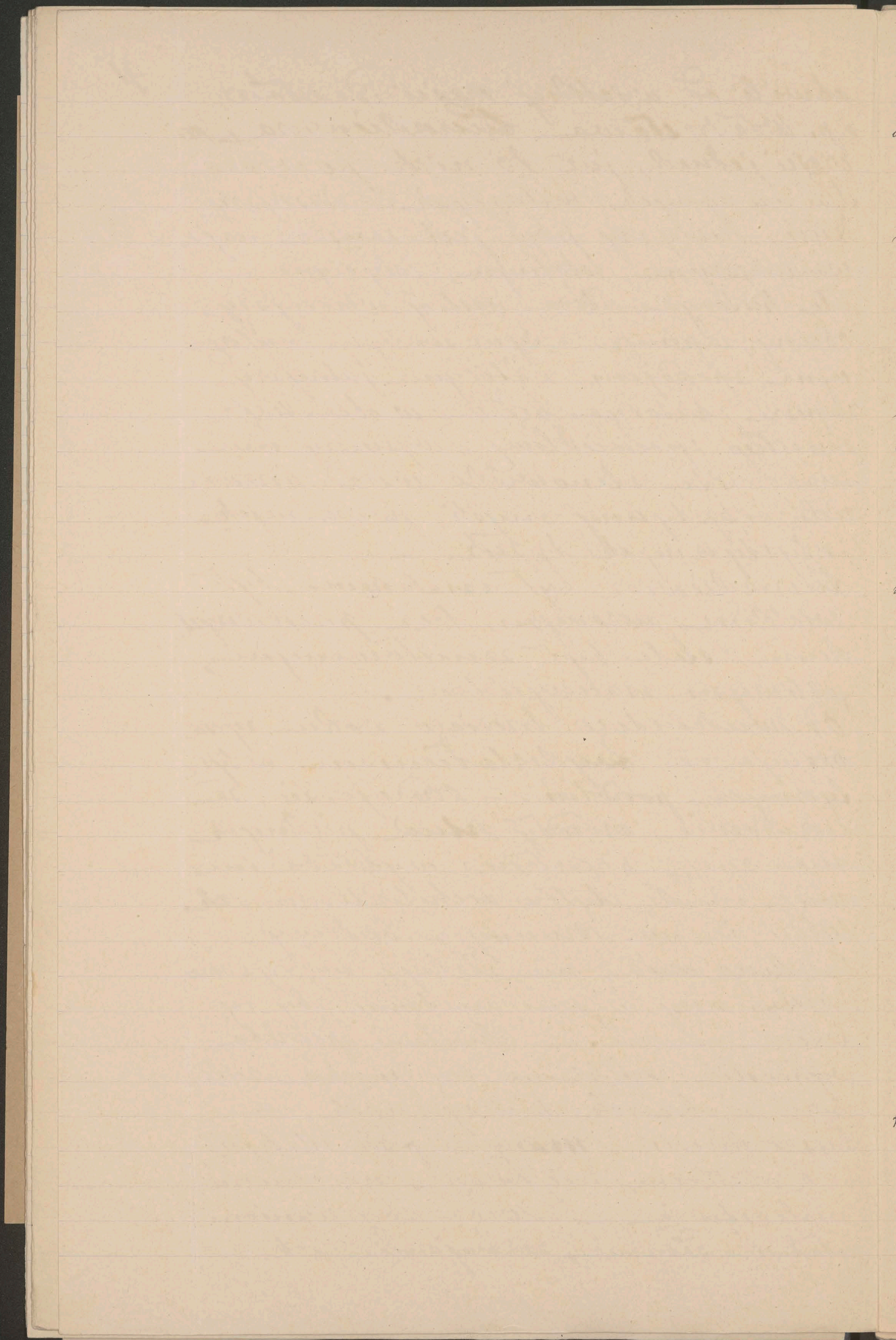
Zaledwo kilku ludzi podtrzymywało
instytucyę, źle pomieszczoną, szczu-
płą i nad wszelki wyraz ubogą. —
W gronie nauczycieli zasiadł jednak
Łuszczkiewicz, młody, pełen tego
zapału, który go do ostatnich
lat nie opuścił, czynny, zabiegliwy,
wysoce wykształcony. —
Potrzeby, wymagania rosną, lecz
zmarły dziś mąż, z potrzebami,
z wyższymi celami urastał. —
Ze studyów swoich w Paryżu,
Antwerpii, Włoszech i południowej
Francyi, przywiózł ogromny zasób
historyczno-artystycznej wiedzy.
Te skarby nie miały jednak
pozostać jego własnością, lub
osobistą rozkoszą; przywiózł je
dla wszystkich, a zwłaszcza
dla młodych. — Wielu ze skarb-
nicy czerpią, niech bez zbytniego
wysiłku poznają, co on, podróżnik
i badacz, zdobywał z wielkim
trudem. —
Niechaj, jak on sam — przemyśli-
wają, zaciekawią się i kształcą. —
Niech — jak on sam — kochają prze-
szłość, powołanie sztuki
szlachetne.
Pojęcia ludzi o sztuce i jej
zadaniu, muszą się nieustannie
zmieniać. — Inaczej nie byłoby
nic — prócz zastoju.
Świat artystyczny odbiegł w tej



chwili od wielkiej części ideałów ś.p. Władysława Łuszczkiewicza, po części jednak, już do nich powraca. Dla nas żywych, walczących — dzisiejszy dzień, dzisiejszy pęd jest zawsze najważniejszym, istotnym, jedynym. — Ale historya, która nastrój wczorajszy, obecny, zapisuje z tym samym niewzruszonym spokojem, z którym jutrzejszy zapisze, historya będzie w obec tego zmarłego sprawiedliwą, wyznaczy mu znakomite stanowisko wśród krzewicieli artystycznej myśli, poważnych artystycznych dążeń. —

Łuszczkiewicz był malarzem, był wielkim uczonym, lecz przedewszystkiem i stale był zamiłowanym, gorliwym nauczycielem.

Od dwudziestego trzeciego roku życia pracuje nad wykształceniem artystycznych pokoleń. — Obserwuje się, że uczniowie szkoły sztuk pięknych nie znają przeszłości: wydaje im więc naukę stylów architektonicznych. Widzi, że nie rozumieją budowy ludzkiego ciała, nie zdołają wyrysować modela: uczy się sam anatomii, aby ją potem nauczać. — Chwilami potrzeba wykreślić zagłębienie się gmachu, sztaffażu w obrazach historycznych, a Łuszczkiewicz marzy — przed Matejką — o wielkiem, dziejowem, narodowem malarstwie. — Więc aby uczniom ułatwić zadanie, zaznajamia ich z



z perspektywą. — I trwa to przez całe długie żmudne dni, cierpliwych lat dziesiątki. —

Łuszczkiewicz jest pozatem nauczycielem rysunku w szkole. — Nie prędko doczekał się stałej posady profesora. — Ale go to nie zniechęca, nie osłabia. Pilnuje sumienności w rysowaniu, wierzy w pedagogiczną wartość antyku, lubi powoływać się na słynne zdanie Ingres'a: „w rysunku leży dobra wiara sztuki". —

O jego stosunku do uczniów powstały całe legendy, a już i dzisiaj istnieją książki, które utrwalą „wspomnienia artysty," książki z których ten chwilami szorstki, chwilami jowialny profesor przed oczyma historyka rośnie kiedyś żywy. —

Nie znam prawie żadnego wybitniejszego polskiego malarza, którzyby choć przez półrocze, nie był uczniem Łuszczkiewicza. Matejko był nim przez lat siedm. Nie mówię o żyjących, lecz z pośród zmarłych wymienię kilku naraz: Grottgera, Gotlieba, Pruszkowskiego. —

Istnieje wspaniały łaciński zwrot, na który mi niegdyś zwrócono uwagę, a który mi się dziś do głowy ciśnie: „vita defunctus est." —

Jednem zdaniem nie można oddać treści tych trzech wyrazów. —

Znaczą one: wywiązał się z życia, obowiązek życia wypełnił, służbę

krajowej wystawy. —
Przyszła mi na myśl nad trumną
Władysława Łuszczkiewicza, któremu
nie powiem wzorem starożytnych:
„Niechaj Ci ziemia będzie lekką!"
ale raczej:
„Niech Ci zaziemskie światy będą jasne!"

— — —

„Czas" z poniedziałku 23 września 1901 r.

S. p. Sewer Maciejowski.

Żałobna wiadomość zamąciła ciszę ranek wczorajszej pogodnej niedzieli. Wszystko dobrzy znajomi, albo koledzy po piórze zatrzymywali się na ulicy, aby sobie zwiastować śmierć Ignacego Maciejowskiego, którego literacki pseudonim, Sewer, nabrał takiego ~~odźwięku~~ dźwięku, że nazywano go już tylko tą przybraną nazwą. — I ludzie, znający zmarłego, tylko z dzieł lub widzenia, udzielali sobie bolesnej nowiny. — Widocznie żal im było i opowiadacza i człowieka dobrej woli, czystej intencyi. —

Od kilku miesięcy zauważono pewne umęczenie u Sewera, coś się zmieniało, przeto w jego zdrowiu.

Pomiędzy jego przyjaciółmi — a miał ich pełno w Krakowie — powstała nawet myśl, aby go uczcić jakimś ogólniejszym obchodem, jakimś „jubileuszem", który można było zawsze tę albo ową datą usprawiedliwić. — Chodziło o zgotowanie przyjemnej chwili, zasłużonemu pisarzowi, który się nagle począł skarżyć nadto szybko. — Lecz nagłej katastrofy nikt się nie obawiał. — Nie dawniej, jak w sobotę wieczorem, a więc na kilka godzin przed

śmiercią, widzieliśmy go rześkim, ożywionym. — Mówił z przejęciem te słowa o swoich przyszłych pracach, o wrażeniach z podróży, odbytej do Fiume, Wenecyi, Medyolanu. — Pracował właśnie nad ich utrwaleniem i przed miesiącem w liście, datowanym z Dołęgi, rodzinnej wsi „Michała Kopcia" zapowiadał nam: „ze względu na dalszość czytelników „Czasu" dam do feljetonu tego pisma!" — Wspominał również o dramacie, który przeznaczał na scenę krakowską. — Zdawał się wesół, pogodny.

Śmierć przyszła nagle, po złodziejsku. —

Nie możemy się dziś kusić o pełny obraz działalności pisarza, o całą charakterystykę człowieka. — Musimy się ograniczyć do kilku dat, kilku sylwetów, kilku słów pożegnania. —

S. p. M Ignacy Maciejowski urodził się w Warszawie 1839 r. — Kto znał miłego, nieraz jowialnego człowieka, który tak żywo i ze znajomością przedmiotu prawił o wsi, zarówno o dworku jak o chacie, musiał ulegać fałszywemu mniemaniu, jakoby Sewer był rolnikiem z zawodu, wieśniakiem, który opuścił zagon dla literatury. — Jakkolwiek odbył nauki w

w instytucie Marymonckim, rzecz się podobno miała inaczej. – Wiem od najpoważniejszych ludzi, którzy z Maciejowskim przepędzili kilka miesięcy w więzieniu politycznem, że już podówczas w celi traktowano późniejszego pisarza, jako literata i „badacza".

Tym ostatnim nie został on nigdy, ale mógł mieć w żyłach krew dziejopisarską, krytyczną. – Był synem Franciszka, historyka prawa rzymskiego, profesora w Warszawskiej Szkole Głównej, a stryjecznym wnukiem autora „Historyi prawodawstw słowiańskich," Wacława Aleksandra Maciejowskiego. –

Przebiegu lat jego młodych nie zdołamy dzisiaj dokładnie opowiedzieć. – Ale z tego cośmy już powiedzieli, wynika, że porywy jego przedtem wprawdzie niezbyt rozważne, ale podniosłe i szlachetne. – Ta szlachetność, ta niezniszczalność zamiarów nie zamarły w nim nigdy, jak też i jego, żadną rozwagą nie miarkowana wrażliwość nie przepadła. Zapalał się jak dziecko, doznawał zawodów z takiem zdziwieniem, jak dziecko. Gniew jego był podówczas silny, ale krótki. Miał wiele humoru w naturze i jego współwięźniowie na zamku Krakowskim z 1864 r. nie zapomnieli o wesołości „badacza". – Humor

pou
cong
sła
Wię
czł
ich
a w
M
wi
ni
sło
za
czy
w
wi
zu
go
ni
dli
epi
pod
Ła
wi
jeg
bl
ra
In
w
zo
cs
„J
dz
we
cz

pomagał mu w życiu, a potem, nasycony współczuciem dla niedoli ludzkiej, stał mu się i w literaturze pomocą. — Nie mam to jak być dobrym, czystym człowiekiem, kiedy się trzyma pióro i chce, aby z niego spływały łzy jasne, a nie te czarne krople atramentu. —

Maciejowski nie był więc, jak sądzę, wieśniakiem z urodzenia. — Stał się nim dopiero pod wpływem nowych stosunków rodzinnych, kiedy pojął za żonę osobę, której uczynność, dobroczynną gorliwość znają wszyscy w Krakowie. — Ale odrazu polubił wieś, poznał ją, ocenił. — Może się nie zupełnie otrząsnął z pewnego wczesnego sielankowego zamiłowania do niej, ale Sewer nie był nigdy chłodnym obserwatorem. — Był sobie epikiem o wybitnym lirycznym podkładzie. —

Zdaje mi się nawet, że zaczął od wierszy. Zdaje mi się, że pierwszą jego pracą, która się dostała do publiczności były słowa, wydane razem z muzyką, do nich napisaną. Imię jego rozbrzmiało po kraju, kiedy w 1876 roku warszawski sąd konkursowy przyznał pierwszą nagrodę czteroaktowej komedyi pod tytułem: „Pojedynek szlachetnych". — Rzecz dzieje się w Anglii, akcya dotyka więcej polityki, ale obydwa walczące stronnictwa, i konserwatywne

i liberalne, odznaczają się wielkim taktem, poszanowaniem przeciwnika. —
Sewer bawił w Wielkiej Brytanii, nim zaś komedyę napisał: w roku 1875 ukazały się jego pierwsze „Szkice z Anglii," które, zebrane w tomie, są może do dziś dnia najpoczytniejsze z jego książek. — W dalszych latach wydaje on głównie powieści, z których najgłośniejsza jest „Nafta," ogłoszona w 1891 roku. — Była to epoka największej sławy Zoli, który kolejno opisywał życie w kopalni, w hallach i sklepach paryskich, w zagrodach wiejskich, w katedrach i na kolejach. Cytuję z pamięci, więc bez chronologii. — Otóż przykład autora „Germinal'a" podziałał na wielu, nawet u nas. — powstały w Warszawie powieści o fabrykach łódzkich, powstała w Galicyi „Nafta"
W ogóle Zola wszedł Sewerowi w drogę, paczą chwilami jego talent swojski i szczundłowo prosty. —
W dramacie „Dla świętej ziemi" odzywają się, jakby reminiscencye uczuć francuzkiego chłopa, przesadzonych przez Zolę w „La Terre."
„Marcin Luba," późniejsza, w 1896 roku wystawiona sztuka Sewera, wyraża daleko samodzielniej, osobiściej elementarne przywiązanie włościanina do roli. Mówi o niem bardzo pięknie długi szereg nowel, w których Sewer

otrząsa się z naleciałości. — Mimo poważnego przedłużania opowieści, bywa w nich autor szczerym, rzeczywistym, głęboko wzruszającym artystą. Dobrze, w Czasie jeszcze nie ogłoszone rozdziały „Michała Kopcia" poprą, jak sądzę, moje zdanie. —

Maciejowski opowiadał jeszcze piękniej niż pisał. I amatorzy wykwintnych, ustnych opowieści, gromadzili się chętnie u niego: wiem o słynnym pisarzu, który się rozpłakał, słuchając o autentycznych losach Michała Kopcia z Dołęgi. — W ogóle pisarze i artyści zaglądali często na ulicę Batorego, do Sewera, pewni, że ich uprzejmie ugości najżyczliwsza z gospodyń i że trafią na miłą, bo pod każdym względem polityki pozbawioną rozmowę. — Adam Asnyk bywał codziennie u pp. Sewerów. — Nie brakło również młodych. — Garnęli się do autora „Pojedynków szlacheckich", a on ich sercem przygarniał. —

Ilekroć jakieś literackie przedsiębiorstwo było w finansowych kłopotach, Maciejowski był zawsze gotów głośno gardłować za pismem i wspierać je po cichu z własnej, szczupłej kieszeni. —

Lubił zwłaszcza młodych, młode kierunki, młode zapały, a chociaż pod względem artystycznym, musieli młodzi uważać Sewera za człowieka innego pokolenia,

za chwilami nieco dziwacznego przyjaciela, otaczali wielką przyjaźnią i miłością człowieka, który był szczerym pisarzem, miał duszę szlachetną i żywe, ufne, gorące polskie serce.

R. M. G.

w przypisku na dole.

* Czas z Poniedziałku 13 Lutego 1905.

~~Nekrologia~~ – ~~Ś.p.~~: Ludwik Kastory *

Przed paru dniami złożono na cmentarzu Łyczakowskim, jednego z tych ostatnich, którzy pamiętali tak żywo najświetniejsze czasy, nowszej polskiej emigracji, a po części brali w nich udział żywy, chociaż nie głośny. —
Świadków tej epoki już dzisiaj tak mało, a najwybitniejszy z żyjących ciężko jest złożony niemocą. — Nie mogę o zasługach i zaletach zmarłego poświadczyć ani Kalinka, ani Leon Kapliński, Juliusz Kossak lub Henryk Rodakowski. — Niech więc te kilka słów pośmiertnego wspomnienia i żalu rzucą światło na postać zmarłego.
Ś.p. Ludwik Kastory urodził się w r. 1823. — Szkoły i wydział prawniczy na uniwersytecie skończył we Lwowie. — Człowiek nawskroś dobry, życzliwy dla wszystkich, z usposobienia pogodny i przynajmniej w towarzystwie ludzi wesoły, umiał sobie od młodych lat zawczasu jednać starszych i bardziej znanych. Jeszcze podczas lat uniwersyteckich, będąc nauczycielem prywatnym u pp. Kulikowskich pozyskał sobie w ten sposób przyjaźń Kajetana

Sufczyńskiego (Bodzantowicza)
i Wincentego Pola, z którym już
na zawsze zachował bardzo
serdeczne i ścisłe stosunki.
Ta zdolność wywoływania sympatyi, przyjaznego zbliżania się do najwybitniejszych lub najciekawszych ludzi swego czasu pozostała na całe życie charakterystyczną cechą ś.p. Ludwika. — Oprócz wspomnianych, należy jeszcze wymienić: Ksawerego Gołęzowskiego, Pawła Delarochi'a, syna wielkiego artysty, Lenartowicza, Kwiatkowskiego, w pewnej mierze i samego Mickiewicza, ale należy przedewszystkiem zapisać nazwisko Juliana Klaczki i Księżnej Marceliny Czartoryskiej.
Około r. 1850 objął on bowiem obowiązki nauczyciela w domu Księcia Aleksandra Czartoryskiego i żony jego Marceliny z Książąt Radziwiłłów i w domu tym przepędził szereg lat w Paryżu, wówczas wtajemniczony w emigracyjne sprawy, w dobroczynne zamiary Księżnej, kobiety wielkiego serca i wielkiej pani i artystki.
Przywiązany całem sercem do wszystkich członków rodziny, przy której i z którą mu żyć wypadło, stał się i dla niej niezbędnym i kiedy przestał być

by
w
u
za
i
p
za
Di
ta
zi
Dr
Cu
u
u
zi
fi
i
Ja
sta
we
u
u
M
cio
ecg
ri
U
ot
ja
O
ro

być nauczycielem, został z ich woli wbrew obawom swoim i wahaniom – ich pełnomocnikiem, rządcą majątków na Wołyniu i w Galicyi. – pobyt w Paryżu przed rokiem 1864, w którym zamieszkał w dobrach Czartoryskich, pobyt w takim domu i wśród takich warunków wyrobił go niezwykle i wykształcił. –
Długie podróże prawie po całej Europie, Egipcie i Ziemi świętej nadały nadto ś.p. Ludwikowi wysoki polot i kulturę, które się pięknie łączyły z jego specyficznie polską dobrodusznością i dobrocią. –
Jak umiał pociągać za młodu starszych, tak z biegiem lat zjednywał sobie młodych, którzy do niego szli z dziwną swobodą, zaufaniem a nawet przywiązaniem. –
Możnaby między jego młodszymi przyjaciółmi wymienić niejednego dobijającego się znaczenia, albo już sławnego człowieka. –
Umarł zdala od Krakowa, w Białej, otoczony miłością rodziny, umarł jak żył, pogodnie. –
Ostatnią jego myślą były sprawy rodziny Czartoryskich. –

A.



